PLAYBOY

EDYCJA POLSKA Nr 7 (8) LIPIEC 1993 • 34 500zł

Bliźniaczki na lato

20 PYTAŃ DO PATRICKA SWAYZE

SEKS W SAMOCHODZIE I NA PLAŻY

SZLAKIEM ZBRODNI PRAWDA O MY LAI

WYWIAD Z TYMEM

AMERYKAŃSKA PLAYMATE ROKU 1992 ANNA NICOLE SMITH ORAZ ULUBIENICA POLSKICH CZYTELNIKÓW BARBARA MOORE

Po prostu MAGNUM

Algida

GIORGIO ARMANI

PARFUMS

MIĘDZY NAMI

Mamy nadzieję, że ten numer PLAYBOYA będziecie czytali nie tylko w domu, ale także na plaży, nad jeziorem, podczas przerw w wędrowaniu po górach. I mamy nadzieję, że urozmaici on wasze wakacje.

Prezentujemy rezultaty dwóch ważnych plebiscytów PLAYBOYA: amerykańskiego – na *Playmate roku 1992* oraz polskiego – na *Ulubienicę polskich czytelników*. Wybieraliście spośród tych samych dziewcząt co Amerykanie – dwunastu najpiękniejszych z ubiegłorocznych rozkładówek, ale jak się okazało, gusty mamy inne. Czytelnicy amerykańscy wybrali **Anne Nicole Smith**, pulchną blondynkę z Teksasu. Tymczasem Polacy postawili na szczupłą i pełną wdzięku **Barbarę Moore**. Musimy przyznać, że Barbara prowadziła od pierwszego dnia, gdy zaczęły nadchodzić listy z głosami. Nasz lutowy numer musiał być jednak wertowany przez Was wielokrotnie, bo najzagorzalsi uczestnicy plebiscytu przysyłali swoje typy jeszcze przez wiele miesięcy. Dziś możecie porównać Annę i Barbarę, odpowiedzieć sobie, czy głosowaliście właściwie.

Mamy też dla Was nie lada sensację: fantastyczne **bliźniaczki Barbi**. W obiektywie **Stephena Waydy** prezentują się nadzwyczaj pociągająco, szczególnie w otoczeniu piasku i morza. Jeśli już o falach mowa, to zachęcamy do pływania na desce. Specjalny zestaw zdjęć ilustruje, jak to robić, w czym i... jakie to przyjemne. Myślicie, że deska jest tylko dla sportowców? Nieprawda, dla każdego!

O wyczynowcach pisze natomiast **Michał Wichowski**, opowiadając losy dwóch medalistów olimpijskich – **Wojciecha Fortuny** i **Waldemara Legienia**. Dwie różne biografie, dwa oblicza sportu i wdzięczny temat dla ilustracji **Jacka Gawłowskiego**.

Nie zapomnijcie o naszych felietonach. Znajdziecie wśród nich teksty pióra **Marii Nurowskiej** i **Przemysława Berga**, kolejne recenzje płytowe **Wojciecha Manna**, **Marka Niedźwieckiego** i **Marka Wiernika** oraz filmowe – **Zygmunta Kałużyńskiego**. Zwróćcie też uwagę na krótki przewodnik **Macieja Parowskiego** po literaturze science-fiction oraz śmiały artykuł **Paula Monette** o tym, czy geje mogą liczyć na prawdziwą, męską przyjaźń.

Jeśli lubicie poznawać ciekawych ludzi, zainteresuje Was na pewno wywiad ze **Stanisławem Tymem**, który przeprowadzili **Katarzyna Nazarewicz** i **Przemysław Berg**, a także *20 pytań* do **Patricka Swayze** oraz portret właściciela koncernu Fiata, **Gianniego Agnellego**, który przygotowała **Grażyna Olbrych**.

Do czytania w przerwach między opalaniem świetnie się nadaje opowiadanie **Donalda Westlake'a** *Dobra historyjka*, a także humoreska **Roberta Coovera** *Numer z cylindrem*. Natomiast w dużo poważniejszy nastrój wprawi Was lektura wstrząsającej opowieści **Rona Ridenhoura** o prawdziwym przebiegu masakry w wietnamskiej wiosce My Lai. Artykułowi towarzyszy znakomita ilustracja **Rafała Olbińskiego**, naszego rodaka, od lat tworzącego w USA.

Wróćmy jednak na plażę albo do lasu, albo do samochodu – wszędzie tam, gdzie można niekonwencjonalnie uprawiać seks. **Katarzyna Nazarewicz** poszła tropem doświadczeń erotycznych swoich rozmówców i odkryła, jak to jest z naszymi marzeniami o odrobinie perwersji. Czy lęk, że ktoś nas zobaczy, bardziej podnieca, czy przeraża? Jej wnioski skomentował plastycznie **Grzegorz Marszałek**.

Polski PLAYBOY znany jest z upodobania do pięknej grafiki. Najwybitniejsi jej twórcy, polscy i zagraniczni, goszczą na naszych łamach co miesiąc. Witamy w tym gronie seniora polskiego humoru rysunkowego, **Zbigniewa Lengrena**.

Na koniec coś o elegancji. **Andrzej Sienkiewicz** przygotował przegląd najwspanialszych zegarków świata – drogocennych, skomplikowanych, wartościowszych od biżuterii. Prawdziwi mężczyźni nigdy nie pozostają na nie obojętni...

W lipcu nie wolno się nudzić, ani smucić. Jeśli przydarzy się wam któryś z tych stanów, szybko zajrzyjcie do naszych *Słówek*. Zespół w składzie: **Ewa Kościelska**, **Przemysław Berg**, **Krystyna Lubelska**, **Sławomir Mizerski**, **Katarzyna Nazarewicz**, **Ewa Wilk** i **Tomasz Raczek** zebrał to wszystko, co może Was zastanowić i rozchmurzyć. By z PLAYBOYEM żyło się pogodniej!

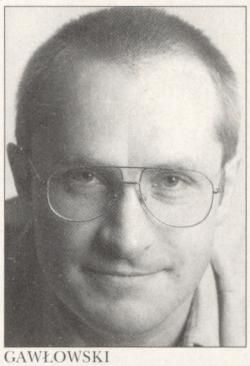
GAWŁOWSKI

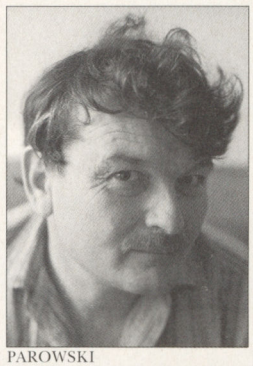
PAROWSKI

MONETTE

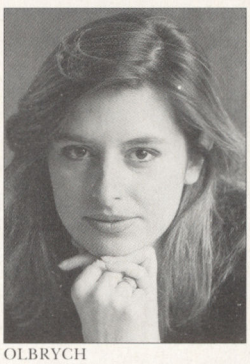
OLBRYCH

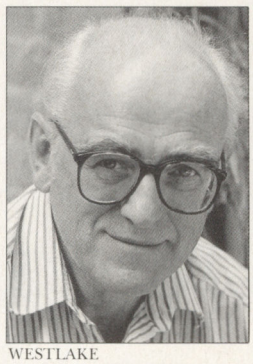
WESTLAKE

COOVER

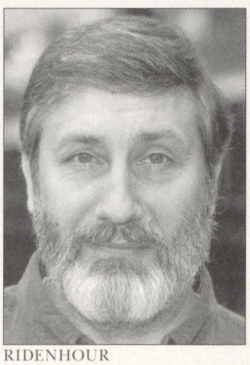
RIDENHOUR

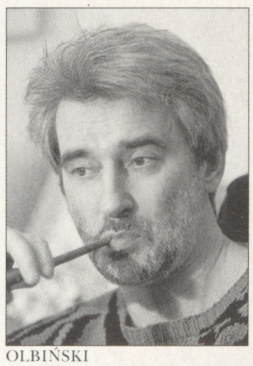
OLBIŃSKI

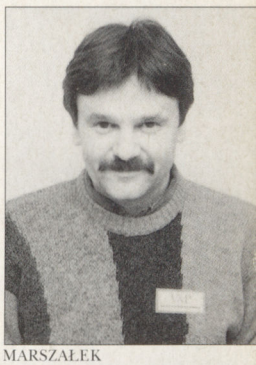
MARSZAŁEK

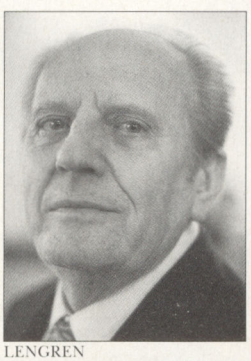
LENGREN

LUBELSKA, RACZEK, NAZAREWICZ, MIZERSKI, KOŚCIELSKA, BERG

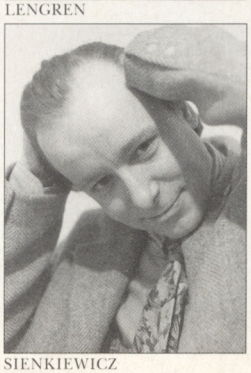
SIENKIEWICZ

TO JEST TV

FIAT TEMPRA

WÓJ ŚWIAT

FIAT

CAMEL
CAMEL
FILTERS
TURKISH & AMERICAN
BLEND
CIGARETTES
CAMEL
LIGHTS
LOW TAR
CAMEL TASTE

PLAYBOY®

Rok 2, nr 7 – lipiec 1993

EDYCJA POLSKA – SPIS TREŚCI

MIĘDZY NAMI 3

PLAYBOY PO GODZINACH 11

FILMY ..... ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI 13

KSIĄŻKI ..... MACIEJ PAROWSKI 15

VIDEO ..... KONRAD J. ZARĘBSKI 16

MUZYKA 17

STYL 18

ONI ..... PRZEMYSŁAW BERG 20

ONE ..... MARIA NUROWSKA 21

PLAYBOY RADZI 22

FORUM: CZY MOGĄ SIĘ LUBIĆ? ..... PAUL MONETTE 25

WYWIAD PLAYBOYA: STANISŁAW TYM – szczera rozmowa 29

BOHATEROWIE MASAKRY – artykuł ..... RON RIDENHOUR 34

PLAYMATE ROKU 1992 – pictorial ..... tekst REG POTTERTON 38

DOBRA HISTORYJKA – proza ..... DONALD E. WESTLAKE 47

NAGIE KRAWATY 48

ULUBIENICA POLSKICH CZYTELNIKÓW – playmate miesiąca 50

OBIE STRONY MEDALU ..... MICHAŁ WICHOWSKI 65

JEŹDŹCY FALI – rekreacja ..... tekst HOLLIS WAYNE 68

ORGAZM W DESZCZU – artykuł ..... KATARZYNA NAZAREWICZ 73

NUMER Z CYLINDREM – proza ..... ROBERT COOVER 76

CO ZA MASZYNA! – artykuł ..... ANDRZEJ SIENKIEWICZ 79

PLAYBOY PRZEDSTAWIA: GIANNI AGNELLI ..... GRAŻYNA OLBRYCH 82

BLIŹNIACZKI BARBI – pictorial 86

20 PYTAŃ: PATRICK SWAYZE 95

SŁÓWKA PLAYBOYA 115

Mord w My Lai str. 34

Playmate roku str. 39

Dziewczyna dla Polaka str. 50

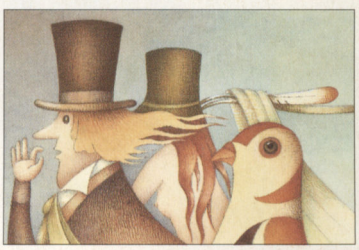

Czarny sen iluzjonisty str. 77

NASZA OKŁADKA

Hollywood nie może się otrząsnąć z szoku: zapierające dech bliźniaczki Barbi o wyglądzie żywych lalek wylansowały się same... Na wielkim plakacie przy głównej ulicy. Macie szansę zobaczyć je w całej okazałości. Po lewej Shane, po prawej Sia. Zdjęcie zrobił KAL, a nasz króliczek zaplątał się we włosach pięknych sióstr.

ILUSTRACJE – PIOTR MAŁECKI (3, 18), T. L. LITT (3), STEPHANIE SEYMOUR (3), STATHIS ORPHANOS (3), LOUIE SAHUC (3), ROB RICH (3), SCOTT ORAZEN (3), ANDRZEJ PĄGOWSKI (11, 103), SYGMA (16), MACIEJ BRZOZOWSKI (18), RICHARD FEGLEY (118), PETER PALOMB (118), MARC HAUSER CENTER (118), HERB RITTS (118). **TEKSTY** – TOMASZ RACZEK (3, 116), PRZEMYSŁAW BERG (9, 11, 22, 26, 62, 117), STANISŁAW TRZCIŃSKI (11), ANDRZEJ SIENKIEWICZ (18,103), KATARZYNA NAZAREWICZ (18), KRYSTYNA LUBELSKA (115, 116), EWA KOŚCIELSKA (118), EWA WILK (117). **TŁUMACZENIA** – MONIKA SZYMANOWSKA (25, 86-93, 115, 116), ANDRZEJ SIENKIEWICZ (48-49, 68-71, 117), PRZEMYSŁAW BERG (38-45), EWA KOŚCIELSKA (50-61), ZUZANNA NACZYŃSKA (34-36, 105-108), AGNIESZKA GONERA (95-99). © PLAYBOY 1993 AS TO MATERIAL PUBLISHED IN THE FEBRUARY 1968, OCTOBER 1984, JUNE 1991, SEPTEMBER 1991, JUNE 1992, DECEMBER 1992, MARCH 1993, MAY 1993, JUNE 1993 ISSUES OF THE U.S. EDITION OF PLAYBOY. PLAYBOY, PLAYMATE, RABBIT HEAD AND FEMLIN ARE REGISTERED TRADEMARKS OF PLAYBOY ENTERPRISES INC. U.S.A.

Nikon

Przedstawiciel w Polsce - CAMERA®
ul. Marszałkowska 84/92 00-514 Warszawa
tel.: 29 67 80, tel./fax: 21 46 89
Serwis tel.: 29 11 80 fax: 29 07 33

Dwa lata gwarancji!

Nikon
Robimy najlepsze zdjęcia świata.

Madame BOUTIQUE Monsieur

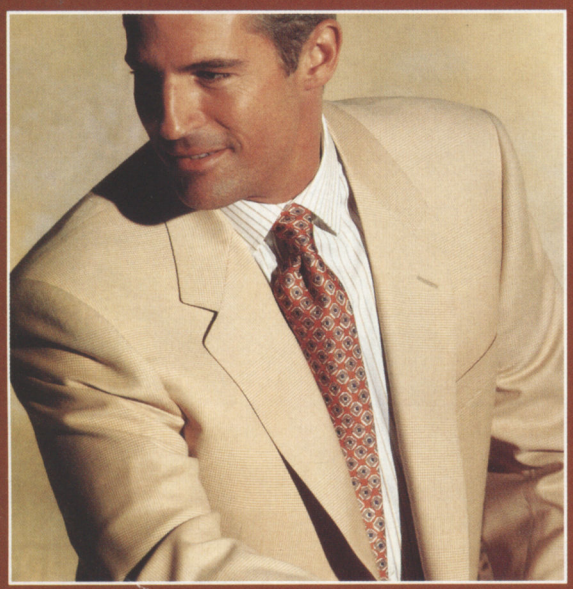

valentino GIORGIO ARMANI byblos
ungaro van Laack
Warszawa, ul. Orla 8 tel. 20-05-97

PLAYBOY
HUGH M. HEFNER
editor-in-chief

EDYCJA POLSKA
BEATA MILEWSKA, *wydawca*

TOMASZ RACZEK, *dyrektor edycji polskiej*
ANDRZEJ PĄGOWSKI, *dyrektor artystyczny*

Sekretarz redakcji: EWA KOŚCIELSKA *Publicystyka:* PRZEMYSŁAW BERG, KATARZYNA NAZAREWICZ *Literatura:* HANNA ADAMKOWSKA *Styl:* ANDRZEJ SIENKIEWICZ *Tłumaczenia:* MONIKA SZYMANOWSKA *Licencje:* ANNA NIEWODZKA *Opracowanie graficzne:* MACIEJ KAŁKUS *Łamanie:* KRZYSZTOF CIĘŻKOWSKI, LECHOSŁAW CARNELLI *Skład:* MARTA ROZENBAJGIER *Korekta:* ELŻBIETA WYGODA *Sekretariat:* DANUTA POPIELARSKA
Plac Słoneczny 4, 01-528 Warszawa,
Telefon: (22) 39-22-53 Fax: (22) 39-94-41

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:
HANNA BAKUŁA, ANDRZEJ FĄFARA, JACEK GAWŁOWSKI, MACIEJ JĘDRYSIK, ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI, KRZYSZTOF KUPCZYK, MARCIN KYDRYŃSKI, KRYSTYNA LUBELSKA, EDWARD LUTCZYN, PIOTR MAŁECKI, WOJCIECH MANN, MACIEJ MAŃKOWSKI, TOMASZ MIRKOWICZ, SŁAWOMIR MIZERSKI, JAN MŁODOŻENIEC, ZUZANNA NACZYŃSKA, MAREK NIEDŹWIECKI, WITOLD PASEK, WALDEMAR ŚWIERZY, MAREK WIERNIK, EWA WILK, KONRAD J. ZARĘBSKI, WŁODZIMIERZ ZIENTARSKI, ZENON ŻYBURTOWICZ

PLAYBOY USA:
ARTHUR KRETCHMER, *editorial director,* TOM STAEBLER, *art director,* GARY COLE, *photography director*

PLAYBOY INTERNATIONAL PUBLISHING:
HARESH SHAH, *director,* HENRY W. MARKS, *director, advertising and marketing,* JUDIE FELDMAN, *traffic and production supervisor,* KAREN ZIFFRA, *editorial services administrator,* MARY NASTOS, TANYA ROBINSON, *assistants*

WYDAWNICTWO "VIPRESS POLAND":
TOMASZ ZIĘBA, *dyrektor generalny*
Reklama: HALSZKA CIOŁKOWSKA,
Sieroszewskiego 16A, 81-376 Gdynia
Telefon/Fax: (58) 20-83-76

Reklama: BARBARA ARGASIŃSKA,
Public relations: DOROTA KAMIŃSKA
Kolportaż: ROBERT JARUGA
Plac Słoneczny 4, 01-528 Warszawa
Telefon: (22) 39-22-53 Fax: (22) 39-94-41

PRZYGOTOWANIE:
WS spol. s. o. repro
Mezi rolemi 45, CS 15800 Praha 5
Telefon (02) 52 53 60, 52 10 89
Fax (02) 52 50 57

DRUK:
OBERNDORFER DRUCKEREI G.m.b.H
Rollen-Offsetdruck und Industriebuchbinderei
A-5110 Oberndorf bei Salzburg
Telefon 0 62 72/7133-0, Telefax 0 62 72/713311
Telex 633241

Playboy, Playmate and Rabbit Head Design are registred trademarks of and used under licence from Playboy Enterprises, Inc.

COPYRIGHT: VIPress Poland 1993
NR INDEKSU 369055

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych.
"Playboy", "Playmate" i "Rabbit Head Design" są zarejestrowanymi znakami handlowymi, użytymi na podstawie licencji udzielonej przez Playboy Enterprises, Inc.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa VIPress Poland.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.

DROGI PLAYBOYU

Playboy - edycja polska
Plac Słoneczny 4
01-528 Warszawa

OD REDAKCJI:

Chochlik drukarski, który zamieszał w majowym numerze PLAYBOYA, był wyjątkowo złośliwy i przykry. Przepraszamy bardzo naszego Autora, pana ***Waleriana Borowczyka****, za zniekształcenie Jego imienia na okładce pisma. Przepraszamy także czytelników – listy, które od Państwa w tej sprawie dostaliśmy, dowodzą dużej spostrzegawczości, lecz przede wszystkim – żywego zainteresowania twórczością literacką i filmową Waleriana Borowczyka. Za wszystkie uwagi bardzo dziękujemy.*

•

Jak to możliwe, że na mapce ilustrującej artykuł Witolda Paska „Eterowy zawrót głowy" pominęliście bardzo lubianą i popularną rozgłośnię warszawską, mianowicie radio WAWA? Czyżbyście nie lubili rocka?

Krzysztof Gazdan
Warszawa

Mamy nadzieję, że fani „jedynego rockandrollowego radia w mieście" wybaczą nam to potknięcie. Najwyraźniej liczba stacji radiowych i telewizyjnych w eterze może naprawdę przyprawić o zawrót głowy i dlatego ze skruchą przyznajemy, że różnych nieścisłości znalazło się na naszej mapce więcej. Ponadto wypadki toczą się tak szybko, że od chwili skierowania majowego numeru do druku przybyło nad naszymi głowami sygnałów radiowych i telewizyjnych. Oto wszystkie korekty, które należy wprowadzić do przedstawionego w PLAYBOYU obrazu polskiej prywatnej radiofonii i telewizji:

1. Poznańskie radio MERKURY nie tylko nie jest stacją piracką, lecz wręcz państwową. Należałoby zatem usunąć je z naszej mapy.

2. Gdańskie radio PLUS zamiast pod znaczkiem z flagą piracką powinno być umieszczone pod znaczkiem radia kościelnego (diecezjalnego).

3. Warszawskie radio WAWA, którego na mapie w ogóle zabrakło, jest szanowaną rozgłośnią piracką i jako takie należy je umieścić obok Koloru, Mozarta i Jutrzenki.

4. W przestrzeni satelitarnej pojawiła się działająca legalnie, nadawana z ulicy Woronicza w Warszawie, telewizja POLONIA. Posiadacze anten satelitarnych mogą odbierać jej program poprzez Eutelsat II F3.

5. Natomiast poprzez satelitę Astra 1A nadaje swój program radio RFM-FM.

Taki stan rzeczy obowiązywał w maju b.r. Być może, kiedy wezmą Państwo ten numer do ręki, „Ustawa o radiofonii..." spowoduje kolejne zmiany w tym na razie bardzo chwiejnym układzie.

Numer czwarty bije dotychczas wydane – świetne dziewczyny (Fawna też była piękna) no i ciekawe teksty. Pod *Filozofią Playboya* podpisuję się wszystkimi kończynami, mam dopiero dwadzieścia sześć lat i, niestety, nawet wśród moich rówieśników trafiają się ludzie obłudni wobec samych siebie – nie mówiąc o pokoleniu moich rodziców. Wywiad z Sharon Stone przeżyłem emocjonalnie – czytałem z drżącymi rękoma.

Krzysztof Łukanowski
Solec Kujawski

Czytelnicy PLAYBOYA należą do różnej kategorii wiekowej. W naszej rodzinie czyta was Ola (8 miesięcy), jej rodzice i dziadkowie. Każdy znajduje tam coś innego, ale najwięcej Ola (ach, te zdjęcia i obrazki!)

Ola oraz Agata
i Jarosław Żołyniak
Łódź

CORINNA HARNEY

PLAYBOYA zacząłem czytać od lutego 1993 roku. Nie ze wszystkim się zgadzam, na przykład z panem Kałużyńskim, jeśli chodzi o niektóre filmy, ale przez to pismo nie traci na atrakcyjności. Wybitni ludzie udzielają wam wywiadów i odpowiadają na *20 pytań*. Wszystko jest utrzymane na światowym poziomie, każdy numer czytam od deski do deski. Najmocniejszą stroną są jednak dziewczyny. Są piękne. Ostatnio bardzo podobała mi się Morgan Fox. Szkoda tylko, że nie są to Polki. Przecież w Polsce nie brak pięknych dziewcząt. Chyba zdają już sobie sprawę z tego, że pozować dla PLAYBOYA to wielki zaszczyt i być może początek kariery, na przykład fotomodelki. Jest to na pewno wielka przygoda. Brak zdjęć naszych dziewcząt nie zmniejsza zainteresowania pismem, ale to przecież edycja polska!

Janek
Białystok

W kwietniowym wydaniu PLAYBOYA dziewiętnastoletni Hieronim pyta o radę, stwierdzając jednocześnie „do specjalisty nie pójdę". W załączeniu przesyłam dziesięć egzemplarzy książki dr. Kazimierza Szczerby *W kręgu Erosa i Psyche*. Serdecznie proszę o przekazanie tytułu Czytelnikom potrzebującym pomocy. Wierzę, że coś z tej lektury wyniosą. Książkę dr. Kazimierza Szczerby polecam młodzieży, gdyż w sposób klarowny pomaga w poznaniu swoich problemów.

Jan Akielaszek
Miryan Press
Wrocław

Z przyjemnością polecamy czytelnikom nadesłaną przez Pana książkę. W przystępny i rzeczowy sposób autor opisuje w niej podstawowe zagadnienia dotyczące więzi uczuciowych i seksualnych. Jest to ten zakres wiedzy, którym powinien dysponować każdy młody człowiek wchodzący w dojrzałe życie. Osoby zainteresowane otrzymaniem książki prosimy o listowny lub telefoniczny kontakt z redakcją.

Twoim zadaniem jest chyba podkreślanie zalet płci pięknej, nie zaś eksponowanie jej wad? Chciałbym na przykład wierzyć, że głupie kobiety nie istnieją, ale ty mi w tym nie pomagasz. Na litość boską, po co zadawać aż tyle pytań Cindy Crawford? Dziewczyna tylko męczy się niepotrzebnie na trzech stronach pisma! Jest śliczna, więc wolałbym zobaczyć więcej jej zdjęć, nawet w ubraniu, zamiast czytać te banały. Jeszcze gorzej z Corinną Harney. Poetka z Las Vegas – mam nadzieję, że to była ironia! Pomijając kiczowaty wiersz (współczuję tłumaczowi), jaki poziom umysłowy reprezentuje dziewczyna, która lubi straszyć ludzi na ulicach i na dodatek się tym chwali?

Jacek Szyperski
Kraków

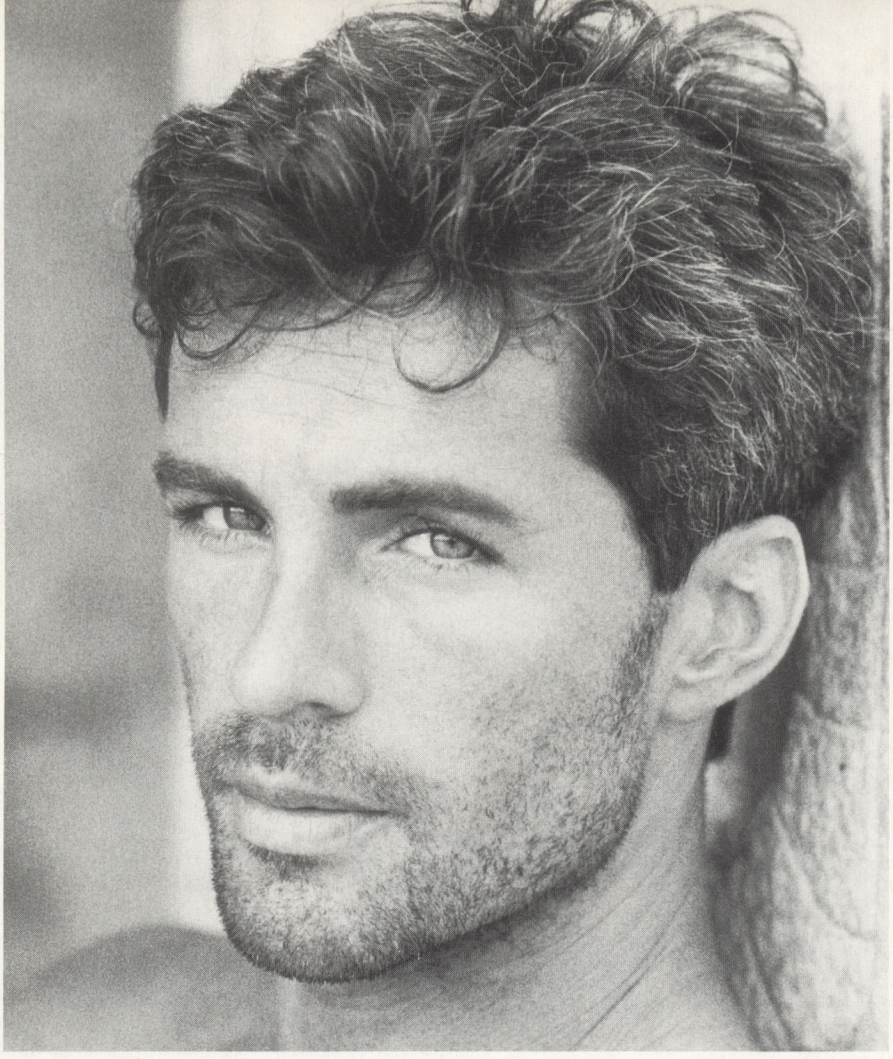

ADIDAS ACTIVE BODIES

NOWA SERIA KOSMETYKÓW **ADIDAS** DLA WSPÓŁCZESNEGO, AKTYWNEGO MĘŻCZYZNY.
ACTIVE BODIES TO BALSAM PO GOLENIU, WODA TOALETOWA W SPRAY'U,
WODA KOLOŃSKA PO GOLENIU, DEZODORANTY I ŻEL DO KĄPIELI.

PLAYBOY PO GODZINACH

EMERYCI – PODZIELENI

W Polsce istnieje aż pięć partii emeryckich. Trudno powiedzieć dlaczego środowisko emerytów i rencistów jest tak podzielone, gdyż wszystkie partie już od dłuższego czasu deklarują chęć szybkiego i trwałego zjednoczenia. Niedawno odbył się w Kaliszu nadzwyczajny zjazd Polskiej Partii Ochrony Emerytów i Rencistów, na którym wybrano nowego przewodniczącego. Jednak były przewodniczący wystąpił do sądu sprzeciwiając się tej decyzji i twierdząc, że zjazd był niezgodny z prawem. Najprawdopodobniej więc powstanie w Polsce szósta partia reprezentująca interesy tego środowiska. Gdy powstanie dziesiąta, niezwłocznie zawiadomimy o tym naszych czytelników.

SUPERGAŻA

Arnold Schwarzenegger od kilku już lat jest najlepiej zarabiającym amerykańskim aktorem. Ostatnio ustanowił rekord świata w wysokości gaży. Zagra główną rolę w *Krzyżowcach* Paula Verhoevena, a za swoją pracę otrzyma wynagrodzenie w wysokości dwudziestu milionów dolarów (!). Jak obliczają specjaliści z Hollywood, jest to suma wystarczająca na nakręcenie całego filmu, w którym biorą udział mniej utytułowani aktorzy. Ciężka praca włożona w ćwiczenie mięśni i uzyskanie atletycznej sylwetki w wypadku Schwarzeneggera się opłaciła.

ZAMIAST EMIGRACJI LUB CHOROBY

Niemal codziennie dowiadujemy się o tym, że szef tej czy innej firmy, która dotąd prosperowała wyśmienicie i bez zarzutu, okazuje się zwykłym naciągaczem lub nawet złodziejem. Gdy grunt zaczyna mu się palić pod nogami, biedak najczęściej ratuje się ucieczką za granicę lub zaczyna nagle bardzo ciężko chorować. Mamy doskonałą wiadomość dla wszystkich nieuczciwych biznesmenów, którzy z przestrachem oczekują dnia wpadki: wydawnictwo Polczek opublikowało bardzo interesujący *Słownik wiedzy tajemnej*, pochodzący z XIX wieku, autorstwa J. Collina de Plancy. Słownik ten jest opatrzony wstępem samego Umberto Eco, wybitnego współczesnego znawcy zagadnień ezoterycznych. Praca ta zawiera wiele frapujących porad i przepisów, na przykład jak sporządzać atrament służący do spisywania cyrografów. Jest w niej też zawarty dokładny przepis stawania się niewidzialnym, dający odpowiedź na pytanie jak nagle, na jakiś czas, przestać istnieć bez uszczerbku dla zdrowia i życia. Lepsze to niż tułać się po obcych krajach lub symulować atak serca.

JAK ZNALEŹĆ SPONSORA

Warszawska popołudniówka „Express Wieczorny" słynie z ogłoszeń erotycznych. Język tych ogłoszeń staje się coraz bardziej bezpośredni. Oto treść jednego z ostatnich anonsów, który zwrócił naszą uwagę: *Chcesz znaleźć sponsora, przyślij fotooferty.*

SIODEŁKO TEŻ SIĘ LICZY

Przeróżne mogą być przyczyny impotencji. Znawcy sądzą, że impotencja ma najczęściej podłoże psychiczne i może być wywołana na przykład lękiem przed coraz bardziej pewnymi siebie i wyzwolonymi kobietami. Nie zgadza się z tym niemiecki psychoanalityk Horst Eberhard Richter twierdząc, że zbyt często w dociekaniach przyczyn impotencji zapomina się o innych, zupełnie banalnych okolicznościach. Uważa on, że osłabić potencję lub nawet całkowicie oziębić seksualnie mężczyznę mogą: niewłaściwe siodełko roweru, zbyt obcisłe kalesony z poliestru, kawa, nikotyna, różnego rodzaju leki i alkohol. Z kolei angielski badacz impotencji George Belham w następujący sposób ocenia skuteczność jej leczenia afrodyzjakami: niemal wszystkie afrodyzjaki mają dwie rzeczy wspólne – są niebezpiecznie i całkowicie bezwartościowe.

ILUSTRACJA WALDEMAR ŚWIERZY

ŁÓDŹ DLA ANASTAZJI

Anastazja P. zapowiedziała, że zamierza ubiegać się o mandat poselski w przyszłych wyborach, najchętniej w okręgu łódzkim, gdzie jak przypuszcza, o parlamentarne fotele ubiegać się będą posłowie Kern i Niesiołowski. Spytana, czy czuje się polską Ciccioliną, odpowiedziała: *Od Ciccioliny dzieli mnie wszystko: nie mam ani tak długich nóg, ani jej blond włosów, ani filmowych talentów. I nie ubiegałabym się o poselski fotel na zasadzie dowcipu.* Jakie są prawdziwe motywy tej decyzji, jeszcze nie wiemy.

POLICYJNY FEMINIZM

Polki coraz bardziej interesują się pracą w policji. W ubiegłym roku na jedno miejsce w Wyższej Szkole Policyjnej w Szczytnie przypadało aż 35 kandydatek. W tym roku zainteresowanie jest jeszcze większe. Obecnie zawodu policjanta uczy się w Szczytnie 140 dziewcząt. Wymagania egzaminacyjne są wysokie: minimum 164 cm wzrostu, brak takich wad jak płaskostopie, skolioza kręgosłupa i skazy na skórze, a ponadto duża wiedza, dobra kondycja fizyczna i znajomość języków obcych. Jeden z męskich organizatorów szkoły tak wspomina ubiegłoroczny egzamin: *Aż żal, że to komputer selekcjonował kandydatki, a nie my.*

FAKTY

WAŻNE, NIEWAŻNE, ALE CIEKAWE

ZMIERZCH WINYLOWEJ EPOKI

Od kilku lat na świecie drastycznie spada produkcja tradycyjnych płyt winylowych. Wypierają je compacty i kasety. Francja jest drugim po Japonii krajem, w którym wydawcy płyt postanowili od maja tego roku zaprzestać produkcji 45-obrotowych winylowych singli. W zeszłym roku sprzedano we Francji tylko sześć milionów sztuk, co stanowi pięć procent obrotów na rynku audio w tym kraju.

ANTYKONCEPCJA PO POLSKU

Ponad połowa Polaków ankietowanych przez Demoskop nie zgadza się ze stanowiskiem Kościoła zakazującym innych niż naturalne sposobów zapobiegania ciąży. Pogląd taki akceptuje tylko 16 procent badanych.

•

Jedynie 19 procent Polaków stosuje środki antykoncepcyjne, w tym 22 procent mężczyzn i 16 procent kobiet. Najczęściej używają ich osoby między 25 a 39 rokiem życia.

•

Co trzeci badany uważa, że największą barierą w stosowaniu środków antykoncepcyjnych jest niska kultura seksualna społeczeństwa i brak nawyków w tym względzie. Co piąty sądzi, że przeszkodą jest zwykły wstyd.

PO ZAKUPY!

Amerykanie obliczyli jaki jest udźwig męskiego członka w trakcie wzwodu: średnio 5-6 funtów, czyli około 2,5 kilograma.

MILIONY DLA SZYMPANSÓW

Amerykańskie Siły Powietrzne żądają od budżetu federalnego sumy 6,5 miliona dolarów, która ma być przeznaczona na dożywotnią opiekę nad szympansami, biorącymi udział w lotniczych i kosmicznych eksperymentach.

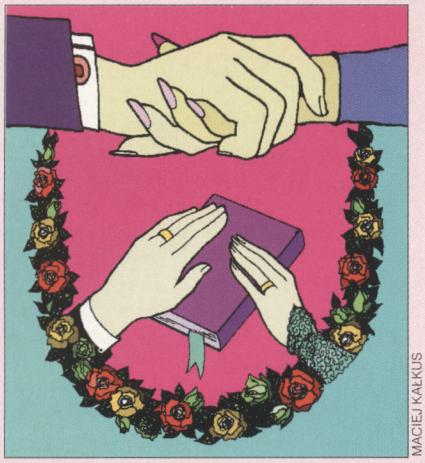

MACIEJ KAŁKUS

KOCIA ŁAPA

W Polsce 1,2 procent wszystkich par żyje w tzw. wolnym związku. Według danych Narodowego Spisu Powszechnego liczba ta nie zmienia się w naszym kraju od wielu lat. Tymczasem Watykan uznaje wolne związki – na równi z poligamią, cudzołóstwem i rozwodami – za obrazę godności małżeństwa.

HANDEL KWITNIE

Niemcy są w Europie głównym kontrahentem handlarzy żywym towarem, specjalizujących się w dostarczaniu do tamtejszych domów publicznych młodych dziewcząt z państw byłego ZSRR, a także z Czech, Bułgarii, Rumunii i Polski. Cena jednej dziewczyny na niemieckim rynku waha się w granicach 8-18 tysięcy marek. Policja niemiecka uważa, że procederem sprowadzania dziewcząt, a następnie odstępowania ich do domów publicznych, trudni się co najmniej 60 agencji matrymonialnych. Każda z nich „kupuje" i „sprzedaje" rocznie od 20 do 300 dziewcząt.

SAMOTNOŚĆ W CENIE

W Stanach Zjednoczonych rośnie liczba mężczyzn unikających małżeństwa. W 1970 roku, wśród mężczyzn pomiędzy 30 a 34 rokiem życia 9,4 procent stanowili kawalerowie. W 1991 roku wskaźnik ten wzrósł do 27 procent.

POSŁUGI ELEKTRONICZNE

Izraelska firma telefoniczna umożliwiła wiernym gromadzącym się na modłach pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie przesyłanie wszelkich informacji, próśb i skarg do Pana Boga drogą telefoniczną. Z kolei władze Kościoła katolickiego w Vicenzy we Włoszech zezwoliły wiernym na spowiedź za pośrednictwem faksu.

COŚ NA POROST

Japońska firma Daiichi Pharmaceutical oferuje do sprzedaży komplet płyt z szesnastoma utworami Mozarta, które – gdy są odtwarzane w odpowiedniej kolejności – wpływają korzystnie na porost włosów. Terapia ta przewiduje również wcieranie w głowę specjalnego eliksiru, przy czym narzędziem masażu muszą być kobiece piersi. Wyniki pewnych badań amerykańskich sugerują, że łysi są aż sześciokrotnie bardziej pobudliwi i aktywni seksualnie niż niełysi. Perspektywa masażu przy użyciu piersi ma zachęcić łysych do sięgnięcia po reklamowany środek: Mozarta i cudowny eliksir.

UDANY BARTER

Przy okazji konferencji na temat AIDS w Rydze, zorganizowanej przez WHO dla przedstawicieli rządów państw Europy Wschodniej, Unimil, jedyny polski producent przyzwoitej jakości prezerwatyw, nawiązał kontakt z partnerem handlowym z Białorusi. Obie strony planują zawarcie transakcji barterowej. Unimil dostarczy prezerwatywy, białoruski kontrahent traktory. Mimo że w Polsce mogą wystąpić pewne trudności ze sprzedażą białoruskich traktorów, negocjacje trwają.

TO SĄ PIENIĄDZE!

Jak obliczono, kasyna Nevady zarobiły na swojej działalności w 1992 roku 5,5 miliarda dolarów. Wynika z tego, że w każdej sekundzie kasyna tego stanu zarabiają 200 dolarów.

PORIZKOVA I KARALUCHY

Słynna modelka Paulina Porizkowa odkryła w sobie nowy talent. Jest autorką interesującej książki dla dzieci, której bohaterami są karaluchy. Główną postacią jest Karaluch Ralph, zamieszkujący niewielką wioskę Roachtown usytuowaną za kredensem w opuszczonym domu w Nowym Jorku. Ralph ma wiele przygód i jest bardzo sympatycznym stworzeniem. Właśnie zmiana wrogiego stosunku ludzi do tych owadów na bardziej przyjacielskie była głównym celem autorki. Agencje milczą o tym, czy Paulina jest konsekwentna i toleruje obecność tych miłych wielonogów we własnym domu.

W TROSCE O ZDROWIE

Po to, by uchronić obywateli Newcastle w stanie Wyoming przed częstymi zaziębieniami, władze tego miasta wydały postanowienie zakazujące uprawiania seksu przy ladach chłodniczych w supermarketach. Nie zakazuje się zbliżeń w tych miejscach supermarketów, gdzie panuje wyższa temperatura.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Ludzie honoru Mamy parę filmów amerykańskich z centralnymi rolami aktorów-wirtuozów; to chyba nie przypadek, lecz ostatnia tendencja w Hollywood, na co wskazywałaby też tegoroczna nagroda Oscara dla Ala Pacino w głośnym *Zapachu kobiety*. *Ludzie honoru* tyczą amerykańskiej armii oraz sądownictwa, których zwyczaje różnią się od naszych. Dwaj żołnierze na ryzykownej placówce na Kubie zamordowali kolegę i stają przed sądem. Broni ich młody energiczny wojskowy adwokat, bo wszystko odbywa się w ramach administracji militarnej – Tom Cruise, który wykrył, że zabójcy otrzymali potajemny rozkaz, by ukarać czarną owcę pułku, za co odpowiedzialny jest dowódca Jack Nicholson, lecz co ukrywane jest za cichą, wspólną zgodą. Starcie między idealistą-adwokatem i imponującym pułkownikiem, w wykonaniu dwóch pierwszej klasy aktorów, to kawał widowiska, mimo że komplikacje przewodu, przedstawione tu z zamiłowaniem przez scenarzystę (była to sztuka), nie zawsze są dla nas uchwytne. Ale wreszcie, czyż nie jest to konflikt między tyrańskim rygoryzmem wojskowym i poczuciem sprawiedliwości – temat, niestety, znany nam również? Prawo tryumfuje, choć wydało mi się niepokojące, że zabójcy wyszli wolno; ale może z perspektywy USA było to w porządku? W każdym razie, starcie Toma z Jackiem wystarcza, by nie odrywać oczu od ekranu.¥¥

•

Mroki miasta Następny film o podobnym założeniu: wielka rola na tle kipiącego realizmu. Robert de Niro, kto wie czy w aktualnej plejadzie hollywoodzkiej nie najbardziej wszechstronny, gra tu postać nową w swojej karierze, wypełnionej galerią psychopatów o podwójnym dnie, zarazem uczuciowych i morderczych, prawie szekspirowskich... (*Taksówkarz*, *Przylądek strachu*). Tu jest partackim adwokaciną, który usiłuje „coś wreszcie zrobić", czyli założyć ośrodek sportu bokserskiego, ale nic mu nie wychodzi, jest stale w pogoni za paroma dolarami, stale na granicy nieuczciwości, stale w konflikcie z wierzycielami, z mężem Jessiki Lange, z którą pokątnie podżywa, z mafią, która go omal nie zabija... figura żałosna, budząca na przemian wzgardę, litość bądź wzruszenie ramion, przy tym miota się ze wściekłą, mimo że daremną energią, i w rezultacie swoją nikczemną postacią zapełnia ekran: kontrast między jego nicością i ciągłym zaabsorbowaniem, do którego zmusza nie tylko otoczenie, ale i nas, daje oryginalny sukces sztuki aktorskiej. Dla widzów nadwiślańskich rezultat jest podobny jak w *Ludziach honoru*: perypetie (owe intrygi mafia – środowisko boksu) są nieprzejrzyste, ale czy to ważne? Patrzymy ze współczuciem jak de Niro się miota, i to wystarcza. Skądinąd jest tu też atmosfera dna nowojorskiego, owej szarpaniny o przeżycie środowiska jakże różnego od apartamentów Woody Allena...¥¥

Madonna i Willem Dafoe – *Sidła miłości*

Aktorskie popisy
w wykonaniu
solistów – wirtuozów

•

Przypadkowy bohater Trzeci przykład popisu aktorskiego. Dustin Hoffman jest wykolejeńcem utrzymującym się z paserstwa, zagrożonym przez policję: przypadkowo znalazł się na autostradzie, przy której spadł samolot po awarii, otworzył zablokowany właz, pomógł wydostać się reporterce TV Geenie Davis (*Thelma i Louise*), po czym wymknął się w obawie że będzie przesłuchiwany, nie zdając sobie sprawy z udzielonej pomocy. Tymczasem Geena wszczyna telewizyjne poszukiwania herosa z nagrodą miliona dolarów i zgłasza się inny oberwaniec Andy Garcia (znany u nas z *Ojca Chrzestnego 3*), który wszedł w posiadanie dowodu (trzewik zgubiony przez Hoffmana na miejscu wypadku), no i zaczyna się komedia mistyfikacji. Tercet aktorski ma tu okazję do gamy, od komizmu do sentymentalizmu, bo jak zwykle w farsie amerykańskiej, mali oszuści, a tacy są tu wszyscy, najpierw odnoszą sukcesy, potem wpadają w tarapaty, zaś kończy się to wzajemnym wzruszającym wybaczeniem. Ale prócz rozgrywki osobistej jest tu kawał satyry na telewizję, i w tym względzie *Bohater*, film wyreżyserowany przez Anglika Stephena Frearsa (*Niebezpieczne związki*), okazuje się czołową pozycją kina anty-szklany-ekran. Temat jest bowiem faworytem Hollywood! Nic dziwnego: TV to wróg kina. Zostaje więc rozpętana idiotyczna propaganda kultu bohatera, posuwająca się do surrealizmu: zaczyna on czynić cuda, uzdrawiając nieuleczalnie chorych, zaś Geena daje żywiołową karykaturę zablagowanej wydry telewizyjnej. Jedna z najlepszych komedii sezonu. ¥¥¥

•

Sidła miłości Kompletna klęska w połączeniu z kompletnym tryumfem – tak przedziwnie należałoby określić każde wystąpienie Madonny.

Otóż być może na tym właśnie polega jej pozycja, już nie do wymazania z kultury popularnej: zrobiła ona monument z przegranej przeciętności. Tego zaś jeszcze nie było! Sama zresztą ten swój program deklaruje: w przeciwieństwie do wielkich gwiazd – jej poprzedniczek – jest byle jaka. Nie umiem śpiewać – oświadcza – mimo że mogłabym się nauczyć, ale robię to tak jak może każda dziewczyna; nogi mam za krótkie i nie potrafię tańczyć baletowo, ale wy także; w filmach mi się nie powodzi, jak bywa z większością dziewczyn, i w każdym mnie zabijają; na co inne gwiazdy ekranu nigdy by się nie zgodziły (np. *Dick Tracy*).

Tutaj również Madonna ginie, ale przedtem wykonuje komplet aktów rozpusty sado-masochistycznej, przyprawia o śmierć starego bogatego degenerata, za co staje przed sądem, pieści w sposób wyrafinowany adwokata, który jej broni itp. Madonna bowiem jest wyuzdana i to następny istotny element jej postaci. Przyjmuje się ją albo nie, i proszę nie oczekiwać bym napisał coś mądrzejszego. Prywatnie mogę polecić scenę, gdy Madonna w akcie szaleństwa seksu leje gorącą parafinę ze świecy na męskie urządzenie partnera (którego nie widać, bo nie jest to bynajmniej jakieś hard-porno). Ma przy tym minę, jakby sprawdzała czy kartofle w garnku już się ugotowały. Daję filmowi jednego króliczka, ale to z konieczności urzędowej: Madonna bowiem jest poza klasyfikacją. ¥

•

Stalingrad Zapewne nie mogę być bezstronnym widzem tego filmu, jako starzec, który ocalał z Generalnej Guberni. Nie spotkałem tam, przez całe cztery lata, takich humanistycznie wrażliwych żołnierzy Wehrmachtu jak na tym filmie; przeciwnie, byłem świadkiem, jak wykonywali egzekucje z iście niemiecką skrupulatnością. Tutaj jest w tym względzie scena dająca do myślenia: okrutny oficer każe rozstrzelać „bolszewickich sabotażystów", w tym dwunastoletniego chłopca. *Znamy tego małego* – mówi podoficer – *plątał się tu z nami, niech mu pan daruje*. Ale dowódca jest bezlitosny, co plutonem wstrząsnęło; niemniej wreszcie strzelali. Otóż zastanawia mnie, że chcieli uratować TYLKO

Ambitni w komercyjnej dżungli

OKOLICE KAMERY

Bracia Coen to ciekawa para. Urodzony w 1954 roku **Joel** studiował reżyserię w Nowym Jorku, o trzy lata młodszy **Ethan** – filozofię w Princeton. Wspólnie piszą scenariusze i reżyserują. Swój rodzinny interes nazywają po prostu przyjaźnią. Zdobyli mocną pozycję zaledwie czterema filmami: *Blood Simple* (1985), *Raising Arizona* (1987), *Ścieżka strachu* (1990, PB 1/92) i *Barton Fink* (1991, PB 6/93). Analizami tego ostatniego zapisano tony papieru. Porównania z Hitchcockiem, Polańskim, Allenem i Lynchem, genialna mieszanka gatunków filmowych, wielka metafora losu ambitnego twórcy w komercyjnej dżungli... Rzeczywiście, można zaryzykować stwierdzenie, że perypetie żydowskiego intelektualisty Bartona Finka w Hollywood charakteryzują w pewien, rzecz jasna karykaturalny sposób, sytuację Coenów w amerykańskim show-businessie. Film zawojował wprawdzie Cannes i jako pierwszy w historii festiwalu zdobył trzy główne trofea, ale u wszechpotężnej publiczności w USA poszło nieco gorzej. Wyrok skądinąd przychylnej krytyki brzmiał jak zwykle w takich przypadkach: dla Amerykanów to za inteligentne. Coenowie się nie przejęli. Publicity traktują z umiarkowanym szacunkiem, a swój sukces artystyczny z dystansem. Nie lubią banalnych pytań ani entuzjastycznych sloganów, więc ośmieszają dziennikarzy, ignorując nawet pochlebców. Równie przewrotni jak kino, które uprawiają, w wywiadzie dla brytyjskiego miesięcznika „Empire" powiedzieli między innymi: *Próbujemy robić to, co obaj najbardziej lubimy. Na przykład często jeździmy na nartach. (...) Mroczny klimat „Bartona Finka"? Nie bardzo wiemy, o co chodzi. Przeczytaliśmy o tym dopiero na plakatach. To chyba jakiś wypadek przy pracy.* Humor broni ich przed zaszufladkowaniem, profesjonalizm – przed podejrzeniem o spóźniony młodzieńczy bunt. Są na fali, choć płyną pod prąd.

MONIKA SZYMANOWSKA

owo dziecko. Skądinąd są dzielni: niszczą trzy czołgi radzieckie prawie gołymi rękami i w ogóle.

Niemniej, po zastanowieniu się i po nakłonieniu się do maksymalnego obiektywizmu, trzeba stwierdzić, że film reprezentuje szczyt uczciwości, na jaką stać opinię niemiecką. Zagłada armii pokazana jest jako nieludzki koszmar bezsensu: jeżeli nawet ci najeźdźcy – bo czymże są wreszcie – przedstawieni zostali jako męczennicy, to jest w tym ta część prawdy, że i oni byli ofiarami. Gdy jeden z nich pyta: *Co o tym myślisz?*, kolega odpowiada: *W ogóle nie myślę. Gdybym myślał, to bym zwariował.* Jednak prawda jest taka, że Hitler nie mógłby zaistnieć, gdyby nie miliony owych obywateli, którzy co prawda sobie tego wszystkiego nie życzyli, lecz mieli trudności z myśleniem.

Są to dzieje oddziału, który walczy w gruzach miasta, i w miarę postępującej klęski chce się uratować, nadaremnie próbując dezercji: giną kolejno wszyscy; szczegóły są wiarygodne; robota filmowa odpowiedzialna; ważna pozycja kina wojennego. ¥¥¥

•

Twin Peaks Ostrzegam z góry: oto film, który ogląda się z trudem, i nawet z irytacją, lecz którego nie sposób pominąć. Przytoczę tu opinię mojej wrażliwej znajomej: *Kompletnie niejasne. Ale to tym lepiej. Gdyby było logiczne, byłoby mniej wciągające: czułam się obezwładniona, manipulowana, to jest nowy rodzaj przyjemności.* Ale inni widzowie wychodzą rozwścieczeni już po kwadransie. David Lynch jest obok Anglika Petera Greenawaya (*Kontrakt rysownika*) czołowym autorem awangardowym kina współczesnego. Rzadkość w Ameryce; nawet gdy trafią się tam eksperymentatorzy, naśladują artystów europejskich. Lynch jest amerykański. Twin Peaks to przeciętne miasteczko w USA, które stanowiło już teren jego serialu TV; ale ten film jest całością oddzielną. Zaczyna się podobnie: od znalezienia zwłok dziewczyny i od śledztwa; po czym pogrążamy się w chaotyczny potok, złożony ze strzępków rozmów, starć, następnych zbrodni coraz bardziej niezrozumiałych: i tu należy się poddać jak na seansie hipnotycznym, bo w przeciwnym razie będziemy się przy każdym kolejnym obrazie coraz bardziej oburzali na skojarzenia, do których brak klucza.

Przeszliśmy przez halucynację, złożoną zresztą ze scen dokładnie widocznych, ale czyż nie tak jest w wizjach? Ten, kto ich doznaje, jest przekonany, że ogląda coś jak najbardziej rzeczywistego, lecz o sensie nieuchwytnym, zasugerowanym... Zło jest wszędzie, jak u Dostojewskiego. Docisnąłem znaczenie tego co się przesuwa przed naszymi oczyma do końca, ale na moją własną odpowiedzialność, i każdy z widzów zaproszony jest do podobnej, może odmiennej refleksji. Można mieć pretensje do reżysera, owszem, ale tego filmu trudno się pozbyć. ¥¥¥

GIEŁDA KINOMANA

Filmy fabularne w notowaniu Zygmunta Kałużyńskiego

Barton Fink (6/93) Młody scenarzysta przybywa do Hollywood w latach 40. i spotyka tam wielkie obsesje Nowego Świata. Kluczowy amerykański film sezonu, Złota Palma w Cannes. ¥¥¥¥

Glengarry Glen Ross (5/93) Popis aktorski Ala Pacino i Jacka Lemmona w dramacie o okrucieństwie wolnej konkurencji handlowej. ¥¥¥

Ludzie honoru (Patrz recenzja) Pojedynek dynamicznego adwokata Toma Cruise z imponującym przedstawicielem armii Jackiem Nicholsonem na sali sądowej. ¥¥

Mężowie i żony (6/93) Kameralna komedyjka Woody Allena o rozchodzących się małżeństwach, które nie mogą się rozejść. ¥¥

Mroki miasta (Patrz recenzja) Robert de Niro w roli dla niego niezwykłej – małego komicznego krętacza na tle mętnych intryg nowojorskich ulic. ¥¥

Myszy i ludzie (5/93) Głośna powieść Steinbecka sprzed pół wieku o nierozgarniętym kolosie Lennie, symbolicznej ofierze wielkiego kryzysu, wraca jako wspomnienie już historyczne. ¥¥

Nagi lunch (6/93) Halucynacje pisarza-narkomana odtworzone na ekranie przez specjalistę od koszmarów SF Davida Cronenberga. ¥¥

Pierścionek z orłem w koronie (6/93) Andrzej Wajda usiłuje poprawić historię oraz własny dorobek, nie udaje mu się w obydwu wypadkach. ¥

Przypadkowy bohater (Patrz recenzja) Dustin Hoffman i Andy Garcia jako wykolejeńcy wmieszani w kolosalną blagę telewizyjną; jedna z najlepszych komedii, gdzie kino mści się na TV. ¥¥¥¥

Sidła miłości (Patrz recenzja) Madonna uprawia zbrodnię, rozpustę i ginie; jeden króliczek symboliczny, bo ona się nie nadaje do punktacji. ¥

Stalingrad (Patrz recenzja) Mamy prawo, by niemiecką wizję drugiej wojny traktować z podejrzliwością, niemniej zamiar poważny, zaś wykonawstwo ma wysoki poziom. ¥¥¥

Twin Peaks (Patrz recenzja) Awangardzista David Lynch odsłania czające się wszędzie zło w halucynacyjnej wizji małego miasteczka. ¥¥¥

Zapach kobiety (6/93) Koncert wirtuoza solisty Ala Pacino w roli oślepłego emerytowanego oficera, zasłużony Oscar '92. ¥¥¥¥

1492 (6/93) Uniwersalny Francuz Depardieu udaje Kolumba przez dwie i pół godziny, ale nie wierzy mu się nawet przez minutę. ¥

¥¥¥¥ trzeba zobaczyć ¥¥ może być
¥¥¥ dobre kino ¥ szkoda czasu

MACIEJ PAROWSKI

Czy wierzą Państwo w istnienie obcych cywilizacji, z którymi spotkanie odmieni nasze życie? Kiedyś możliwą liczbę takich światów szacował serio prof. J. Szkłowski. A może przeraziłby Państwa sfingowany reportaż o lądowaniu Obcych? W 1934 r. słuchowisko Wellesa opowiadające o takim wydarzeniu doprowadziło w Stanach do autentycznej paniki.

To minęło. Dziś prawdziwej science fiction już nie ma, pisze się ją inaczej. Trwa natomiast w miłośnikach gatunku i ożywa czasem we wznowieniach pamięć dawnych uniesień: mity zaludnionego kosmosu, triumfującej nauki i cywilizacji; paradoksy Einsteina i wyczyny zbuntowanych robotów. Dziś trąci to myszką, bo zmieniły się nasze nadzieje, lęki i marzenia. Szkłowski wycofał się z obcologicznych wyliczeń, zdobywanie kosmosu przez człowieka okazało się niepraktyczne.

Literackość, oto patent na science fiction. Wizje SF traktowane dosłownie jako rzeczowa prognoza więdną szybko jak wampir po pianiu trzeciego kura. Mogą natomiast trwać (tak jak ten wampir w kulturze), jeśli traktować je jako zbiór mitologicznych figur, alegorycznych sytuacji i barwnych scenerii, w których dzieją się człowiecze dramaty. Ten nowoczesny, artystyczny stosunek do SF kultywował Philip Dick, amerykański pisarz, autor cenionych u nas powieści *Człowiek z Wysokiego Zamku*, *Ubik*, *Słoneczna loteria*. Używając po mistrzowsku barwnej rekwizytorni gatunkowej opowiada o swoim wariactwie, o doświadczeniach z narkotykami, o uniesieniach religijnych i poszukiwaniach filozoficznych, których leitmotivem była niepewność istnienia świata. W ***Labiryncie śmierci*** (Alfa) – bohaterowie poruszają się w świecie, w którym obecność Boga, Diabła, Chrystusa unaocznia się w sposób fizyczny, choć pod różnymi postaciami; funkcjonuje tu nowa ezoteryczna religia zbudowana z barwnych doświadczeń autora z LSD. Filozoficznie nie schodzi Dick niżej Kołakowskiego, wizjonerstwem dorównuje Boschowi, ale używa scenerii, którą (poza zwolennikami SF) wielu uzna za tanią i jarmarczną. Radzę państwu jednak spróbować, Dick to autor, który osiąga w Polsce najwyższy współczynnik nawróceń na SF.

Przypomnienie i odkurzenie postaci okrutnika z XV-wiecznej Transylwanii – ***Dracula*** Brama Stokera (Alfa) – to zasługa Coppoli; film pociągnął za sobą wydanie książkowe, u nas wstyd się przyznać, pierwsze po wojnie. Książka jest gruba, wspaniale staroświecka, utrzymana w konwencji powieści epistolarnej. Ale bohaterami i rekwizytami w horrorze mogą być także współczesne urządzenia techniczne. Odkrył to bodaj Stephen King wprowadzając na karty prozy mordercze kosiarki, hotele-pułapki, straszne

ANDRZEJ JACYSZYN

Sceneria, którą wielu uzna za tanią i jarmarczną

Dick to autor, który w Polsce osiąga najwyższy współczynnik nawróceń na science fiction.

samochody, stacje benzynowe wysadzane w powietrze przez świrujące nastolatki. Fala tych książek (*Lśnienie*, *Christine*, *Carrie*) przetoczyła się przez księgarnie, dając świadectwo niepokojom cywilizacyjnym. Teraz trwa czas skoncentrowanego na człowieku Cliva Barkera; King zwał go wręcz „przyszłością horroru". Barker, rocznik 1952, autor płodny – ***Powrót z piekła*** (Rebis), ***Cabal nocne plemię*** (Rebis), ***Potępieńcza gra*** (Amber) – opowiada malowniczo o potępieńcach, którzy zdradzili najbliższych, a teraz miotają się na granicy między niebem, ziemią i piekłem.

Świat marzeń rzucony w umowną przeszłość – krainę czarów, wojowników, potworów i magii – proponują autorzy współczesnej baśni, tzw. fantasy. Kolejne wznowienie – jest to wydanie bibliofilskie – ***Władcy Pierścieni*** kanonicznej i kultowej trylogii Tolkiena spotyka się na rynku z książką pt. ***Tolkien – przewodnik encyklopedyczny*** (CIA-Books-Svaro, ltd.) J.E.A. Tylera – swoistą mapą i katalogiem pojęć, postaci, miejsc i wydarzeń występujących w dziele twórcy hobbita Frodo Bagginsa. Inną znaczącą postacią światowej fantasy jest Roger Żelazny. Po ***Światach czarnoksiężnika*** (*Odmieniec* i *Szalony różdżkarz*) Alfy kolejne książki o królestwie Amber – ***Znak jednorożca*** i ***Ręka Oberona***, proponują Iskry. Natomiast polski fenomen fantasy, to Andrzej Sapkowski, twórca wiedźmina Geralta z Rivii, bohatera dwu tomów opowiadań ***Ostatnie życzenie*** i ***Miecz przeznaczenia*** (Nowa). Główny bohater, czarownik i rębajło, moralista i birbant jest nosicielem naszych problemów i wyrazicielem nowoczesnego punktu widzenia w rzeczywistości fantasy, w której znajdziemy ironiczne odwołania również do naszej współczesności i nowożytnych mitologii.

Wszyscy wymienieni dotąd autorzy uprawiają fantastykę (SF, horror, fantasy) jako literaturę wyzwolonej wyobraźni, ale wyraźnie określoną gatunkowo. Tymczasem pełno na ladach fantastyki stosowanej bez ostentacji, z pominięciem charakterystycznych emblematów. Należy tu na pewno powieść Angeli Carter ***Wieczory cyrkowe*** (Czytelnik) fantazjująca barwnie i w duchu epoki na temat tajemniczej artystki trapezu Sophii Fevvers, malowanej przez samego Toulouse-Lautreca czy filozoficzno-policyjne rekonstrukcje-fantazje Marka Pąkcińskiego ***Tajne policje*** (Czytelnik), sięgające do historycznych epizodów z dziejów carskiej Rosji, frankistowskiej Hiszpanii i świata antyku.

Gdybyż ludzkość uważniej czytała autorów z wyobraźnią – ha, pewnie życie duchowe mielibyśmy ciekawsze, ale sny mniej spokojne. Może zresztą o to chodzi.

TORBA Z KSIĄŻKAMI

Boss Bossów (PROFI) Josepha F. O'Briana i Andrisa Kurinsa. Paraliteracki dokument napisany przez agentów FBI, których zadaniem było rozpracowanie amerykańskiej mafii. Akcja ta doprowadziła w 1985 r. do upadku Ojca Chrzestnego, Paula Castellano.

Siódmy syn (Fantastyka, Prószyński i Ska) Orsona Scott Carda. Dalszy ciąg przygód potężnego Endera. Barwna przypowieść o mocarzu i wybrańcu, który musi stawić czoła przeciwnościom, a zarazem wyznaczyć granice zastosowania własnej mocy.

W księżycową jasną noc (Rebis) Williama Whartona. Sześciu amerykańskich chłopców o nieprzeciętnej wrażliwości i inteligencji, wyrwanych z uniwersytetów prosto na front w Ardenach, dostaje mordercze zadanie zwiadowcze, z którym radzą sobie w niekonwencjonalny sposób. Autor po raz kolejny (poprzednio w *Ptaśku* i *Tacie*) manifestuje swoją czułość i szacunek wobec istoty człowieczeństwa.

Autobus do San Juan (W.A.B.) Johna Steinbecka. Ani książka, ani autor nie wymagają rekomendacji. W autobusie przemierzającym drogi amerykańskiego Południa spotykają się przypadkowi pasażerowie. Podczas długiej i pełnej niespodzianek podróży ujawniają się ich dramaty, nadzieje i namiętności.

Piąta profesja (Amber) Davida Morella. Dwaj agenci ochrony uwikłani zostają w sensacyjną intrygę na międzynarodową skalę. Nieznane siły poddają manipulacjom ich pamięć i poczucie czasu. Czyta się z zapartym tchem.

HANNA ADAMKOWSKA

ZNAJOMI Z KASETY

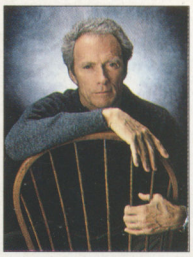

Do amerykańskiego kina wszedł niejako bocznymi drzwiami – dzięki włoskim westernom Sergio Leone. W latach 70. sylwetka bohatera, stworzona na użytek tamtych filmów, przeniosła się już do czysto hollywoodzkiego thrillera. Wkrótce *Dirty Harry* przedzierzgnął się w kumpla z amerykańskiej prowincji, wierzącego w siłę swoich pięści i ideały demokracji. Clint Eastwood stał się bohaterem plebejskim odnosząc jednocześnie coraz większe sukcesy artystyczne – jako aktor, reżyser i producent. Po nagrodach w plebiscytach publiczności i laurach w Cannes przyszła – wreszcie! – pora na Oscara. Dostał go za wierność westernowi – gatunkowi, którego konsekwentnie bronił przed wymarciem. A zanim *Unforgiven* trafi do Polski, mamy do wyboru pełną gamę dokonań Eastwooda z różnych lat: *Dobrzy, źli i brzydcy, Brudny Harry, Wyzwanie, Piorun i Lekka Stopa, Jak tylko potrafisz, Ucieczka z Alcatraz, Firefox, Lina, Niesamowity jeździec, Wzgórze Złamanych Serc, Bira, Biały myśliwy, Czarne serce, Żółtodziób.*

MISTRZ I UCZNIOWIE

Wielu z nas uczyło się video na filmach karate, kung-fu, ninja i tae kwon do. Nadal zresztą cieszą się one sporym powodzeniem – grono ludzi siedzących godzinami przed telewizorem i gorąco dyskutujących dynamiczne sekwencje baletowej walki jest wcale liczne. Dla laika będzie to jednak ciągle ta sama opowiastka o dzielnym mnichu z Shaolin lub innym samotnym mścicielu, który latami wprawiał się w rozlicznych technikach walki wręcz, aby w finale wypełnić swoją misję. Sęk w tym, że oryginalne karate lub kung-fu pochodzi z Chin, a powstające tam filmy charakteryzuje inna poetyka, inne są też schematy sytuacyjne i poczucie humoru, nie mówiąc już o niuansach poszczególnych stylów walki i towarzyszącej im filozofii. Sytuacja zmienia się jednak, gdy w roli skośnookiego Janosika występuje Bruce Lee, który zna równie dobrze reguły walki, jak i zasady rządzące Hollywood. Dalekowschodnia bajka się amerykanizuje, a porywający finał, klarowny niczym westernowy pojedynek, staje się ucztą dla oczu. Szkoda tylko, że wielki Bruce pozostawił tak niewiele filmów: niezapomniane ***Wejście Smoka*** (ITI) oraz ***Drogę Smoka***, ***Grę śmierci, Wściekłe pięści*** i ***Wielkiego Szefa*** (NVC). Naśladowcy bezskutecznie próbują mu dorównać. Niezależnie od tego czy pochodzą z Azji (Jackie Chan – ***Wieczne smoki,*** NVC), z Europy (Jean Claude Van Damme – ***Kickboxer***, Telehit) czy z Ameryki (Michael Dudikoff – ***Amerykański ninja IV***, ITI) – brakuje im polotu, wdzięku i konsekwencji, a może po prostu tej finezji, po której znać mistrza...

Ale nic straconego. Oto rośnie nowe pokolenie następców wielkiego „Małego Smoka", którzy osiągają nieoczekiwane rezultaty, przynajmniej pod względem roboty filmowej ***Trzech małolatów ninja*** (VIM) to urocza komedia sensacyjna. Jej bohaterowie, zakochani w dziadku Chińczyku, walczą o czystość stylu ninja. Oczywiście wygrywają, przy okazji pomagając ojcu, agentowi FBI, rozwikłać skomplikowaną aferę. Film adresowany jest do młodzieży, ale chętnie obejrzą go i dorośli – zwłaszcza jeśli pamiętają żywiołowość i poczucie humoru Bruce'a Lee.

SERIALE, SERIALE (3)

Pora zamknąć rozważania o filmach odcinkowych na kasetach. Ponieważ obecnie ten rodzaj twórczości filmowej związany jest przede wszystkim z telewizją – czas omówić seriale telewizyjne. Na video trafiają w dwóch postaciach: jako całość (dotyczy to miniseriali) lub oddzielne filmy – najczęściej pierwsze odcinki, czyli tzw. piloty. W jednym i drugim wypadku na polskim rynku mamy spory wybór: pozycje te czasem wyprzedzają emisję telewizyjną, czasem ją przypominają. Choćby ***Ucieczka z Sobiboru*** (NVC) – osnuta na faktach historia buntu więźniów obozu koncentracyjnego. Dobre aktorstwo (Arkin, Hauer, Joanna Pacuła), wytrawna reżyseria plus dodatkowe trzydzieści minut, których zabrakło w wersji telewizyjnej. Także tematyce wojennej poświęcony jest francuski serial Claude'a Chabrola ***Cudza krew*** (PAI-Film), z tym że nacisk położono głównie na dramat namiętności i wyeksponowano jak zawsze znakomitą Jodie Foster. Warto też zwrócić uwagę na długi (trzy kasety!) włoski serial przygodowy ***Maktub – prawo pustyni*** (Muvi) ze wspaniałą obsadą (Hauer, Sharif, Gould), nie mniej frapującą fabułą i plenerami, przy których schować się mogą ***Tajemnice Sahary***. Dla miłośników melodramatów znajdą się liczne opowieści w rodzaju ***Edwarda i pani Simpson*** (ITI), ***Spadkobierców Emmy Harte*** (NVC) czy ***Małych ofiar*** (Video Rondo). Wszystkie cechuje dobre aktorstwo, sprawne reżyserskie rzemiosło i „mydlana" fabuła. Na młodszych widzów czeka ***Ania z Zielonego Wzgórza*** (Hanna Barbera) i ***Droga do Avonlea*** (Curtis)...

Obejrzenie serialu w całości przynosi pewną satysfakcję, ale i budzi rozczarowanie pewną monotonią fabularnych schematów i środków aktorskich. Dlatego też bardziej pociągający może się okazać pilot, zwłaszcza jeśli zwiastuje tytuł tak głośny jak ***90210 Beverly Hills*** (Imperial). Zanim więc telewizja uszczęśliwi (?) nas całością, poznajmy sympatycznych uczniów z hollywoodzkiego gimnazjum. Warto, choćby dlatego, że to do tej grupy młodych aktorów być może wkrótce będzie należeć amerykańskie kino...

PORADNIK INTYMNY

Oto nieoczekiwane uzupełnienie erotycznego kanonu współczesnego mężczyzny – prezent od firmy „Fan Media": ***Kamasutra***. Jakiś czas temu ten sam dystrybutor zaoferował ***Poradnik sztuki miłosnej*** – film uznany za kontrowersyjny, choć i w treści, i w warstwie obrazowej mało odkrywczy. ***Kamasutra*** jest utworem znacznie ciekawszym, odważniejszym i na pewno bardziej subtelnym. Jest to bogato ilustrowany wykład na temat technik miłosnych, których rodowód sięga doświadczeń hinduskich bogów, o czym zapewne mało kto wie. Taktowny komentarz kładzie nacisk właśnie na ów rodowód. Obraz nie wdaje się w szczegóły, całość jednak zachęca do eksperymentowania. Czyż nie na tym polega szukanie pełni doznań?

KONRAD J. ZARĘBSKI

NA RÓŻNE NASTROJE

DRAMAT

Nastoletni bojownik IRA zakochany w starszej od siebie wdowie po policjancie – dramat uczuć na tle dramatu Ulsteru: *Cal* z wielką kreacją Helen Mirren i zdjęciami Jerzego Zielińskiego. (Best Film)

MUSICAL

Streisand, Matthau i Louis Armstrong; nieco przydługa, ale nadal świeża opowieść o swatce, która sama wpada w sidła miłości – *Hello, Dolly!*. (Guild)

DOKUMENT

90 minut piłkarskich kiksów i najefektowniejszych bramek samobójczych: ciekawsze niż mecz o mistrzostwo świata, zabawniejsze niż niejedna komedia – *Futbolowe jaja*. (Fan Media)

POLONICUM

Polski reżyser, polska scenarzystka i polska anegdota w amerykańskim filmie *Anna*, czyli nieco prawdy o spotkaniu Joanny Pacuły z Elżbietą Czyżewską w Nowym Jorku. (VIM)

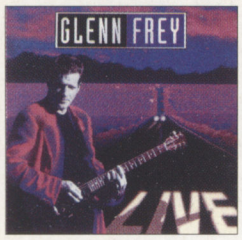

WOJCIECH MANN

Kompakty mogą zmieścić na jednym dysku ponad siedemdziesiąt minut zapisu, ale nieczęsto się zdarza, aby artyści nagrywając kolejną płytę oferowali fanom aż tak wiele premierowego materiału. Oczywiście, są chlubne wyjątki. Ostatnio takie jednokompaktowe „double albumy" zafundowali nam m.in. Kinks, Quireboys (bardzo dobra płyta) i Glenn Frey. Ten ostatni, niegdysiejszy Eagle, wydał płytę zatytułowaną lapidarnie ***Live*** (MCA). I rzeczywiście, jest to rejestracja koncertu w Dublinie z lata 1992. Glenn Frey wraz z dużym zespołem daje nam zestaw typu „best of...". Mamy tu trochę klasycznych utworów z okresu świetności The Eagles, a także największe przeboje Freya z czasów, kiedy występował solo. Stąd może taka szczodrobliwość, bo nie musiał się trudnić i pisać nowych piosenek. Ironia jest tu jednak nie na miejscu, gdyż Frey i jego muzycy prezentują się z jak najlepszej strony. Wszystko świetnie brzmi, koncert ma tempo i profesjonalnie rozłożone akcenty. *Frey Live* to świetna płyta i znakomity prezent dla kogoś, kto chciałby mieć na jednym dysku i *New Kid in Town*, i *Desperado*, i *Smugglers Blues* i jedenaście innych doskonałych utworów. Ale jeśli szukacie dawnej magii, to puśćcie sobie kiedyś ciepłą nocą *Hotel California*. I przymknijcie oczy.

MAREK NIEDŹWIECKI

Dwa lata czekania na nową płytę... ale czy ja jeszcze w ogóle czekałem? Chyba tak, bo nawet gdyby na każdej Sting śpiewał tylko jedną taką piosenkę jak *Mad about You* – warto czekać. On już nigdy nie będzie inny, a może się mylę? Nowy Sting to dla mnie bardzo miła niespodzianka. Po bardzo mrocznej, trochę smutnej i często niezrozumiałej poprzedniej płycie, tym razem mamy znakomity zestaw dwunastu potencjalnych przebojów.

Sting nie ma już problemów z pisaniem, do których się ostatnio przyznawał; jest mu w życiu chyba trochę lepiej i to słychać na pierwszy rzut ucha. Ale gdy wsłuchać się uważniej... tęskni do swej poprzedniej kobiety, a z tego przecież rodzą się najpiękniejsze piosenki. (Ciekawe tylko dlaczego na amerykańskiej płycie pominięto jedną z najładniejszych – *Everybody Laughed?*). Podobno praca nad płytą trwała zaledwie kilka tygodni. To, niestety, słychać w niektórych piosenkach, ale może się tylko czepiam. A może brakuje mi na płycie Marsalisa i Kirklanda, do których Sting już nas przyzwyczaił. Tym razem zaprosił do współpracy dziesięciu muzyków i ciekawe jak to będzie brzmiało na koncertach. To co z piosenki do filmu *Lethal Weapon 3* zrobił Sting na swej płycie graniczy z cudem. Uwielbiam Stinga latynoskiego i chyba dlatego tak lubię słuchać piosenki *Seven Days*. Jeśli dodać do tego dwie piękne ballady – *Fields of Gold* i *Shape of my Heart*... ***Ten Summoner's Tales*** (A & M) to jedna z najważniejszych płyt pierwszej połowy roku.

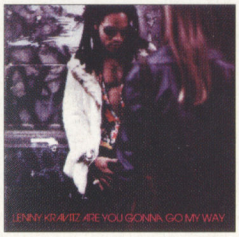

MAREK WIERNIK

Kiedy układałem sobie listę najbardziej pracowitych artystów rockandrollowych, w czołówce znalazł się Lenny Kravitz. Być może facet rozmienia się na drobne, ale jednocześnie trudno odmówić mu wielkiej umiejętności odnajdywania się w różnych stylistykach, w zależności od tego, czy współpracuje z Madonną, Vanessą Paradis, Mickiem Jaggerem, czy grupą Aerosmith. Faktem jest, że Lenny z premedytacją nawiązuje do soulowej i rockowej tradycji, ale przecież ma do tego prawo, a ponadto jest w tych zapożyczeniach tak oryginalny, że aż genialny. Nigdy na przykład nie ukrywał fascynacji twórczością Steviego Wondera, o czym na nowym longplayu przypomina w religijnej balladzie *Heaven Help*. Z kolei w rytmicznym i żywiołowym kawałku *Come On and Love Me* wydaje się być bardzo blisko Sly'a Stone'a. Ale to nie wszystko. Nasz bohater najwyraźniej czuje również sentyment do białej muzyki rodem z Liverpoolu. Chyba się nie mylę, kojarząc utwór *My Love* z beatlesowskim hitem *Paperback Writer*. Nawet ci z państwa, którzy do tej pory nie mieli okazji zapoznać się z krążkiem ***Are You Gonna Go My Way*** (Virgin), mają zapewne w uszach tytułowy przebój z tego albumu. Sprawia wrażenie hołdu, oddanego Jimiemu Hendrixowi, zresztą fantastycznie zaśpiewanego i zagranego, w czym duża zasługa gitarzysty Craiga Rossa. W tym miejscu powinienem jednak ostrzec potencjalnych nabywców płyty Kravitza, spodziewających się wydawnictwa czadowego. Pracuś z Nowego Jorku postawił tym razem zdecydowanie na kompozycje w nastroju melancholijno-refleksyjnym, choć nie pozbawione charakterystycznej dla niego ekspresji. Dzięki modulacjom, zaskakującym zmianom barwy głosu, no i mistrzowskim interpretacjom, krążek ma wspaniałą dramaturgię. Ponadto może być świetną zabawą dla tych, którzy orientują się co nieco w historii soulu i rock and rolla.

W SKRÓCIE

- **Steely Dan**, duet nie istniejący już od ponad trzynastu lat, reaktywował się, aby odbyć trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych. **Walter Becker** i **Donald Fagen** będą mieli na koncertach swoje solowe show (Fagen właśnie wydał pierwszą od jedenastu lat płytę), a razem wykonają znane hity z lat siedemdziesiątych, takie jak *Do it Again* czy *Reeling in the Years*. Szkoda, że nie przyjadą do Europy.
- **Pet Shop Boys** ciężko pracują nad nowym albumem. Będzie bardziej „tańcujący" niż ostatni *Behaviour*. Produkuje go Stephen Hague.
- **Dire Straits** znowu wydają koncertowy album. Nic dziwnego, skoro właśnie dali dwieście dwanaście koncertów na całym świecie.
- **Crowded House** skończyli nagrywać w Nowej Zelandii nową płytę. Bracia **Neil** i **Tim Finn** znów wspólnie napisali piosenki do tego wydawnictwa. Producentem płyty jest Youth.
- **Depeche Mode** zadebiutowali albumem *Songs of Faith and Devotion* na pierwszym miejscu nie tylko w Anglii, ale także w USA! Tego nie spodziewali się nawet oni sami. Ich poprzedni największy sukces na liście Billboardu odnotowała płyta *Violator* – siódme miejsce.
- Na nowej płycie **Vana Morrisona** *Too Long in Exile* pojawiają się gościnnie **John Lee Hooker**, **Candy Dulfer** i **Georgie Fame**.
- **The Peace Together Project** to nowa formacja, która wspiera instytucje charytatywne w Północnej Irlandii. Biorą w niej udział między innymi: **Sinéad O'Connor**, **Peter Gabriel**, **Nanci Griffith**, **Jah Wobble** i **Liam O'Maonlai** (**Hothouse Flowers**). Singel *Be Still* ukazał się w maju, album w czerwcu.
- **Arrested Development**, **LL Cool J.**, **Gang Starr...** to tylko zapowiedź tego, co 1 lipca pojawi się na kolejnej płycie AIDS charity project. Album nosi tytuł *Red Hot and Rap*.

MAREK NIEDŹWIECKI

SEX

Uprawianie miłości jest czynnością miłą. Przed aktem należy partnerkę rozebrać (czasami). To też przyjemność. Odpowiednio zrobiona bielizna łatwo i szybko się zdejmuje lub pozwala zdejmować się po kawałku – dla dłuższej ekscytacji przyszłym smakiem. Oto kilka rad dotyczących niewymownej mody i praktyki noszenia bielizny dla nas, dających prezenty. Chociaż my będziemy oceniać spodnie odzienie wybranki po naszych hormonach, kobiety lubią gdy jest ono zgodne z modą. Kolory: czarny (zawsze), grafitowy, chabrowy, zielony i bordo. Może być w kwiatki i ciapki. Koniecznie z naturalnych tkanin (zwykle z elastycznymi dodatkami): bawełna, batyst, jedwab. Bielizny nie ma co się wstydzić. Koronkowy gorsecik pod marynarką lub tzw. body jako kostium jednoczęściowy i spódnica, batystowy stanik do dżinsów plus trochę wężowych ruchów – i jesteśmy sparaliżowani (na szczęście tylko częściowo). Niezłe marki bielizny: Gossard, Felina (na zdjęciu) La Perla, Emmeci i Wolford.

OSTRE ZAKUPY ZNOWU W WARSZAWIE

Wiele nowych sklepów. Letnie rzeczy kupuje się u nas latem (a nie na wiosnę). Lecz w modzie idzie jesień. Z letnich ostatków jeśli kupicie klasyki dobrej jakości, będzie na zawsze. • *Intersport*, ul. Krucza 23/31 ma ciuchy dla surferów (i nie tylko) – znakomite, sportowe, od O'Neilla • *Fruit of the Loom*, PC Business Center, Koszykowa 54 ma wszelką bawełnę, T-shirty, bieliznę etc. od Fruita • *Rifle*, Pl. Konstytucji 6 – zawsze dobry wybór dżinsów, znakomite koszule, bluzy od Toma Taylora, Levisa etc. • *Accademia*, Al. 3 Maja 2 – rzeczy eleganckie, klasyczne, m.in. od Pal Zileriego • *IKM*, Krakowskie Przedmieście 65 – galanteria skórzana. Pomysłowe i ładne portfele, teczki etc. dla ludzi zajętych. Interesujący pokrowiec podróżny na krawaty.

Najchętniej wkładam wełnianie miękkie garnitury – zwierza się **Marek Siwiec**, poseł SLD, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

– Niestety, nie stać mnie na firmowe. Koszule – ze stuprocentowej bawełny, pastelowe – szare, błękitne, beżowe i różowe. Jestem wierny firmie Polo Ralpha Laurena i ich klasycznemu fasonowi z kołnierzykiem spinanym guzikami. Największą słabość mam do krawatów. Nigdy na nich nie oszczędzam, a dobry kosztuje minimum 100 DM. Moim ulubionym jest zielono-granatowy firmy Dunhill. A buty? Kupuję skórzane pantofle polskiej Alki, wiązane, czasem dwukolorowe. W domu zakładam dres i adidasy typu „streetball", ze wzmocnioną kostką.

Smoking sprawiłem sobie przed pięciu laty – z bielskiej wełny, z jedwabnymi wyłogami i pasem. Zakładam go 2-3 razy w roku, zawsze w Wigilię. Krawiec zostawił z tyłu rezerwy materiału – chwała mu za to!

O MEBLACH, CZYLI POWRÓT LATAJĄCYCH TALERZY

W modzie zapanowało szaleństwo na lata siedemdziesiąte. W meblu domowym szał lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Aerodynamiczne szafy, fotele w kształcie czerwonych krwinek na nóżkach, trójkątne stoliki i krzesła ogrodowe wyplatane plastykową rureczką. Lampy pokojowe wykonane z prętów zbrojeniowych (malowanych na czarno farbą olejną) z kloszami z tłustego papieru nasączonego wzorem przypominającym plamy benzyny na wodzie. Tak, tak, znienawidzone przez estetów późnego Gierka (wciąż żywych), fantastyczne meble z lat szalonego postępu cywilizacji konsumpcyjnej są znów na topie. Wszystko dlatego, że są najczęściej naprawdę oryginalne (pochodzą przecież z UFO), zabawne i błyskotliwe. Trudno traktować je poważnie, z namaszczeniem godnym kredensu naszego życia (rzeźbionego w dębie).

LORD JIM

Cóż, prawdopodobnie każdy z nas ma jacht. Jachtu zaś nie można deptać zbyt brutalnie. Niektórzy chodzą po pokładzie w trampkach, ale to nieelegancko. Właściwe obuwie to takie specjalne pokładowe. Wzór klasyczny – półbuty na gumowej podeszwie z mokasynowym noskiem, sznurowane rzemykiem. Z boku przewleczony przez oczka drugi rzemyk, na pięcie poziomy szew. Całość stebnowana grubą nicią w kontrastowym kolorze. Skóra jasna, naturalna lub granatowa. Takie buty są lekkie, miękkie i wygodne. Znakomicie się noszą z białymi spodniami z płótna żaglowego. Firmy: Lacoste, Camel, Sebago, Kickers i inne. Wzór klasyczny i często produkowany. To idealne buty do pracy na morzu. Muszą być tak zrobione, by dużo wytrzymały – gruba skóra, mocne szycie i podeszwa. Jeżeli są wykonane zbyt „lekko", stanowią model dla majtków o krótkim żywocie (szybko zmywalnych z pokładu).

Gdzie to kupić str. 103

MARTIN HOFFMAN

BAROMETR STYLU		
NAKRYCIA GŁOWY	ROŚNIE	SPADA
STYL	Płócienne czapki z daszkiem, oprychówy; kapelusze słomkowe; bandanki; klimat *znaczy kapitan*; chińszczyzna	Plastykowe czapki baseballowe; przepaski tenisowe, chusty typu Rambo; prześwitujące daszki
KOLORY I TKANINY	Bawełna, len, słomka, wzorzysty jedwab; biały, czarny, khaki; barwy naturalne i wyblakłe	Plastykowa siatka, sztuczne tkaniny; wzory typu *Pustynna Burza* i inne dżungle
DETALE	Znaki wioślarskie, żeglarskie i lotnicze, pognieciony len; daszki wytarte na krawędziach	Nazwy firm i zespołów sportowych

SEBAGO®

DOCKSIDES®

Oficjalny dystrybutor **Domino Trading Co.**

90-554 Łódź, ul. Łąkowa 29, tel. 37-04-89; fax 36-27-43

ONI

PRZEMYSŁAW BERG

GRAŻYNA I ANDRZEJ BARECCY

Przepowiednia

Aborcja zakazana. Religia w szkołach niemal przymusowa. Plakaty Benettona zdjęte. *Ostatnie kuszenie Chrystusa* na cenzurowanym. Jak widać, sporo udało się już zrobić. Wprawdzie bezrobocie jest gigantyczne, w Suwalskiem i w Bieszczadach bieda aż piszczy, przestępcy szaleją i nie mamy ani jednej czystej rzeki, ale cóż, te problemy należy zaliczyć do marginalnych.

Dla naszego społeczeństwa najważniejsza jest odnowa moralna. Dokąd nas zaprowadzi czyszczenie moralne w dziewięćdziesięcu pięciu procentach skatolicyzowanego narodu, o to trzeba by pewnie spytać Lema, Orwella – jego już, niestety, się nie da – lub któregoś ze znanych amerykańskich futurologów, zatrudnianych przez poważne instytucje rządowe całego świata. Ale ponieważ zamówienie długoterminowej prognozy u renomowanego futurologa kosztuje majątek, zdajmy się na własną wyobraźnię i spróbujmy sami odpowiedzieć na to pytanie.

W najbliższych latach – zaczynamy od kwestii najwyższej wagi – przewidujemy wprowadzenie zakazu pokazywania wszelkich scen erotycznych, nawet niewinnych pocałunków, w kinach (jak w Indiach do 1978 roku) oraz wyeliminowanie z przedstawień teatralnych i innych widowisk słów, min i gestów z erotycznym podtekstem. Zarówno literatura jak i artykuły prasowe zaczną być cenzurowane pod kątem czystości obyczajowej. Wkrótce, śladem niektórych państw Bliskiego Wschodu, postanowi się, że pocałunek w miejscu publicznym jest kryminalnym przestępstwem.

Równolegle, odpowiednie siły polityczne i ich parlamentarne przedstawicielstwa przeforsują uchwalenie aktu prawnego nakazującego plażowiczom noszenie strojów bardziej zakrywających ciała, mniej więcej takich, jakie nosiły pod koniec ubiegłego stulecia nasze prababki i nasi pradziadkowie udający się do wód. Wygląda na to, że do 1997 roku wszystkie te zarządzenia wejdą w życie.

Nadejdzie rok 2000, który powitamy aktem ustawodawczym nakazującym władzom administracyjnym w całym kraju stopniowe, acz systematyczne wycofywanie z życia publicznego idei i praktyki koedukacji. Szkoły, instytucje, urzędy i zakłady pracy zaczną się dzielić na męskie i żeńskie. Jednocześnie położy się nacisk na umocnienie rodziny. Najprawdopodobniej około 2005 roku zostanie wprowadzony całkowity zakaz rozwodów, a cudzołóstwo będzie karane wieloletnim więzieniem. Państwo oficjalnie uzna, że problem równouprawnienia kobiet w ogóle nie istnieje, gdyż prawdziwe kobiety z natury rzeczy równouprawnienia nie potrzebują. Panie na dobre wrócą do domów i gospodarstw wiejskich, gdzie będą się cieszyć rolą gospodyń, matek i żon (w takiej kolejności). Szeroko dyskutowany będzie pomysł, by nawet ograniczyć prawa kobiet do samodzielnego i samowolnego opuszczania miejsc zamieszkania z wyjątkiem wyjść do sklepów i pralni.

Wyklęte po wsze czasy zostaną tak zwane mniejszości seksualne. Już dzisiaj nasi wybitni znawcy zagadnienia, na przykład Piotr Skwieciński z „Życia Warszawy", twierdzą, że uznanie praw mniejszości seksualnych w naszym kraju, zwłaszcza praw homoseksualistów, znacznie osłabiłoby polską rodzinę, a tym samym całe społeczeństwo. Skwieciński sądzi, że grupom tym potrzebne jest co najwyżej współczucie. Brawo! Ale i ono się skończy po 2005. Powstaną getta i zamknięte obozy pracy i reedukacji dla wszystkich, którzy odbiegają od heteroseksualnej normy. Jednakże nawet stosunki heteroseksualne realizowane (już wtedy od dawna) wyłącznie w kontaktach małżeńskich zostaną znacznie ograniczone. Rok 2007 będzie rokiem wielkich zmian i ostatecznego triumfu polityki przywracania czystości. Oficjalnie uzna się, w myśl istniejącej już wykładni watykańskiej, że mąż pożądający własnej żony bez myśli o prokreacji grzeszy i oczywiście tak samo lub jeszcze bardziej grzeszy pożądająca w ten sposób męża żona. Ponieważ już wcześniej wprowadzi się zakaz stosowania wszelkich metod zapobiegania ciąży – małżeńskie stosunki seksualne w naturalny sposób zostaną ograniczone tylko do aktów prokreacyjnych. Małżeństwa, co do których zaistnieje podejrzenie, że postępują inaczej, będą inwigilowane.

Brom będzie dodawany do wszystkich produktów spożywczych i pasty do zębów, a na niektórych obszarach nawet do wody. Takie pojęcia jak radość życia, erotyka, seks, piękno ludzkiego ciała, miłosna przygoda, odejdą w zapomnienie. PLAYBOY na przykład zostanie z hukiem rozwiązany, członkowie redakcji i wydawcy osadzeni w więzieniu, a naczelny będzie nawet torturowany. Pismo to, a właściwie już wówczas pisemko, w skarłowaciałej formie, odbijane na powielaczu, będzie przez jakiś czas ukazywało się w podziemiu. Wszechobecna policja obyczajowa trafi jednak na trop wiodący do tajnej powielarni.

Właśnie policja obyczajowa stanie się największą siłą w państwie, a jej komendant, najpierw minister, potem premier, człowiek nieskazitelnie czysty, który dokona aktu samokastracji, będzie nawet kandydował na stanowisko prezydenta. Nasze możliwości antycypowania przyszłych wydarzeń nie sięgają jednak tak daleko, by móc dzisiaj stwierdzić, czy obejmie to stanowisko. Zwłaszcza że mnie więcej od 2010 roku zacznie działać w kraju początkowo niewielka, z czasem coraz silniejsza opozycja skupiona wokół byłego zespołu PLAYBOYA i wspierana przez hedonistów z USA, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii.

W następnych latach, widzimy, niestety, bardzo słabo, jak przez mgłę, barykady na ulicach, zamieszki, pochody, akcje dywersyjne, pożary i bunty w więzieniach. Nie ma wątpliwości, w obrazach tych ukazuje się, jak w przyspieszonej migawce filmowej, przebieg narodowego powstania – wielkiej akcji zbrojnej skierowanej przeciwko purytanom i obrońcom czystości. Nie wiadomo jak długo potrwa ta walka, ale w bladej, bo odległej przyszłości majaczy nieśmiało widmo naszego zwycięstwa.

MARIA NUROWSKA

Czy lubi pani Playboya?

MAŁGORZATA PODZIOMEK

W związku z pojawieniem się polskiej edycji PLAYBOYA jeden z dziennikarzy zadał mi pytanie, kim według mnie jest playboy i czy mogłabym kogoś takiego polubić.

No cóż, playboy to przede wszystkim człowiek bogaty, a więc pozbawiony trosk materialnych, a także z wyboru samotny, nie obarczony żoną i gromadką dzieci. Ale same pieniądze i stan bezżenny to jeszcze za mało, taki ktoś musi wiedzieć, „gdzie jest miód", jak mawia jeden z moich znajomych. Nie sądzę, aby w Polsce było wielu właśnie takich ludzi. Finansowo niezależnych, obdarzonych fantazją, dobrym smakiem i poczuciem humoru, a jednocześnie umiejących zachować dystans zarówno do rzeczy jak i do samego siebie.

Przed wojną człowiekiem takim mógł być Wieniawa – polski playboy, który nosił generalskie szlify. A po wojnie... Chyba już ich nie stało. Przyszedł komunizm i wszystko wyrównał, nawet męską fantazję. Chociaż nie, jeden z pewnością się uchował. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że zetknęłam się z rasowym playboyem. Nazywał się Zbigniew P. i miał w sobie coś takiego, że kobiety zakochiwały się w nim od pierwszego wejrzenia i na zabój. Gdyby im kazał, skoczyłyby dla niego w ogień. A on się nimi bawił, chociaż wszystkie te jego gierki nie przekraczały granic przyzwoitości i dobrego smaku.

Były wczesne lata pięćdziesiąte, mój ojciec objął nadleśnictwo w jednym ze wschodnich województw, mieszkaliśmy w domu w środku puszczy. Któregoś dnia zjawił się w nim właśnie pan Zbyszek i nie wyglądało na to, by miał się szybko wynieść. Zaczął pracować u ojca jako kancelista, w wiele lat później dowiedziałam się, że należał do podziemia i był poszukiwany przez UB, a u nas przebywał pod obcym nazwiskiem.

Nie narzekałam na jego obecność, wręcz przeciwnie jak wszystkie kobiety uwielbiałam go. Mimo że byłam dzieckiem, traktował mnie z pełną powagą, okazując na każdym kroku względy należne damie. Lubiłam zostawać z nim na gospodarstwie, bo mogłam mieć go wtedy wyłącznie dla siebie. Tak ciekawie potrafił opowiadać. A potem spotkał mnie nie lada zaszczyt: nabyłam prawo bywania w Jednoosobowym Klubie pana Zbyszka, który to klub stawał się w ten sposób dwuosobowy. Działy się w nim zresztą nadzwyczajne rzeczy. Oto pan Zbyszek rozsiadał się wygodnie w fotelu, zakładał nogę na nogę, zapalał cygaro i zaciągając się wonnym dymem pstrykał w palce. I wtedy na scenie pojawiała się dziewczyna. Miała na sobie zwiewny szlafroczek, poprzez który przeświytywało nagie ciało, jej głowę spowijał kwiecisty turban. Ta twarz kogoś mi przypominała, ale nie mogłam sobie uświadomić kogo. Dopiero kiedy nimfa przy jakiejś szczególnie trudnej figurze wschodniego tańca zachwiała się i krzyknęła zasłaniając ręką usta:

– O Jezu, już nie mogie, nie mogie! – rozpoznałam w niej dziewczynę ze wsi, która raz w tygodniu, przychodziła do nas sprzątać. A wszystko to działo się na długo przedtem nim panu Hefnerowi przyszła do głowy myśl wydawania pisma dla panów.

Później nie spotykałam już mężczyzn, którzy byliby prawdziwymi playboyami. Podszywał się pod nich jeden z drugim, ale kudy im tam do króla życia, jakim winien być nasz bohater. Towarzystwo spatifowskie zupełnie nie wchodziło w grę. Ten i ów robił wysiłki, aby za playboya uchodzić, ale i kieszeń miał za słabą i co gorsza głowę, a prawdziwy playboy powinien sączyć wyborne trunki, ale broń Boże nie wolno mu się upijać. Na miano playboyów nie zasługiwali też władcy PRL-u ani ich pociechy, bo być może szmalu i wolnego czasu im nie brakowało, ale za to klasy – owszem.

A teraz, w III Rzeczypospolitej... Klasa średnia owszem, dorobiła się tego i owego, ci najbogatsi, których wcale niemało, budują sobie rezydencje. Ale nad basenami zasiadają w gronie rodzinnym – gromadka dzieci chlapie się w wodzie, a obok żona nasmarowana olejkiem wystawia ciało do słońca. A nawet i takie obrazki są dosyć rzadkie, bo na ogół nasz biznesmen od rana do wieczora goni za pieniądzem. Gdzie mu tam w głowie dziewczyny, wino i śpiew.

Jeżeli ktoś się teraz przymierza do zostania playboyem, to może tak zwany sponsor. Ofiarowuje on rzeczy o znacznej wartości materialnej, najczęściej zachodnich marek samochody, zwyciężczyniom przeróżnych konkursów piękności. Namnożyło się tych konkursów jak grzybów po deszczu, a przed każdym są przecież eliminacje we wszystkich województwach, zewsząd ciągną więc piękne dziewczyny (albo te które myślą że są piękne). I spośród nich jury w pocie czoła wybiera ścisłą czołówkę.

Zaplątałam się kiedyś z ciekawości do takiego jury – uważam, że jako pisarka powinnam spróbować wszystkiego – i z niesmakiem obserwowałam „etatowych" jurorów, panów w pewnym wieku, jak z wypiekami na twarzy rozprawiali o obwodach biustów i bioder, długości nóg, kształtach pup poszczególnych kandydatek. Żaden z nich nie mógłby być playboyem. Prawdziwy playboy nigdy się niezdrowo nie podnieca, on po prostu kontempluje piękno kobiecego ciała, odpowiednio je ocenia! Jest koneserem i znawcą!

A co z naszym sponsorem? Pojawia się w finale konkursu piękności i wdrapawszy się na scenę wręcza zwyciężczyni kluczyki do szałowego auta. Zwykle jest właścicielem salonu, który takie auta sprowadza. Całą sprawę traktuje jako dobrą reklamę dla swojej firmy, łączy więc przyjemne z pożytecznym. Tylko... jego też na playboya pasować się nie da. Bo jakżesz on wygląda! Zwykle ponad paskiem od spodni wylewa mu się latami hodowany brzuch, a dawno nie myte włosy leżą na kołnierzu, garnitur sprawia wrażenie wyciągniętego z magazynów SPHW, a buty nigdy pewnie nie miały kontaktu z pastą i szczotką. Gdzie jest więc polski playboy? Jeszcze go nie ma, ale nie traćmy nadziei. Być może już za parę lat będzie nim syn naszego sponsora...

PLAYBOY RADZI

Mam poważny problem. Mój chłopak jest okej i jest nam ze sobą dobrze, ale jest coś... Jego penis jest bardzo mały. Wiem, że właściwie nie powinno to mieć dla mnie większego znaczenia, ale jednak ma i bardzo mnie to męczy. Nie mogę pozbyć się uczucia, że kochanie się z nim nie jest tak satysfakcjonujące jak mogłoby być. Czy można sobie jakoś poradzić z tym problemem?
– A.Z., Gdańsk.

Kobiety zwracają uwagę na rozmiary członka swoich partnerów i nie ma w tym nic dziwnego. Nie powinna się pani obwiniać o to, że sprawa ta panią nurtuje. Ale przecież nikt nie ma idealnej figury i chyba nie ma na tym świecie nikogo, kto byłby idealnym partnerem seksualnym. Możemy poradzić jedno: być może powinna Pani mniej uwagi zwracać na tę właściwość swojego chłopca, a bardziej skupić się na innych jego cechach – wspaniałym uśmiechu, inteligencji, energii, sylwetce, słowem na czymś, co zwróciło Pani uwagę i zadecydowało o zainteresowaniu się tym właśnie człowiekiem. Zwłaszcza że jak sama Pani pisze, jest Wam dobrze pod względem fizycznym, a problem tkwi tylko w psychice.

Niedawno moja znajoma zaszła w ciążę, kochając się ze swoim mężem, który używał prezerwatywy. Wiadomość ta bardzo mnie przestraszyła, ponieważ sam bardzo często używam prezerwatyw, sądząc, że dają one gwarancję bezpieczeństwa. Czy takie sytuacje zdarzają się często? – Z.Ch., Swarzędz.

Prezerwatywa, nawet jeśli jest prawidłowo stosowana, nigdy nie eliminuje ryzyka zajścia w niepożądaną ciążę, a jedynie ryzyko to ogranicza. Wyniki badań świadczą o tym, że aż dziesięć procent kobiet, których partnerzy stosują prezerwatywy, zachodzi w ciążę. Dzieje się tak z różnych powodów. Dość często zdarza się, że prezerwatywa jest uszkodzona już fabrycznie lub wykonana z niedostatecznie wytrzymałego materiału i podczas stosunku pęka. Wystarczy bardzo nieduże, niezauważalne pęknięcie, by plemniki wydostały się na zewnątrz. Ponadto wielu mężczyzn po prostu nie potrafi prawidłowo założyć prezerwatywy. Jeśli jest ona osadzona zbyt płytko, może jeszcze bardziej zsunąć się z członka w trakcie stosunku i to też grozi przedostaniem się plemników na zewnątrz. Wreszcie, prezerwatywa nie jest wykorzystywana podczas całego stosunku lecz zakładana tuż przed jego zakończeniem. Ci, którzy stosują taką metodę zapominają jednak o tym, że plemniki są już w śluzówce wydobywającej się z członka przed wytryskiem i to może łatwo doprowadzić do zapłodnienia. Reasumując, radzimy korzystać z prezerwatyw dobrych i sprawdzonych producentów, przestrzegać zasady dokładnego ich zakładania oraz stosować je podczas całego stosunku.

Moje pytanie jest z pewnością nietypowe. Zastanawiałem się czy możliwe jest uprawianie seksu pod wodą. Chętnie bym spróbował, ale nie bardzo wiem jak się do tego zabrać. Myślę, że mogłoby to być niezapomniane przeżycie.
– W.L., Warszawa.

Prawdopodobnie możliwość taka istnieje, ale niestety my także nie wiemy na ten temat zbyt wiele. Radzimy kupić dobry akwalung, znaleźć sympatyczną instruktorkę i spróbować. Prosimy też, by niezwłocznie zawiadomił nas Pan o wynikach tych prób.

Niedawno poddałem się zabiegowi wazektomii, a teraz dowiaduję się, że w związku z tym jestem bardziej narażony na ryzyko występienia raka prostaty. Czy to możliwe? Co powinienem robić? Jestem tym bardzo zaniepokojony. K.J.B., – Warszawa.

Przede wszystkim radzimy, by nie wpadał Pan w panikę, ponieważ związek między zabiegiem wazektomii a zachorowalnością na raka prostaty wcale nie jest udowodniony. Istotnie, w czasopismie „Journal of American Medical Association" ukazały się wyniki dwóch niezależnych badań, które mogłyby sugerować, iż związek taki istnieje. Jednak inni eksperci twierdzą, że jest to wielce wątpliwe. Sprawa została, może niepotrzebnie, nagłośniona przez wiele czasopism powodując duże zamieszanie. Zwłaszcza, że istnieją badania nie potwierdzające tych przypuszczeń. Uczeni właściwie nie widzą żadnych biologicznych podstaw uzasadniających łączenie jednego z drugim. Natomiast może tu istnieć związek innego rodzaju. Większość zabiegów wazektomii wykonują urolodzy i oni też są tymi, którzy najczęściej diagnozują raka prostaty. Z kolei mężczyźni, którzy poddali się zabiegowi, częściej i w sposób bardziej systematyczny zasięgają porad urologów, przez co możliwość zdiagnozowania u nich nowotworu jest zdecydowanie łatwiejsza. Jest to więc związek o charakterze statystyczno-diagnostycznym, a nie medycznym. Radzimy więc systematycznie odwiedzać swojego urologa i nie zamęczać się myślami o tym, że na pewno zachoruje Pan na raka.

Kiedy używałem tradycyjnego adapteru, byłem przyzwyczajony do tego, że co pewien czas trzeba zmieniać w nim igłę, gdyż uszkodzona lub stępiona mogła zniszczyć moje płyty. Teraz używam odtwarzacza kompaktowego, ale nie wiem czy zastosowany w nim laser po dłuższym używaniu nie jest dla płyt niebezpieczny. – P.K., Ciechanów.

Producenci kompaktowych odtwarzaczy twierdzą, że montowane w nich urządzenia laserowe są niezniszczalne. W odtwarzaczach tych właściwie wszystkie inne elementy mogą ulec zużyciu, ale sam laser nie. Nie ma więc potrzeby troszczyć się o jego wymianę nawet po latach użytkowania. Oczywiście, każde urządzenie, nawet laser, w końcu z takich czy innych względów przestanie działać. Ale jeśli powiemy, że przy prawidłowym eksploatowaniu potrzeba by na to pewnie setek lat, z pewnością to Pana uspokoi.

Mam osiemnaście lat i poważny problem z narkotykami. Biorę już od roku. Mój starszy przyjaciel też kiedyś brał, ale przestał. Twierdzi, że wyszedł z nałogu dzięki temu, że zaczął interesować się buddyzmem. Czy studiowanie buddyzmu istotnie może oddziaływać terapeutycznie? – B.B., Radom.

Bardzo wielu ludzi ratowało i ratuje się w ten sposób z narkotycznego nałogu, innych uzależnień, a nawet różnego rodzaju załamań psychicznych. Buddyzm jest bardzo szczególną religią, która wymaga od swoich wyznawców dużej dyscypliny, umiejętności koncentracji, a także zmiany sposobu życia i patrzenia na świat. Prawdziwi buddyści są ludźmi „wyciszonymi". Potrafią uwolnić się od większości pragnień, których istnienie staje się często źródłem problemów w naszym codziennym życiu, ale nie jest to łatwe. Nie namawiamy, by stał się Pan buddystą za wszelką cenę, ale przyznajemy, że szczere zainteresowanie tą religią pomogło już wielu ludziom stojącym na życiowym zakręcie.

Playboy radzi w każdej sprawie i żaden problem, o którym napiszą nasi Czytelnicy, nie zostanie przez nas zbagatelizowany.
Piszcie do nas pod adresem:
Playboy – edycja polska
Plac Słoneczny 4, 01-528 Warszawa

ILUSTRACJA ROBERT PAWLICKI

DENIM

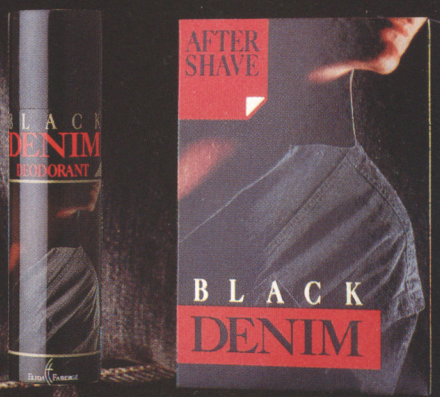

DEZODORANT I WODA PO GOLENIU
W 3 NIEPOKOJĄCYCH ZAPACHACH

DLA MĘŻCZYZNY, KTOREMU WSZYSTKO PRZYCHODZI BEZ TRUDU

W. KRÜK 1840

60-607 Poznań, ul. Pułaskiego 11-15,
tel 52-08-10, 52-11-02,
fax 52-11-22, tlx 41 42 99 kruk pl

Zapraszamy do salonów jubilerskich:
Warszawa, Pl. Konstytucji 6; **Poznań**, ul. Paderewskiego 2;
Gdańsk, ul. Długi targ 35/38; **Gliwice**, ul. Zwycięctwa 50; **Kalisz**,ul. Zamkowa 1

CZY MOGĄ SIĘ LUBIĆ?

Paul Monette

Najgorsze są rozmowy z radiosłuchaczami w godzinach szczytu, kiedy znudzeni lub wściekli tkwią w kilometrowych korkach. Jedyny ratunek dla nich to telefon komórkowy – mogą zadzwonić do lokalnej stacji, na przykład na mój dyżur. Niektórzy wręcz dyszą nienawiścią, życzą mi śmierci, mówią, że na myśl o takich jak ja chce im się rzygać. Zazwyczaj opowiadam na antenie o rosnącej w zatrważającym tempie liczbie samobójstw wśród nastolatków – jedna trzecia tych przypadków to geje i lesbijki – lub opisuję koszmar życia w ukryciu i zanik więzi międzyludzkich wywołany okrucieństwem stereotypów. *Przepraszam bardzo* – spytałem kiedyś faceta, który dzwonił z Houston – *chce ci się rzygać dlatego że jestem gejem, czy dlatego że mam AIDS?*

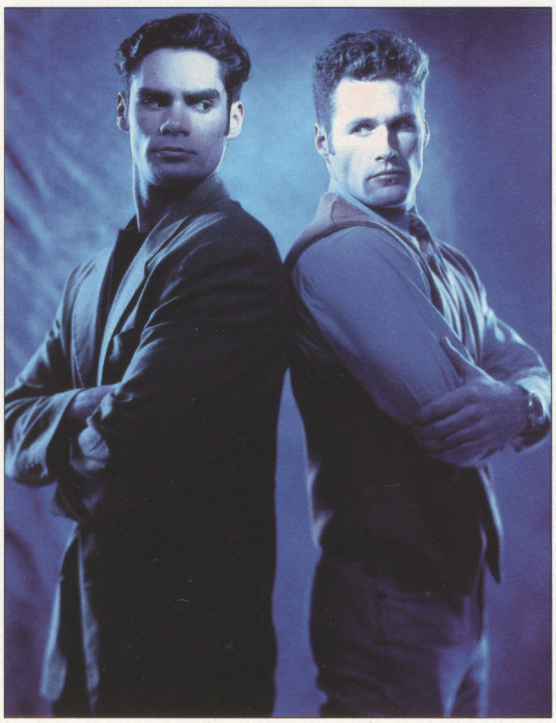

Dla zatwardziałego homofoba to żadna różnica. Nad moim biurkiem wisi zdjęcie dziewczyny, która ma na sobie podkoszulkę z napisem: *Dziękujmy Bogu za AIDS*. Ta nienawiść eksploduje codziennie na falach eteru. Najbardziej plują kaznodzieje, załamujący ręce nad grzeszną Sodomą. Dla nich jest to przede wszystkim walka na śmierć i życie między dwiema odrębnymi rasami mężczyzn: tych „prawdziwych" oraz tych „chorych". W swoich diatrybach rzadko wspominają o lesbijkach. Dokąd prowadzi ta zajadłość? Czy przyczynę stanowi jakaś wrodzona potrzeba bycia męskim, wyolbrzymiana do absurdu w koszarach lub męskich przebieralniach i maskująca lęk heteryków przed niesłusznym podejrzeniem o pedalstwo? A może chodzi o odwieczny męski strach przed penetracją? Raz zadzwonił do mnie jedenastoletni zaledwie chłopiec z Seattle głęboko przeświadczony o swej męskości i zapytał z pogardą w głosie: *Co to za przyjemność być gejem?* Wierzył, że wystarczy mu zaliczyć pierwszą dziewczynę i wszystkie jego seksualne rozterki znikną na zawsze. *Poczekaj dziesięć, piętnaście lat* – ostrzegłem go – *będziesz się borykał z problemami swojej intymności jak każdy inny człowiek – gej czy normals*". Całe nasze życie upływa na próbach połączenia seksu i miłości w harmonijną całość.

A jeśli chodzi o bycie gejem, każdy młody człowiek, który zauważył, że jest „inny", doskonale zdaje sobie sprawę z negatywnego nastawienia społeczeństwa. Robi się skryty, nie akceptuje samego siebie. To z kolei prowadzi go do autodestrukcji – jest słaby psychicznie, chowa się po kątach i przeprasza, że żyje. Czuje się bezpiecznie tylko w murach więzienia, którym jest jego straszny sekret.

Trzeba tu rozróżnić homofobię i coś, co sam nazwałem homoignorancją, czyli nieznajomością tematu. W ostatnich czasach, kiedy problemy gejów i lesbijek znajdują coraz szerszy oddźwięk w środkach masowego przekazu, tej pierwszej jest zdecydowanie mniej. Część społeczeństwa, szczęśliwie pozbawiona uprzedzeń, instynktownie odrzuca paranoiczne ataki na homoseksualistów. Niestety, nadal nie brak fanatyków. Są chodzącą, skondensowaną nienawiścią.

Mój przyjaciel – heteryk – uważa, że jest całkowicie wolny od homofobii, ponieważ ma bardzo silne poczucie własnej męskości. Jednak przyparty do muru przyznaje, że poczynania ruchów gejowskich w rodzaju Queer Nation czy Act Up wywołują w nim, powiedzmy „lekki niepokój". Działacze tych ruchów chcą, żeby tak właśnie się czuł – zaniepokojony. Nawet sami geje i lesbijki mają sporo wątpliwości co do partyzanckich metod stosowanych przez najbardziej radykalnych bojowników o naszą sprawę. Ich zaciekłość budzi sprzeczne reakcje. Czasami w swoim własnym środowisku padam ofiarą podejrzliwości, jestem poddawany drobiazgowym testom. Ocenia się moją lojalność, po czym przypina mi się etykietkę wroga moich pobratymców, ponieważ jestem biały, dobrze mi się powodzi i nikt mnie nie prześladuje za to, co piszę. Są chwile, kiedy czuję się bezradny. W 1988 roku brałem udział w wielkiej akcji protestacyjnej – żądaliśmy od Ministerstwa Żywności i Leków przyspieszenia prac nad wynalezieniem leku na AIDS. Ruch gejowski liczy sobie zaledwie dziesięć lat, budowaliśmy go nie mając praktycznie żadnych wzorców ani liderów. Naszym Lutherem Kingiem był Harvey Milk, ale o nim historia milczy. Na Uniwersytecie Yale przez dwa lata zajmowałem się Whitmanem i nie trafiłem na żadną wzmiankę o jego homoseksualizmie, nie mówiąc już o takich postaciach jak Eleanor Roosevelt czy J. Edgar Hoover.

Łatwo o ignorancję, skoro na temat gejów istnieje zmowa milczenia. Nasi hetero-sprzymierzeńcy muszą zadać sobie trud i zrozumieć o co walczymy. Przykład? Krąży mnóstwo dowcipów o „ciotach". Ale znikną, jeśli znajdzie się wystarczająca liczba odważnych nie-gejów, którzy wstaną i powiedzą głośno: *Mnie to nie śmieszy*. Nasi rodzice starają się wychować nas najlepiej jak potrafią, ale rzadko się zdarza, żeby mężczyzna osiągnął dojrzałość nie zainfekowany choćby odrobiną rasizmu, seksizmu czy homofobii. Musimy sami zwalczać w sobie te demony. Minimum wymagań, które każdy powinien sobie stawiać, by nie stracić do siebie szacunku, to tolerancja.

Jest coś, co niewątpliwie zapewnia heterykom komfort psychiczny: silne poczucie przynależności do grupy, świadomość pewnej wspólnoty i normalności. Tego argumentu używa „góra" w armii, aby utrzymać nas z dala od koszar. W gruncie rzeczy chcą, abyśmy nadal kłamali i przemykali się chyłkiem pod ścianami. Jedni rozważają doniosły problem, czy geje powinni korzystać ze wspólnych pryszniców ze swoimi „normalnymi" kolegami, inni gimnastykują się, aby zatuszować przypadki „napastowania seksualnego" w wojsku. I jedyna rada, jakiej są w stanie udzielić swoim podopiecznym, brzmi: *Uważaj, kiedy schylasz się po mydło*. Świetny trening wrażliwości.

Wcale nie mam ochoty uprawić seksu z heterykami, ani deprawować ich synów i przekabacać ich na swoją stronę. Nic mnie nie obchodzą obyczaje erotyczne normalsów, chyba że w grę wchodzi bezpieczeństwo lub godność kobiety. Nie mam obsesji na punkcie tego, co inni robią ze sobą w łóżku, słowem: nie cierpię na heterofobię. To są krzywdzące przesądy fanatycznych homofobów, dla których wszystko sprowadza się do seksu. Według nich bycie gejem czy lesbijką polega wyłącznie na pociągu fizycznym do własnej płci.

Myślę, że heterycy są zdezorientowani, bo nie rozumieją, dlaczego po świecie chodzi aż tylu szczęśliwych gejów, którzy ułożyli sobie życie i mają poczucie własnej wartości. Woleliby, abyśmy tylko cierpieli i uskarżali się na swój los.

Wszyscy powinniśmy wyjść z okopów. Gej nie jest wrogiem „prawdziwego" mężczyzny. Heterycy nieraz mi się zwierzali, że od czasów szkolnych nie mają w ogóle przyjaciół, z którymi mogliby szczerze pogadać. Chłód emocjonalny, wywołany lękiem przed intymnością, nie zależy jednak od orientacji seksualnej. Po prostu nie jesteśmy już beztroskimi chłopcami, którzy walczą o piłkę na boisku. Naszym problemem jest niewiedza, pielęgnowanie uprzedzeń, wytykanie innych palcami, zawiść. Przodują w tym zgorzknialcy, którzy nie mogą znieść myśli, że ktoś jest szczęśliwy, skoro im się nie udało.

Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż prawo do bycia „innym" i mówienia o tym bez skrępowania. Pewnie nie doczekam pięćdziesiątki, ale nawet to nie odbiera mi radości życia, bo wiem, że żyłem naprawdę. Oczywiście, nigdy nie wydostaniesz się ze swojej kryjówki, jeśli nie zdasz sobie sprawy, że w niej tkwisz. Choć homo i hetero dzieli przepaść, wierzę, że możemy sobie nawzajem pomóc. My, geje, nadajemy się świetnie na przyjaciół, może dlatego, że mamy za sobą długie poszukiwania krainy, w której rządzą ludzkie uczucia, niezmącone stereotypami. Wszyscy zasługują na to, by się tam dostać.

Paul Monette jest autorem bestsellerowej książki pt. „Becoming a Man: Half a Life Story" (Stać się człowiekiem: pierwsza połowa życia) i laureatem National Book Award za rok 1992

Z PIERWSZEJ LINII

seks, ludzie, obyczaje

KOSZTOWNE ZATRZYMANIE

SAN DIEGO, USA – *Sąd Najwyższy w tym mieście powziął decyzję o wypłaceniu 300 tysięcy dolarów odszkodowania pewnej parze bezprawnie zatrzymanej przez policję za – jak to się wyrażono – czynienie nieprzyzwoitych gestów w stronę policyjnego helikoptera. Był późny wieczór. Mężczyzna i kobieta siedzieli sobie spokojnie w ogrodzie, piekąc mięso na ruszcie, gdy nagle pojawił się nad nimi helikopter i skierował w ich stronę światło silnego reflektora. Rozdrażniona para, by uwolnić się od powietrznego*

EVERETT PECK

natręta, zaczęła stroić głupie miny i wykonywać jednoznaczne gesty rękoma. Z kolei policjanci rozzłoszczeni takim zachowaniem polecili swoim kolegom z radiowozów, by ci dokonali inwazji na posiadłość. Najechało ją 15 policjantów, którzy aresztowali Bogu ducha winnych ludzi. Ci postanowili zaskarżyć funkcjonariuszy do sądu, gdy nie przedstawiono im żadnego konkretnego powodu wtargnięcia i zatrzymania. Za nadwrażliwość trzeba słono płacić.

SŁABY PUNKT

SANTA ANNA, USA – *Według danych opublikowanych niedawno przez Pentagon, kobiety służące w armii są o 50 procent bardziej narażone na zgwałcenie niż kobiety cywilne. Nie wiadomo, czy gwałcicieli szczególnie podnieca widok kobiety w mundurze, czy też istnieje jakaś inna przyczyna takiego stanu rzeczy. Przedstawicielki ugrupowań walczących o prawa kobiet wyraziły ogromne zdziwienie tymi wynikami, gdyż – jak twierdzą – zawsze sądziły, że jest na odwrót i umundurowane kobiety są bardziej bezpieczne niż inne. Domagają się one ujawnienia wszystkich przypadków zgwałceń kobiet służących w armii i innych zmilitaryzowanych formacjach.*

SEX-SUPERMARKET

PARYŻ, FRANCJA – *W Paryżu przy placu Concorde otwarto pierwszy w Europie supermarket porno. W sklepie o powierzchni prawie 600 metrów kwadratowych można kupić wszystko co dotyczy sfery seksu i erotyki. Właścicielka magazynu Marie Rosati twierdzi, że czas już skończyć z zakłamaniem i ukrywaniem porno shopów w małych uliczkach za zaciemnionymi szybami. „Nie ma się czego wstydzić – twierdzi Rosati – wszystko jest przecież dla ludzi. Mój sklep jest tak duży, że nikt nikogo się nie krępuje".*

NASTASSIA I WĄŻ

LONDYN, ANGLIA – *Nastassia Kinski mało grywa w filmach, gdyż gros czasu poświęca swoim dzieciom. Niedawno została matką po raz trzeci. Macierzyństwo musi jej jednak służyć, ponieważ wciąż pozostaje bardzo atrakcyjną kobietą. Ostatnio zaczęła pozować do aktów. Akt z wężem, wykonany przez fotografika Richarda Avedonsa i powielony zaledwie w paru egzemplarzach, sprzedawano niedawno w kilku renomowanych londyńskich domach aukcyjnych. Na aukcji w domu Sotheby's pewien bogacz za jedną odbitkę przedstawiającą nagą Nastassię z wężem boa zapłacił pięć tysięcy dolarów.*

W OBRONIE OJCÓW I KOCHANKÓW

LONDYN, ANGLIA – *Brytyjskie stowarzyszenie pod nazwą „Rodziny potrzebują ojców" otworzyło w Londynie pierwszą placówkę dla mężczyzn maltretowanych przez swoje partnerki. Początkowo głównym celem stowarzyszenia była pomoc rozwodzącym się mężczyznom w walce o ojcowskie prawa. Dzisiaj organizacja ta zajmuje się już ochroną wszelkich praw mężczyzn we współczesnym społeczeństwie, w którym – zdaniem jej członków – istnieje tendencja do faworyzowania kobiet. Twierdzą oni, że rocznie stowarzyszenie pomaga średnio aż siedmiu tysiącom Brytyjczyków źle lub wręcz brutalnie traktowanych przez swoje żony, narzeczone i kochanki.*

PRZED EPIDEMIĄ

WARSZAWA – *Polska jest, wśród krajów Europy Wschodniej, państwem najbardziej zagrożonym epidemią AIDS. Szacuje się, że żyje u nas obecnie około czterdziestu tysięcy nosicieli wirusa HIV. Specjaliści sądzą jednak, że w rzeczywistości może ich być nawet dwa razy więcej. Zagrożenia epidemią wcale nie osłabia fakt, że większość (około 80 procent) zakażonych stanowią narkomani. Goszczący niedawno w naszym kraju liderzy francuskiego ruchu zajmującego się walką z AIDS twierdzą, że obecna sytuacja Polski przypomina tę, która panowała we Francji kilka lat temu. Niestety, nie wróży to nic dobrego, jako że Francja jest państwem najdotkliwiej cierpiącym z powodu epidemii AIDS w Europie.*

NARKOTYCZNE PIERSI TRANSWESTYTÓW

BANGKOK, TAJLANDIA – *Uwaga! Policja tego miasta zarejestrowała już kilkanaście przypadków obezwładnienia spragnionych nocnych uciech turystów narkotykami, w celu rabunkowym. Tego sposobu używają głównie tamtejsi transwestyci. Smarują oni silnym środkiem usypiającym swoje sutki. Niczego nie podejrzewający klient, który zapragnie pieszczot z transwestytą, po dotknięciu narkotycznych piersi ustami pada jak nieżywy, po czym zostaje doszczętnie okradziony. Jeden z zatrzymanych transwestytów przyznał, że stosuje ten chwyt, zwłaszcza wobec klientów niepijących, których nie da się odurzyć alkoholem.*

EVERETT PECK

Dokąd pojechać tym razem?

Atrakcje turystyczne w Polsce można sklasyfikować w trzech kategoriach: morze, góry i jeziora. Jeśli ktoś pragnie odpocząć na łonie przyrody, z dala od miejskiego zgiełku, powinien wybrać się w objazd po którejś z wymienionych okolic. Góry to przede wszystkim Tatry, zaliczające się do pasma Karpat, wielka atrakcja turystyczna, zwłaszcza w sezonie zimowym. Po prostu raj dla amatorów sportu zimowego, zwłaszcza narciarzy, którzy znajdą tam liczne wyciągi narciarskie. Jeziora, czy przede wszystkim Mazury, dają z kolei d doskonałe możliwości żeglarzom, a tak amatorom kajakarstwa i innych sporto wodnych. Wspaniała przyroda, zwłaszc na obszarze licznych parków narodowyc dostarcza wiele satysfakcji miłośniko przyrody. W Polsce istnieją najwięk w całej Europie kompleksy leśne; dziew puszcze, gdzie żyją rzadkie gatunki rząt i ptactwa. Duże miasta równi wielką atrakcją dla turystów. Licz mniki dawnej i niedawnej historii. wych dziejów kraju, muzea, piecz zachowane pamiątki, wzbudzają sowanie nie tylko historyków-a Warto zwiedzić pomniki dawnej ry, pałace, warowne zamki i dw

Podróże po Polsce można za regoś z wielkich miast. Najb na świecie polskie miasta Warszawa, Kraków i Gdańsk miast jest swoistą wizytówk rystów z zagranicy stanow gatej historii naszego kra kich przeobrażeń z lat dzi

Stolica Polski, War wojnie odbudowana z całego narodu. Wzni czołowicie odrestaur rokowe pałace, k Zwłaszcza St ski stanowi ści, pamia każdego wspólnego podniósł z ru

Dawną stolicą Pols wspaniałą siedzibą król Również Rynek z Kościo nieustannie przyciąga tur stów.Miasto portowe Gdańsk, należące wraz z Gdynią i Sopotem do zwanego popularnie Trójmiasta, na przestrzeni wieków pozostawało pod wpływem różnych kultur. Niezwykle interesujące pod względem zabytków, to miasto ma niepowtarzalną atmosferę. Niejednokrotnie odegrało ważną rolę w wydarzeniach historycznych, jakie stały się udziałem naszego kraju. Największa rzeka Polski, Wisła, przepływa przez Kraków, Warszawę, do Gdańska, gdzie wpada do morza.

Kiedy podróżować?

Idealną porą roku na wędrówki w plenerze jest wiosna. Dni się wydłużają, są coraz bardziej słoneczne, choć zdarzają się również wiosenne dni deszczowe. Warto przyjrzeć się dziko rosnącym kwiatom, leśnym, polnym i łąkowym. Ich delikatne, niepowtarzalne piękno nieomylnie kojarzy się z typowo polskim krajobrazem. Tradycyjna pora wyjazdów na wakacje, czyli la- słoneczne i warto spę- liczni turywoda od wielu l

Na północ od Warszawy leży wspa kompleks leśny, czyli Kampinoski Park Narodowy, gdzie wciąż mieszka wiele dzikich zwierząt, na przykład słynne kampinoskie łosie. Nieco na zachód leży Żelazowa Wola, miejsce urodzenia wielkiego polskiego pianisty i kompozytora, Fryderyka Chopina. Inna ciekawa miejscowość na Mazowszu to Łowicz, który słynie ze wspaniałych strojów ludowych i wytworów rękodzieła artystycznego. Niedaleki pałac w Nieborowie, należący do rodziny Radziwiłłów, jest jedną z najpiękniejszych i najlepiej zachowanych posiadłości polskiej arystokracji. Na południowy zachód od stolicy położona jest Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce. Jest to ważne centrum kulturalne i przemysłowe; ogromny ośrodek przemysłu włókienniczego. Tam w początkach XIX wieku rodził się polski kapitalizm, którego rozwój brutalnie przerwała wojna i późniejsza sowietyzacja.

Nawet w kraju, który przywykł do częstych zmian położenia granic na przestrzeni dziejów, Polska północna i północ- przedstawia niebywałe kłania historyczną łami- m to długo pozostawało iego zakonu krzyżackie- atyckich kupców, by Prusy Wschodnie. Do- wiatowej region ten polskich i Gdynia, czyli popular- są dominującym centrum miastem warto odbyć kaszubskim, z jego po- brazem i nadmorskimi orskie najlepiej jednak spie Helskim, wysunię- ze, lub na wybrzeżu za- norze jest mniej zanieczy- rzeciwległej stronie leży asto warte odwiedzin, po- gród Kopernika, wielkiego stronoma. Na południe od zdłuż biegu Wisły, można na- e pozostałości teutońskich za- jwspanialszym zabytkiem jest arowny zamek krzyżacki w Mal- ównież w Toruniu można znaleźć ale zabytki średniowiecznej archi- . Położone bardziej na wschód Ma- największy obszar z licznymi jezio- i pięknym krajobrazem pól i lasów. większe atrakcje tego regionu to oczy- cie sporty wodne, żeglarstwo, kajakar- wo. Jeśli jednak komuś zależy na odpo- ynku z dala od zgiełku, powinien wy- ać się raczej na Pojezierze Suwalskie, kolice Augustowa, gdzie istnieją ideal- unki do odpoczynku z dala od iej cywilizacji, choć również z dala wszelkich udogodnień. Prawdziwy wy- czynek na łonie natury.

Dziewicze puszcze i rzadkie zabytki

Polska wschodnia to obszary o najjszej gęstości zaludnienia, przy tym mniej znane. Jest to okolica obszarów romiczych, brak tam ośrodków miejskich tak gęsto usytuowanych jak w Polsce centralnej. Na południowym wschodzie, w okolicach rzeszowszczyzny, leżą góry: nie tak wysokie i nie dorównujące popularnością Tatrom, lecz przez to bardzo mało uczęszczane. Powiedzmy tydzień wędrówek po Bieszczadach to wspaniale spędzony czas, wśród naturalnego piękna krajobrazu. Również Beskid Niski, położony nieco bardziej na zachód, dostarcza wielu atrakcji turystycznych, chociażby w postaci zabytków drewnianej architektury sakralnej.

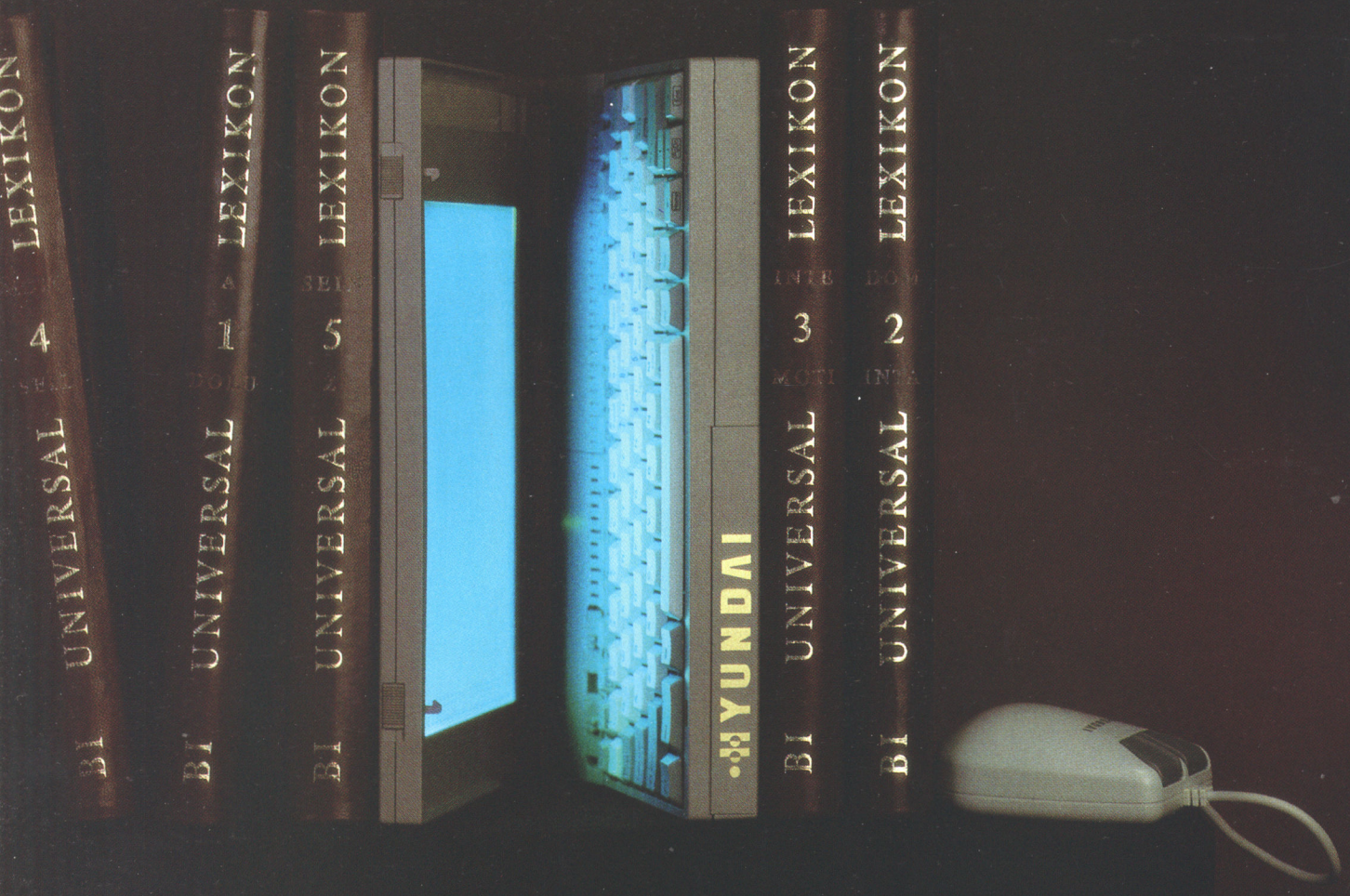

HYUNDAI

NOTEBOOK NEURON

Procesor i386 SL / 25MHz; RAM 2MB (max 8 MB); HDD 60 / 80 MB; FDD 3.5" 1.44 MB; PCMCIA Slot; Klawiatura. 80/81 klawiszy; Ekran 10", 64 odcienie szarości; Otwarta architektura; Wymienialny dysk twardy

* **Bielsko-Biała**: SEKO tel/fax 454-11, tel. 401-01 * **Białystok**: PROGMED tel/fax 221-20 * **Bydgoszcz**: PARTNER tel. 61-97-35, fax 61-97-24 * **Gdynia**: VEMCO tel. 20-27-05, 20-92-65, fax 20-75-50 * **Kalisz: OLEJNIK I SYN tel. 772-43**, tel/fax 777-46 * **Katowice**: NEXTER tel. 58-60-06, 58-60-07, fax 59-71-48, 128-04-91 * Kołobrzeg: BIT tel/fax 276-26 * **Kraków** SCAN tel/fax 33-65-63 * **Lublin**: SAFO tel. 245-57, fax 221-43 * **Łódź**: FOCUS tel/fax 36-51-72 * **Opole**: ZETO tel. 364-35, tel. 364-36, fax 337-26 * **Poznań**: EMAX tel. 52-61-51, fax 52-62-08 * MEDIUM tel/fax 79-01-62 * **Radom**: VICO-COMPUTERS tel/fax 275-05 * **Rzeszów**: DABI KOMPUTER tel. 62-63-91, 62-68-35*6 w.243, fax 427-54 * **Sieradz**:: INWAR tel. 767-09, fax 767-08, tel/fax 750-63 * **Szczecin**: INFOPOL tel. 33-92-52, 34-25-03 w. 263, fax 34-49-04 * **Toruń**: PANDA-TOR tel. 242-46, fax 288-40 * **Warszawa**: BUDIMEX-SOFT tel. 623-65-55, fax 623-65-25 * CSBI tel. 659-04-15, fax 659-04-85 * COMART (reseler) tel. 625-55-73 * DECSOFT tel. 49-45-33-4, fax 49-45-61 * HABITUS tel/fax 45-54-09, 45-52-68 * MAGRES tel/fax 635-24-73 * SALON TECHNIKI SELKO (sklep) ul. Belwederska 20/22 tel. 41-40-05 w. 231 * SELKO tel. 46-50-71, fax 46-59-76 * UNIA tel. 47-39-62, fax 47-39-64 * ZOLTER tel. 21-84-47, fax 628-22-39 * **Wrocław**: WIR tel/fax 55-09-20

HYUNDAI SELKO INDUSTRIES LTD 00-988 Warszawa, ul. Belwederska 20/22 Tel. 41-40-05, Fax 41-36-08

© Blue Line

WYWIAD PLAYBOYA: STANISŁAW TYM

Szczera rozmowa z komediopisarzem, scenarzystą filmowym, aktorem, reżyserem i satyrykiem, a także niezastąpionym Samozwańczym Rzecznikiem Prasowym Statystycznego Polaka-Szaraka

Stanisław Tym był w młodości na najlepszej drodze do tego, by zostać kimś zupełnie innym – mógł pracować do dzisiaj jako robotnik w fabryce „Wedla" w Warszawie, przy rozwożeniu ciasteczek lub być wyższym specjalistą zajmującym się wytrzymałością syntetycznych włókien. Moglibyśmy go spotkać w laboratorium chemicznym lub poważnym instytucie badającym społeczne problemy, ponieważ próbował sił także jako socjolog, a potem chemik. Te rozliczne zainteresowania były wywołane przede wszystkim chęcią ucieczki przed służbą wojskową, a co za tym idzie, ciągłymi zmianami kierunku studiów. Stało się jednak inaczej, a to za sprawą przypadku i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Młody Tym, namówiony przez znajomych, w 1958 roku przystąpił do trudnego egzaminu wstępnego na PWST w Warszawie. Recytując „Redutę Ordona" przeszedł przez wstępne eliminacje i dotarł do końcowej fazy egzaminu, nie mając już niczego, co mógłby przed komisją zaprezentować. Wtedy wpadł mu w ręce tomik wierszy Gałczyńskiego. Wybrał jeden z najkrótszych pt. „Śmierć braciszka" i nauczył się go na pamięć. Jak sam wspomina, skupiony na tym, by niczego nie zapomnieć, wyrecytował wiersz z tak wielkim zaangażowaniem i przejęciem, że przekonał komisję o swoim aktorstkim talencie.

„Leżał martwy, w białej pościeli
na gładziutkich sosnowych deskach.
Trumna w środku też pewnie była niebieska,
bo miał niebieskie oczy.
A kiedy już wszystko było skończone,
doktor krzyknął: Boże to już trzecia godzina!
Skonał braciszek, skonał, skonał (...)"

W szkole teatralnej Tym także nie zagrzał długo miejsca. Po dwóch latach relegowano go z uczelni za brak postępów w nauce. Nie zrażony tym wydarzeniem pojawił sią wkrótce w STS-ie . Był rok 1960. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata, był wysokim, postawnym młodzieńcem z bujną czupryną. Zaczął od ról aktorskich, ale szybko dał się poznać jako wyśmienity autor satyrycznych skeczy i tekstów piosenek.

W 1966 roku zadebiutował jako komediopisarz swoją pierwszą sztuką pt. „Poczta się nie myli". I wówczas odnalazł się naprawdę. Przez następne kilka lat napisał wiele znakomitych komedii („East side story", „Kochany panie Ionesco", „Solo na perkusji", „Ciemny grylaż", „Rozmowy przy wycinaniu lasu", „Pralnia", „Okręt"). Po zamknięciu STS-u był aktorem i autorem Teatru Rozmaitości, kabaretów „U Lopka", „Dudek", „Owca", grał w filmach. Szczególną sławę zyskał dzięki roli w „Rejsie" Piwowskiego. Był współautorem scenariusza do tego filmu, a także scenarzystą kilku innych: „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz", „Miś" i „Rozmowy kontrolowane".

W 1975 roku Stanisław Tym przeniósł się z Warszawy na suwalską wieś, ale wciąż pozostaje obecny. Dzisiaj już rzadziej pisuje na scenę, chociaż wciąż współpracuje z Teatrem Rampa. Próbuje za to nowych form; jest wnikliwym i ciętym felietonistą tygodnika „Wprost", a od kilku lat nieprzerwanie sprawuje funkcję Samozwańczego Rzecznika Prasowego Statystycznego Polaka-Szaraka.

Jest niezmordowanym tropicielem absurdów i idiotyzmów w naszym codziennym życiu, a także twórcą – wraz z Jerzym Dobrowolskim – specyficznego języka satyry, charakteryzującego się składnią, której nie sposób podrobić. Potrafi mówić bardzo śmiesznie właściwie na każdy temat, ale w tym co mówi, często pobrzmiewa nuta powagi, wręcz troski o to, co dzieje się z nami wszystkimi, z naszym życiem i całym światem, który jest coraz śmieszniejszy, ale jednocześnie przysparza nam coraz więcej

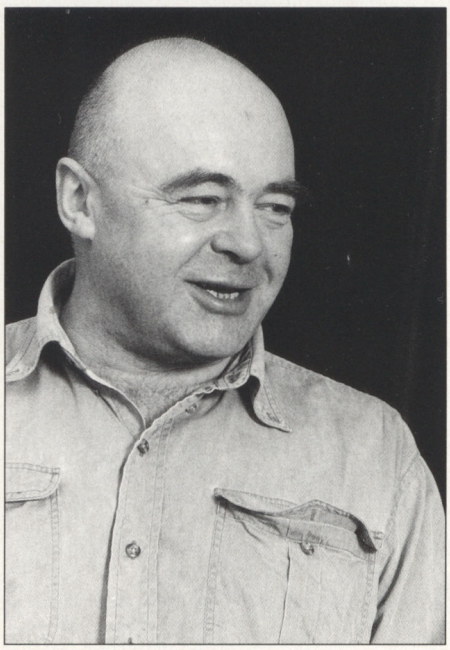

Wtedy dyskusja polegała na tym, że należało zgodzić się z towarzyszem Gierkiem i jego partią. Sto jeden osób, wśród nich ja, podpisało list, że się nie zgadza. Oczywiście, ogłoszono nas warchołami, wrogami socjalizmu, i ukarano.

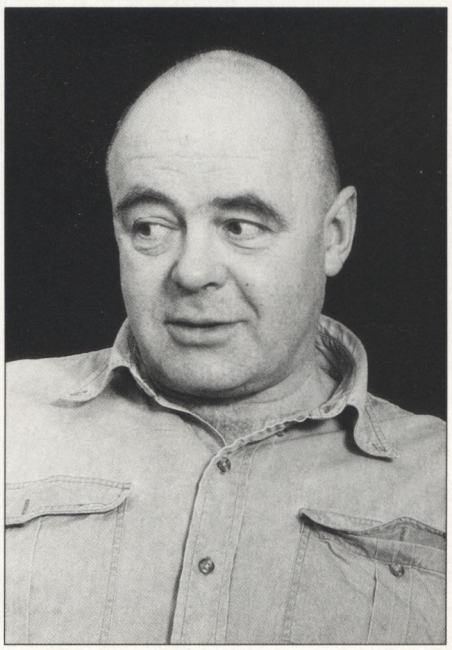

Znać się na kobietach, to znaczy znać się na wszystkim. Nie znam nikogo takiego. Kobieta jest dla mężczyzny zawsze zagadką, idolem i demonem jednocześnie. Myślę, że najtrafniej oddał to Bruno Schulz w swoich rysunkach.

ZDJĘCIA PIOTR MAŁECKI

Wydaje mi się, że nie jest normalne, by ktoś decydował za innych, co mają robić, jak myśleć i postępować, co jest ważne, a co nie. Robiono nam pranie mózgów przez tyle lat, a teraz znowu się to robi, tyle że innym proszkiem.

kłopotów i zmartwień. Tym po prostu umie je w sposób dowcipny nazwać i pewnie dlatego jego satyra wciąż wywołuje żywe reakcje.
*W imieniu PLAYBOYA ze Stanisławem Tymem rozmawiali **Katarzyna Nazarewicz** i **Przemysław Berg**.*
Spotkali się dwukrotnie. Na pierwsze spotkanie w prywatnym mieszkaniu na warszawskim Ursynowie rozmówca przybył troszkę spóźniony, lecz szybko usprawiedliwił się słowami: „Bardzo państwa przepraszam, że się spóźniam, ale nie było żadnej możliwości, bym zdążył na 10.30, skoro wyszedłem z domu 20 przed 11.00". W trakcie rozmowy był jednak skupiony i poważny, nawet gdy opowiadał o zabawnych wydarzeniach. Siedział sobie w bujanym fotelu i pochłaniał ogromne ilości francuskiego ciasta.

PLAYBOY: Wyjechał Pan przed kilkunastu laty na suwalską wieś, co wiele osób przyjmowało z ironią: Ach, ten Tym, on zrobi wszystko, żeby się o nim mówiło. Zawistnicy twierdzą, że przeniósł się Pan z miasta na wieś, żeby stracić „miastowość". Czy to prawda?
TYM: Nie, głównym powodem było to, że podpisałem list w sprawie Konstytucji PRL. To było w 1975 r. Proponowano zmiany – między innymi o przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, o przewodniej roli partii i o karaniu ludzi uchylających się od pracy. I ogłoszono ogólnonarodową dyskusję nad tymi propozycjami. Wtedy dyskusja polegała na tym, że należało zgodzić się z towarzyszem Gierkiem i jego partią. Sto jeden osób, wśród nich ja, podpisało list, że się nie zgadza. Oczywiście, ogłoszono nas warchołami, wrogami socjalizmu i ukarano. Mnie na przykład zdjęto sztukę z afisza w Starym Teatrze w Krakowie i warszawskim „Kwadracie" też. I nie mogłem nic pisać dla radia... Nie ma znaczenia – nic nie mogłem. Pomyślałem, że jeśli będę chciał w przyszłości podpisać jakiś protest, to pewnie ręka mi zadrży. Postanowiłem wynieść się na wieś. W razie czego posadzę ziemniaki, kilka kur, poletko żyta i podpiszę bez obaw co będę chciał. Tak kombinowałem.
PLAYBOY: Poważnie?
TYM: Przyznaję, że trochę to było niepoważne. Więcej demonstracji niż konieczności.
PLAYBOY: Publikował Pan wtedy w drugim obiegu?
TYM: Nie, nigdy. Nie pisałem rzeczy aż tak ważnych. Byłoby to po prostu marnowanie farby drukarskiej i papieru, którego bardzo brakowało. Zresztą ci, którzy czytali bibułę, i tak wszystko wiedzieli. Co ja im jeszcze mogłem dodać? Starałem się utrzymać w oficjalnym nurcie na ile to było możliwe.
PLAYBOY: Ale w 1975 r. okazało się to niemożliwe i niebawem znalazł się Pan na wsi. I co Pan robił? Uprawiał Pan ziemię?
TYM: Wstyd powiedzieć, ale moja demonstracja zaszła tak daleko, że uprawiałem. Trwało to krótko, ale kilka ton gryki ludowemu państwu sprzedałem.
PLAYBOY: Czyli zajął się Pan rolnictwem w pełnym tego słowa znaczeniu. Kupił Pan traktor czy konia?
TYM: Ani konia, ani traktoru. Sąsiad mi orał pole. Nie sądźcie państwo, że ja umiem zapiąć konia do pługa.
PLAYBOY: Nigdy Pan nie próbował?
TYM: Koń by się uśmiał.
PLAYBOY: A sąsiedzi? Jak Pana przyjęli?
TYM: Dobre pytanie. Sąsiedzi? Tak, wieś to jest właściwie jedno wielkie sąsiedztwo. Jak mnie przyjęli? Z rezerwą, to zrozumiałe. Ale myślę, że szybko się ze sobą zżyliśmy. Na wsi ludzie inaczej żyją między sobą niż w mieście.
PLAYBOY: Lepiej?
TYM: Inaczej. Ale chyba lepiej, bo się ze sobą kontaktują, choćby z konieczności. Jeśli w mieście popsuje się pani kran, to pani dzwoni do hydraulika. Na wsi idzie się do sąsiada, aby pomógł naprawić. Albo on przyjdzie z prośbą o coś. Bo zawsze coś jest potrzebne, czego akurat w domu nie ma – a to kran właśnie, a to drut, a to śruba, a to dętka – więc te wzajemne wizyty są częste.
PLAYBOY: Można się domyślać, że częściej chodził Pan. Przynajmniej na początku.
TYM: Myślę, że tak. Ale przychodzono i do mnie, bo ja, jedyny we wsi, miałem samochód i mogłem zawieźć do kościoła, do ślubu i na komunię, do szpitala lub po prostu do miasta na zakupy. Z Zakątów jest cztery kilometry piechotą do autobusu jeżdżącego do Suwałk. Podróż w obie strony – pół dnia. Zimą – cały dzień.
PLAYBOY: Szczególnie, że zimą dzień krótszy.
TYM: Właśnie. A zimy dłuższe. Na Suwalszczyźnie mówią: u nas zima to tylko dziewięć miesięcy, a potem lato i lato.
PLAYBOY: A jak jest naprawdę?
TYM: Jest prawie dokładnie tak właśnie. Pierwszy raz w Zakątach pojawiłem się na początku maja 76. W lesie, w dołkach i kotlinkach od północnej strony, leżał jeszcze stary, zimowy śnieg. A pod koniec września małe jeziorko we wsi ściął mróz tak, że mój sąsiad Trocki wszedł na lód, metr od brzegu.
PLAYBOY: Trocki? Znane nazwisko.
TYM: Tak, ale oczywiście nie Lew Dawidowicz. Aleksander Trocki. Porządny człowiek, zmarł trzy lata temu. Wtedy wszedł na lód, bo był chudy i drobny.
PLAYBOY: Ale po co wszedł?
TYM: Aby sprawdzić, czy lód gruby. Na wsi stale wszystko się obserwuje. Wszystko. Niebo – czy jastrząb nie krąży, bo wtedy trzeba kury zagnać pod dach; czy nie ciemnieje od zachodu na deszcz. Na drzewa się patrzy, jaka jest w górze siła wiatru. I na łąkę – czy trawa sucha, czy na niej rosa. W mieście nie obserwuje się nieba ani ziemi. Niedawno rozmawiałem z Maćkiem Pawlickim, naczelnym „Filmu" i coś o pogodzie się zgadało, że ciepło. Powiedziałem, że takie lato jak zeszłoroczne to się chyba już nie powtórzy i dodałem, że było straszne. On się zdziwił: „Dlaczego straszne?" „No, straszne! Takiej suszy to najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby drzewa schły w sadach!" Maciek popatrzył zdziwiony: „Drzewa w sadach schły? Kiedy?"
W mieście się tego nie zauważa. Wychodzi się na ulicę, jest ładna pogoda, ciepło, przyjemnie, nic z nieba nie kapie. A u nas na wsi w zeszłym roku, bez kropli deszczu przez cztery miesiące, trzeba było podlewać śliwy i wiśnie, i porzeczki, i świerczki. Nie mówiąc, rzecz jasna, o grządkach i rabatach.
PLAYBOY: Słowem w pana życiu wiele się zmieniło, gdy zamieszkał pan na wsi. Zaczął Pan obserwować przyrodę?
TYM: Tak. Najpierw dostrzegać, potem obserwować.
PLAYBOY: A czy coś się zmieniło u pana sąsiadów, z tego powodu, że Pan przyjechał?
TYM: Jedna rzecz z pewnością: stosunek do psów. Na polskiej wsi psy trzymane są na łańcuchu. Łańcuch z reguły jest krótki, bo niby dlaczego ma być długi. Pies się często nazywa Szarik, ale nie jest kumplem, ani członkiem drużyny. Jest przykutym na całe życie niewolnikiem – brudnym, zapchlonym, głodnym i spragnionym. Bo przecież woda w misce to też rarytas.
Mamy dwa psy. To są współmieszkańcy domu. Cała wieś początkowo traktowała nasze życie jako miejską fanaberię. Pies, żeby po mieszkaniu łaził? Albo, żeby mu kupować obróżkę antypchłową? Żyjemy na wsi już kilkanaście lat i zauważono, że to nie jest nasza chwilowa, miejska fanaberia. Przecież te nasze psy, to są psy wiejskie. I chodzą swobodnie po domu i po obejściu. I inne psy w naszej wsi na tym skorzystały. Zaczęto je spuszczać z łańcuchów. Teraz też chodzą wolno. Jeden nawet śpi w chałupie. Inne, jeśli są na łańcuchach, to są z nich spuszczane, wyprowadzane na spacery. To co się stało z psami w mojej wsi – to rewolucja! Bomba!
PLAYBOY: Jakich ma Pan sąsiadów?
TYM: Raczej dobrych i mądrych. Choćby te psy właśnie są tego najlepszym dowodem.
PLAYBOY: Co jeszcze może Pan powiedzieć o sąsiadach?
TYM: Całą książkę. Ogólnie rzecz biorąc są wrażliwi i subtelni, i mają ogromne poczucie humoru. Dominik Bobrukiewicz, już mu idzie ósmy krzyżyk. Spotykamy się z nim kiedyś na drodze, po silnej ulewie. Słońce znów mocno świeci, a tęcza na niebie wielka – od Wigier aż do lasu. Dominik mówi: „Piękna tęcza, pije wodę z jeziora". Inny mój sąsiad, Sławek Buczyński, cieśla i w ogóle wszechstronnie utalentowany człowiek. Sam zbudował traktor, młocarnię, betoniarkę. To nie żarty – z części znalezionych, dokupionych lub zrobionych własnoręcznie. Wielka indywidualność. Sławek siedzi u nas na dachu, na kalenicy i pracuje. Ale po pewnym czasie cisza – siekiera nie stuka, piła nie tnie. Żona moja, Anna, wychodzi zobaczyć czy coś złego się nie dzieje. „Nie – mówi Sławek. – Wszystko jest dobrze. Tak tylko siedzę i patrzę, że tu tak pięknie." Przecież to jakby Colas Breugnon. Zresztą Sławek też rzeźbi.

Jak to możliwe, że nie zwróciłam na niego uwagi...
...aż do dziś.

Zapach intrygujący kobiety.

DEZODORANT EAU DE TOILETTE I WODA PO GOLENIU

PLAYBOY: Krótko mówiąc raj. „Wsi spokojna, wsi wesoła"?

TYM: Bez przesady. Zrobili nam teraz Wigierski Park Narodowy. Jest strefa ciszy i nie wolno pływać motorówkami. Ale państwowe przedsiębiorstwo rybackie na starych, rozklekotanych dieslach wypływa swoją Wielką Armadą na Wigry i tłucze te resztki ryb czym się da. W tym parku można zastrzelić psa, który poszedł do jeziorka ochłodzić się i właśnie wraca sobie do domu przez łąkę. Sąsiad miał siłownię wiatrową, którą oświetlał i ogrzewał sobie dom. Kazali mu ją zdemontować, bo szpeci krajobraz. Nie wiem dlaczego piękna, skrzydlata siłownia szpeci, a żelazne kratownice słupów linii elektrycznej zdobią.

PLAYBOY: Jaką porę roku lubi Pan najbardziej?

TYM: Chyba nie mam ulubionej.

PLAYBOY: A gdyby Pan musiał wybrać?

TYM: To chyba zimę.

PLAYBOY: Dlatego że jest zimno i ponuro, nic nie rośnie, a dzień krótki?

TYM: Prawda, lecz zimą zaczyna tego dnia właśnie przybywać. Już od Bożego Narodzenia dzień jest coraz dłuższy. Bardzo lubię te święta i lubię jak przybywa dnia.

PLAYBOY: To znaczy, że lubi Pan być bardziej przed niż po?

TYM: Zdecydowanie przed. Ostatecznie mogę być w trakcie. Ale po jest najsmutniejsze. Nigdy nie byłem marksistą. Dla marksistów cel jest najważniejszy – komunizm. Zdecydowanie wolę Eduarda Bernsteina i jego „cel jest niczym – ruch jest wszystkim".

PLAYBOY: Dobrze, zimę Pan lubi. A wiosnę?

TYM: Powiedziałem już, że lubię wszystkie pory roku.

PLAYBOY: A wiosnę?

TYM: Przepraszam, ja wiem że to państwo pytacie, a ja odpowiadam, ale ja złamię tę konwencję i teraz ja zapytam: o co chodzi z tą wiosną?

PLAYBOY: Niech się Pan domyśli. No?... wiosna... Wszystko się budzi do życia... kwiaty... dziewczyny... bzy...?

TYM: Rozumiem. Przecież to jest dla PLAYBOYA i trudno o tym nie mówić.

PLAYBOY: Kiedy się Pan ostatnio zakochał?

TYM: Mam powiedzieć prawdę, czy mogę się trochę z nią minąć?

PLAYBOY: Prawdę.

TYM: Dziesięć lat temu.

PLAYBOY: Strzeliło w Pana piorunem, rozstąpiła się pod Panem ziemia, zawyło w Panu serce?

TYM: Jest takie opowiadanie Galsworthy'ego pt. *Piorun*. Nauczyciel – a nauczyciele przeważnie byli biedni i tak jest do dziś – otóż nauczyciel zakochuje się w bardzo bogatej mężatce. Ona w w nim troszkę też. Ta miłość w pewnym sensie stała się źródłem ich cierpienia i zrujnowała im życie. Jemu szczególnie.

PLAYBOY: Czy Panu też?

TYM: Nie. Kilka razy mnie to trafiło, ale na szczęście nigdy rujnująco.

PLAYBOY: A to najważniejsze trafienie?

TYM: Chyba sprzed blisko trzydziestu lat.

PLAYBOY: Kto to był?

TYM: Moja żona. To było dość zabawne. Pojechałem nad Jezioro Nidzkie do starej rybaczówki i tam zobaczyłem – jak mi się wydawało – grubą, brzydką dziewczynę, czerwoną na twarzy, z małymi oczkami. I pomyślałem: mój Boże, jak ona wygląda! Młode to, ale kto ją zechce? A Pan Bóg wychylił się wtedy zza chmury i wskazując mnie niewidzialnym palcem powiedział: „Ty, Tym! Ty ją zechcesz" Dodam tylko, że moja żona ma wielkie, piękne, błękitne oczy.

PLAYBOY: Amerykanie, którzy wszystko badają w laboratoriach, ustalili, że zakochany człowiek w stanie euforii to głęboka – można rzec – patologia. Zmienia się skład chemiczny krwi, skacze ciśnienie, serce wali szybciej, w skórze występują mocniejsze prądy galwaniczne i cały organizm jest w stanie przypominającym narkotyczne upojenie. Wiedział Pan o tym?

TYM: Coś o tym chyba czytałem w „Świecie Nauki" albo w „Problemach". Ten stan upojenia potęguje jeszcze przyroda. Wyjechaliśmy kiedyś z STS-em na jakieś przedstawienie i późnym wieczorem wracaliśmy do hotelu. Drzewa kwitły jak szalone. I Halina Mikołajska mówi: „Upijemy się, jak amen w pacierzu". „Czym się upijemy?" – pytam. A Halina na to: „To ty nie wiesz, że jak drzewa kwitną, to idziesz w oparach alkoholi, eterów, estrów i ketonów?" Okazało się, że w swej młodości też studiowała chemię.

PLAYBOY: A Pan długo studiował?

TYM: Chemię? Cztery lata. Dwa razy pierwsze cztery semestry.

PLAYBOY: Wróćmy do kobiet.

TYM: Bardzo chętnie.

PLAYBOY: Lubi Pan kobiety?

TYM: Lubię. Wolę kobiety od mężczyzn. Bardzo im sprzyjam.

PLAYBOY: Przyjaźni się pan z kobietami?

TYM: Tak.

PLAYBOY: Nie zawiodły Pana?

TYM: Nie.

PLAYBOY: A mężczyźni?

TYM: Prawdziwi przyjaciele nigdy nie zawodzą. Ale zdarzyło się. Zawiodłem na bliskim mi mężczyźnie, któremu ufałem.

PLAYBOY: Które kobiety się Panu podobają?

TYM: Trzeba mówić o ogólnie znanych, bo jeśli powiem, że Hania Kowalska, to nikt nie wie jak ona wygląda. Wymienię zatem aktorki. Faye Dunaway na przykład. Ale Inna Czurikowa, żona Gleba Panfiłowa, też Monica Vitti. A najbardziej Ingrid Thulin w filmie *Tam gdzie rosną poziomki*.

PLAYBOY: Podoba się Pan kobietom?

TYM: Bo ja wiem?

PLAYBOY: Czy Pan wie, że jest interesującym mężczyzną?

TYM: Skoro Pani mi to mówi, to widocznie jestem. Remarque powiedział „Każdy mężczyzna ma jakieś zalety. Trzeba mu je tylko wskazać".

PLAYBOY: Co w kobietach jest dla Pana najważniejsze ?

TYM: „Dobroć kobiety znaczy więcej niż geniusz mężczyzny" – mawiał Karol Olgierd Borchardt w *Znaczy kapitan*. Ja też tak uważam. Dobroć. Kobiety są dobre.

PLAYBOY: A mężczyźni genialni.

TYM: Liczy się to, co jest między kobietą i mężczyzną. Uczucie, tkliwość. Aby uwieść kobietę, trzeba dziesięciu palców – pisał Balzac, ale kto dziś czyta Balzaca...

PLAYBOY: Apollinaire uwiódł Madeleine listownie.

TYM: Tak, ale pisał te listy dziesięcioma palcami. Nikt już nie potrafi napisać tak do kobiety jak Guillaume Apollinaire do Madeleine Pagès. Tak intymnie i czule. A przecież to był romans korespondencyjny tylko. Nigdy nie spełniony.

PLAYBOY: Zna się Pan na kobietach?

TYM: Nikt się nie zna na kobietach. Znać się na kobietach, to znaczy znać się na wszystkim. Nie znam nikogo takiego. Kobieta jest dla mężczyzny zawsze zagadką. Jest i idolem i demonem jednocześnie. Myślę, że najtrafniej oddał to Bruno Schulz w swoich rysunkach. Naga kobieta z całującym jej stopę mężczyzną... Kobieta siedząca na stole z mężczyzną u jej stóp... Takich symbolicznych rysunków Schulza są dziesiątki, setki. Lapidarnie rzecz ujmując PLAYBOY wyraża podobny stosunek do kobiet. Piękna, naga kobieta siedząca na krześle. I tylko mężczyzny u jej stóp nie widać. Ale on jest, bo trzyma właśnie pismo w ręku i ogląda tę kobietę z zachwytem.

PLAYBOY: Zmieńmy temat i przejdźmy może do polityki. Był Pan mocno zaangażowany w pierwsze wybory do postkomunistycznego parlamentu. Czy wobec takich oczekiwań nie żałuje Pan swojego poparcia?

TYM: Czwartego czerwca głosowałem, oczywiście, nawet dość aktywnie prowadziłem kampanię wyborczą. Z Suwalszczyzny startowali Geremek i Wajda. Przebijaliśmy się przez te bory, dojeżdżaliśmy do Litwinów. Nie, nie żałuję. Popierałem porządnych ludzi.

PLAYBOY: Na prezydenta też Pan prowadził kampanię?

TYM: Nie, nawet nie głosowałem. Miałem swojego kandydata. Ale on nie kandydował.

PLAYBOY: Kogo?

TYM: Jerzego Turowicza.

PLAYBOY: Panie Stanisławie, parę słów na temat pańskiej robotniczej przeszłości. Pracował Pan w fabryce Wedla.

TYM: Nic atrakcyjnego. Wstawałem przed piątą rano, bo szedłem do robotyna szóstą. Był 1955 rok, pamiętam, że brałem udział w strajku na oddziale pakowni, do której przywoziłem herbatniki z piekarni. W pakowni pracowało kilkaset kobiet. Siedziały i zawijały. Myśmy przywozili i zapakowane odwoziliśmy do magazynu. Te kobiety pracowały na akord. Obniżono im stawkę, więc rozpoczęły strajk. Wtedy uczono nas, że strajki mogą być tylko w kapitalizmie. Zjechało kilka autobusów z ubekami. Afera była nieprawdopodobna. Ale wygrały one, i to było najważniejsze.

PLAYBOY: I jakie wrażenie robiło na Panu te kilkaset kobiet?

TYM: Żadnego, bo to był ośmiogodzinny fizyczny wysiłek, bardzo ciężka praca, bez przerwy właściwie.

PLAYBOY: Pamięta Pan śmierć Stalina? Płakał Pan z innymi?

TYM: Nie. Na szczęście zostałem wychowany w porządnym domu.

PLAYBOY: Kto Pana tak dobrze wychował?

TYM: Moi rodzice. Ojciec był fryzjerem damskim, a mama prowadziła cały dom. Nas, dzieci, była trójka.

PLAYBOY: Uczył się Pan dobrze?

TYM: W szkole – tak.

PLAYBOY: A studentem był Pan podobno fatalnym. Wyrzucili Pana z PWST.

TYM: Z PWST? Mnie wyrzucali ze wszystkich wyższych uczelni, na których studiowałem, a studiowałem na wszystkich. Żartuję, ale na wielu.

PLAYBOY: I co Pan skończył?

TYM: Nic. Zrobiłem wreszcie eksternistycznie dyplom aktorski.

PLAYBOY: Czy był Pan w jakiejkolwiek organizacji politycznej?

TYM: Należałem do ZMP. Ojciec mi powiedział, że mam należeć.

PLAYBOY: To ojciec troszkę był niekonsekwentny.

TYM: Można tak powiedzieć, ale go rozumiem. Miał żonę i troje dzieci na utrzymaniu. Było bardzo biednie, kilka lat po wojnie. Pierwszą też pamiętał, bo gdy się skończyła, miał dziesięć lat. Chciał spokojnie żyć i pracować, a tu ciągle coś się działo. Miał na spółkę z kolegą mały zakładzik fryzjerski, to im go zabrali na spółdzielnię fryzjerów „Współpraca". I ojciec w jednej chwili ze współwłaściciela zakładu stał się członkiem tej spółdzielni. Dodatkowo, żeby się przełamał wewnętrznie, jako była prywatna inicjatywa, zrobiono go kierownikiem punktu spółdzielczego.

PLAYBOY: Czyli tego zakładu, który był ojca własnością?

TYM: Tak. Jako właściciel ojciec codziennie całą brudną bieliznę przynosił do domu. Mama prała ją, prasowała, krochmaliła, aby na następny dzień była czysta. Jak mu ten zakład zabrali, to ojciec przyniósł znowu, jak zwykle, bieliznę fryzjerską do domu do prania, bo przecież czysto w zakładzie musiało być. Wtedy przyszła ubecja i powiedzieli, że ojciec ukradł fartuszki ze spółdzielczego zakładu. Rewizji w domu było kilka. To był 1951rok – pełnia stalinizmu. Trudno się dziwić ojcu, który chciał abym miał spokój i aby mnie się nikt nie czepiał, że jestem wrogiem władzy ludowej. Stąd to ZMP.

PLAYBOY: Wracajmy do naszych czasów. Pamiętamy pewien Pana występ, kiedy sprawiał Pan wrażenie całkowicie nieprzygotowanego. To było przed kilku laty, razem z Piotrem Fronczewskim, w trakcie finału konkursu Miss Polonia w Sopocie. Skecz, który mówiliście, był bardzo kiepski i odnosiło się wrażenie, że w ogóle nie staraliście się, aby był lepszy. Czy Pan to sobie przypomina?

TYM: Czy sobie przypominam?! Takiej porażki nie zapomina się nigdy. I najciekawsze, że nie było w tym cienia improwizacji. Rzecz została napisana i wypróbowana. Byłem przekonany, że to będzie śmieszne, ale jak już wyszliśmy przed publiczność, wiedziałem, że nie będzie...

PLAYBOY: W swojej karierze był Pan również urzędnikiem kultury. Przez dwa lata sprawował Pan funkcję dyrektora teatru w Elblągu. Jak się Panu urzędowało? I dlaczego Elbląg?

TYM: Janusz Rewiński był na jakimś występie w Elblągu i tam spytali go, czy nie zna kogoś dobrego, kto mógłby objąć stanowisko dyrektora tamtejszego teatru. Wymienił moje nazwisko, do dzisiaj nie wiem, czy dla żartu, czy poważnie. Tak się zaczęło. Najpierw nie wiedziałem, czy w ogóle wypada to robić w tamtych czasach. Rozmawiałem z Wajdą, Konwickim, Holoubkiem i Bardinim. Uznali, że tak, że nie powinienem mieć obaw. Dalej, musiałem mieć opinię z partii (byłem bezpartyjny!) w miejscu mojego zamieszkania. Komitet Gminny PZPR w Nowince zaświadczył: „że obywatel Tym jest rolnikiem zamieszkałym na terenie gminy i nadaje się na dyrektora teatru". Wreszcie musiałem mieć opinię środowiska, popierającą moją kandydaturę. Wystawił mi ją Jan Paweł Gawlik, ówczesny dyrektor Teatru Rzeczypospolitej. Po prostu odręcznie, na blankiecie teatru, napisał mi laurkę. Gdy ją pokazałem w Elblągu urzędnikom władz miasta, byli pewni, że opinia jest sfałszowana, że może sam ją napisałem? Telefonowali nawet do Gawlika, by to sprawdzić. No i tak zostałem dyrektorem teatru.

PLAYBOY: Pamięta Pan swoją pierwszą dyrektorską decyzję?

TYM: Pamiętam. Teatralnym korytarzem szła kobieta i płakała. Spytałem, co się stało. Powiedziała, że jest bufetową, którą zwolnił dyrektor administracyjny teatru, czyli mój zastępca.

PLAYBOY: Przywrócił Pan bufetową do pracy?

TYM: Oczywiście.

PLAYBOY: A co na to Pański zastępca?

TYM: Powiedziałem mu, że w teatrze dwie osoby są najważniejsze: bufetowa i strażak. Próbował mnie przekonać, że aktorzy. Nie – powiedziałem – aktorzy nie są konieczni. Bufetowa i strażak.

PLAYBOY: Dlaczego?

TYM: Musi być ktoś, kto zrobi strażakowi kanapkę, kiedy on będzie głodny i ktoś, kto powie bufetowej, że tu nie wolno palić.

PLAYBOY: Co konkretnego udało się panu zrobić w Elblągu?

TYM: Miałem, dość niezły zespół, jak na teatr prowincjonalny, z Zosią Merle i Jurkiem Turkiem na czele. I Elbląska Wiosna Teatralna też była jakimś dokonaniem. Publiczność elbląska zobaczyła Świderskiego w *Niemcach*, Zapasiewicza i Dałkowską w *Panu Cogito*, Wilhelmiego, Wrzesińską i Żółkowską w *Kto się boi Wirginii Woolf*... Musiałbym wymienić około trzydziestu przedstawień.

(ciąg dalszy na str. 102)

BOHATEROWIE MASAKRY

Żołnierz, który wydobył na jaw sprawę My Lai, wspomina po dwudziestu pięciu latach kilku ludzi honoru.

TO CIEKAWE, że pierwsza rzecz, jaką sobie człowiek przypomina, spotykając kogoś, kogo dawno nie widział, jest często ostatnią rzeczą, którą spodziewałby się pamiętać.

Tak właśnie było tamtej nocy w Duc Pho w kwietniu 1968 roku, kiedy wpadłem na Butcha Gruvera, jedynego znanego mi faceta, który pijał denaturat przefiltrowany przez bochenek chleba. Gruverowa sztuczka z chlebem, zademonstrowana na Hawajach podczas przerwy w szkoleniu do walki w dżungli, przekonała nas, że jest inny niż my wszyscy. Było w tym twardym małym człowieczku coś – jakaś uśpiona siła – co zmuszało do posłuchu. Mówił, że siedział w arkansaskim więzieniu, i wszyscy w to wierzyliśmy. Uwierzyłem mu również sześć miesięcy później, gdy zeszliśmy się na skraju drogi w Duc Pho, przed sztabem 11 Brygady w Wietnamie. Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem o tym, co wydarzyło się w Pinkville, miejscu, które świat poznał jako My Lai. Gruver był tamtego wieczoru w pełnym rynsztunku członka Long-Range Reconnaissance Patrol [*grupy rozpoznania dalekiego zasięgu – przyp. tłum.*] – miał pas i szelki z ładownicami oraz wypchany plecak z zawartością poobwiązywaną taśmami, by nie grzechotała podczas marszu przez dżunglę. Towarzyszyło mu czterech innych facetów, również z LRRP – lurpsów, jak ich nazywaliśmy. Lurpsi działali w małych grupach, które przewożono śmigłowcami do miejsc, gdzie przez parę dni z ukrycia obserwowały wroga. Gruver i jego ludzie mieli zostać następnego ranka zrzuceni w górach na zachód od nas. Tamtego wieczoru, po kolacji, znaleźliśmy z Butchem pusty namiot i usiedliśmy przy służącej za stół skrzyni z kradzionym piwem w dłoniach. Po pewnym czasie Butch zapytał: „Słyszałeś, stary, co zrobiliśmy w Pinkville?"

Znałem już tę nazwę. Miesiąc wcześniej jako strzelec pokładowy brałem udział w starciu ogniowym w pobliżu Pinkville – skupiska kilku wiosek znajdującego się około dwudziestu mil na północ od Duc Pho. Pinkville [*dosłownie: Różowa Wioska – przyp. tłum.*] zawdzięczało swoją nazwę kolorowi, którym na mapach wojskowych oznaczano gęstość zaludnienia. Podobno stanowiło bazę wypadową jakiegoś szczególnie zawziętego batalionu Vietcongu.

„Nie, stary – odparłem. – Co zrobiliście w Pinkville?" Jego odpowiedź sprawiła, że zapamiętałem to pytanie. Przed miesiącem, powiedział Gruver, on i reszta Kompanii „Charlie" przeszli przez Pinkville i pozabijali wszystkich, którzy wpadli im w ręce – setki mężczyzn, kobiet, dzieci, niemowląt. Urządzili im rzeź – karabinami maszynowymi i automatycznymi, pistoletami, granatami i bagnetami. Zgwałcili kobiety, spalili domy. Wybili do nogi żywy inwentarz. Jeden z ludzi biorących udział w tej akcji, porucznik określany przez Gruvera jako „ten kutas Calley", wykazywał szczególny entuzjazm w zabijaniu. Ustawiał wieśniaków grupami do egzekucji. Darł się na żołnierzy i groził, że zastrzeli każdego, kto odmówi wykonania rozkazu.

„Tak – powiedział Gruver, gdy siedzieliśmy w namiocie. – Wielu ludzi dostało tego dnia niezłego obłędu." Myślę, że ja sam zaczynałem dostawać obłędu słuchając tamtej nocy jego opowieści. Już w momencie, gdy słowa wychodziły z ust Gruvera, wiedziałem, że jest prawdziwa, jeden ohydny szczegół po drugim, i że nie był to żaden przypadek, nie zaplanowany akt. Cokolwiek wydarzyło się w My Lai, musiało być bezpośrednim wynikiem oficjalnej polityki wojskowej. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. W Wietnamie rozkazy wydawano na górze, ale krew płynęła na dole.

Obiecałem sobie, że w ciągu tych ośmiu miesięcy służby, które mi pozostały, pójdę tropem tej opowieści. Fakty powinny dać się dość łatwo sprawdzić. Parunastu kumpli ze szkolenia na Hawajach wylądowało w Kompanii „Charlie" razem z Gruverem. Nietrudno będzie ich odszukać. Miałem nadzieję, że moi koledzy nie uczestniczyli w tym mordzie, ale jeśli tak, cóż, trudno. Cokolwiek było prawdą, było prawdą. Nikt nie mógł tego zmienić. Przysiągłem sobie, że nie będę trzymał tego w tajemnicy. Mieliśmy być żołnierzami Armii Stanów Zjednoczonych, a nie mordercami kobiet i dzieci. Nie byliśmy doskonali, Bóg wie, że nie, ale nawet przy wszystkich naszych grzechach – a popełniliśmy ich niemało – większość z nas nie była aż tak zła. I rzeczywiście, niektórzy spośród ludzi obecnych tamtego dnia w My Lai byli, jak później odkryłem, prawdziwymi bohaterami.

•

Z przykrością dowiedziałem się, że mój kumpel Billy do nich nie należał. Billy i ja przeszliśmy razem szkolenie na Hawajach. Kilka tygodni po tym, jak Gruver opowiedział mi o My Lai, wylądowaliśmy we trzech w jednym oddziale lurpsów, stacjonującym w obozie na plaży w Chu Lai. Prawie wszyscy paliliśmy już wtedy trawę, ale Billy, podobnie jak paru innych gości z naszego oddziału, wolał mocniejszy towar. Należał do nielicznych, którzy wiedzieli o palarni opium w „ville" – wietnamskim mieście-obozowisku zabudowanym ruderami z kartonów i spłaszczonych puszek po piwie, zaczynającym się w pobliżu głównej bramy przy autostradzie Numer 1. Nie mam pojęcia, kiedy Billy zaczął odwiedzać tę palarnię, ani w jaki sposób ją odkrył. Dowiedziałem się tylko po pewnym czasie, że właśnie tam zawsze chodził. Początkowo dostawał przepustkę. Ale kapitan dość szybko się połapał, że odchodzi coś dziwnego, i Billowe przepustki się skończyły. Pieprzę ich, powiedział mi następnego dnia, a wieczorem prysnął z obozu. Przez druty. Od tamtej pory nie potrzebował przepustki. Wychodził z obozu, kiedy miał ochotę, i wracał, kiedy był gotów. Czasem odnajdywał mnie po powrocie, zwykle w małym klubie oddziału, gdzie siedząc przy skrzyni po amunicji obciągałem piwo i dostawałem mdłości – nie trzeba było do tego dużo tych trujących pomyj. Chodź, stary, mawiał, posiedzimy na plaży i zapalimy skręta. Plaża w Chu Lai była wówczas wspaniała: czysty, biały, oświetlony gwiazdami półksiężyc na łagodnym łuku wybrzeża Morza Południowochińskiego. Siedząc tam, patrząc na daleki horyzont na wschodzie i marząc o „prawdziwym świecie", który leżał za nim, podawaliśmy sobie skręta i obserwowaliśmy fale liżące brzeg. Rozmawialiśmy o tym i owym. O wojnie. O domu. O naszych dziewczynach. Że wojsko jest koszmarne. Że Wietnam jest koszmarny. Zawsze jednak rozmowa schodziła w końcu na ten właśnie temat, który nagle sam się pojawiał. Pinkville.

Billy, razem z Gruverem i resztą Kompanii „Charlie", był tamtego dnia w My Lai. Dla niego umarli z Pinkville stali się towarzyszami na całe życie. W te wieczory, gdy siadywaliśmy na plaży w Chu Lai, ich duchy zawsze przybywały w odwiedziny. Billy zwykł patrzeć ponad wodą, obejmując rękami kolana.

„Zabiliśmy ich wszystkich, stary", zaczynał mówić po jakimś czasie, i powtarzał te

Ron Ridenhour

ILUSTRACJA RAFAŁ OLBIŃSKI

słowa raz po raz, jak refren, kołysząc się w tył i w przód zgodnie z rytmem fal. „Zabiliśmy ich wszystkich."

•

Czasami trzeba całych wieków, żeby do świadomości człowieka dotarło coś absolutnie oczywistego. Nasza wojna w Wietnamie była masowym mordem. Chociaż widziałem to wokół siebie od samego początku, trzeba było My Lai, żebym zrozumiał, co naprawdę widzę. Kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem 1967 roku przyjechałem do Wietnamu, wszyscy mówili o zabijaniu żółtków. Żółtki to, żółtki tamto. Żółtki, żółtki, żółtki. Z początku nie mogłem się w tym połapać. Jak, na przykład, odróżnić „żółtka" od dobrego Wietnamczyka? Po jakimś czasie sprawa się wyjaśniła: nie trzeba ich odróżniać. Każdy tak mówił. „Kiedy nie żyją, wszyscy są z Vietcongu." Wszyscy byli żółtkami. Kilka miesięcy przed tym, jak dowiedziałem się o Pinkville, podsłuchałem rozmowę dwóch sierżantów o innej masakrze. „Jezu – powiedział pierwszy z nich, usłyszawszy od kolegi o szczegółach – jak mogłeś strzelać do kobiet i dzieci?" „Po prostu zamknąłem oczy i naciskałem spust" – odparł drugi. Odkąd przyjechałem do Wietnamu i zacząłem latać w lekkiej osłonie powietrznej dla oddziałów lądowych, widywałem małe masakry, morderstwa popełniane na jednej, dwóch, może trzech czy czterech osobach naraz. Czasami stojąc na płozie śmigłowca i przelatując na wysokości pięćdziesięciu stóp nad grupą żołnierzy, widziało się, jak piechociarz rozwala jakiegoś wieśniaka. Pach-pach-pach. Tak po prostu. Bez niczego. Jeden vietcong zabity w akcji, słyszało się raport przez radio. Zaliczyliśmy żółtka, kapitanie. W pięciu różnych wypadkach na własne oczy widziałem, że jedynym przewinieniem nieboszczyka było to, że wojsko akurat zastało go w domu. I wszystko. Był Wietnamczykiem, był mężczyzną, był w domu, było po nim. Wielokrotnie zdarzało się, że przelatywaliśmy nad jakimś miejscem niedługo po tym, jak oddział Piechoty Stanów Zjednoczonych albo patrol wietnamski bez powodu podziurawił kulami grupę cywilów. Leżeli na ziemi, troje, czworo, czasem nawet pół tuzina ludzi, krwawiąc i umierając, ten czy ów jeszcze rzucał się na drodze. Jeśli nawet mieli broń, nigdy jej nie widziałem. Podróżowanie było dla ludności cywilnej ryzykowne. Życie było ryzykowne.

To co działo się w Wietnamie, nie było wynikiem jakiejś strategii, której realizacja poszła na opak lub która miała nieprzewidziane i godne ubolewania konsekwencje dla paru pechowych cywilów. Było to wynikiem strategii, której zamierzony cel militarny stanowiło spustoszenie całego kraju. Właśnie tak. Zabijcie ich wszystkich. Bóg rozpozna swoich. Dowództwo wiedziało, co robi i wiedziało, co robimy my. A robiliśmy to, co kazano nam robić. Zabijaliśmy ludzi i wkrótce dotarło do nas, że dowództwa nie obchodziło, kogo zabijamy, byle tylko było ich dużo.

•

Co piąty nabój w moim M-60 był pociskiem smugowym z czerwonym czubkiem. Pociągając za spust, rysowałem w powietrzu jaskrawopomarańczową linię, gorące, rozedrgane ostrze wyszczerbionego skalpela. Właśnie w takim celu używaliśmy tych pocisków – do szatkowania ludzi. Oczywiście nie przypomina to krojenia drobiu. Ludzi na przeciwległym końcu karabinu zalewa krew i wychodzą z tej operacji w postaci maleńkich strzępków, które rozpryskują się dookoła. Okropnie to niechlujne.

Chociaż ostatecznie przydzielono mnie do Americal Division LRRP, pierwsze cztery miesiące służby w Wietnamie spędziłem jako strzelec pokładowy, stojąc na płozie śmigłowca, który prześlizgiwał się tuż nad czubkami drzew i polami ryżowymi, podrywał się pionowo do góry nad kępami krzaków i wpadał do zdumionych wiosek czy na spokojne poletka, szukając uzbrojonych wietnamskich mężczyzn, aby pokroić ich w krwawą partyzancką kostkę. Śmigłowce, na których latališmy w Primo, mojej jednostce, były małymi maszynami typu policyjnego, z szybą z pleksi. Ledwo starczało w nich miejsca dla trzech osób. W naszym pilot siedział na środku, a strzelcy stali po bokach, balansując z karabinami maszynowymi M-60 i dwustoma nabojami, których pasy były zawieszone u szczytu drzwi na elastycznych gumowych taśmach. Ubrani w kamizelki kuloodporne z wkładem ceramiczny, opancerzone kurtki, zabudowane hełmy, wysokie buty i rękawice, spadając z nieba w klekoczących maszynach i plując z karabinów czerwoną śmiercią, musieliśmy robić na Wietnamczykach wrażenie przybyszy z Marsa. Nazwaliśmy się zespołami „myśliwych-zabójców", które to określenie złagodzono później do „powietrznych skautów". Latališmy parami, zazwyczaj o świcie lub o zmierzchu, wypatrując partyzantów. Jeden śmigłowiec leciał zawsze nisko, nie wyżej niż pięćdziesiąt stóp nad ziemią, a zwykle jeszcze niżej, tuż nad krzakami, wystawiając się na cel, podczas gdy drugi kołował ponad nim, trochę z tyłu jako osłona. Można by sądzić, że byliśmy cholernie odważni latając tak nisko i czekając, by ktoś do nas strzelił. Ale prawda jest taka, że wszyscy partyzanci, którzy atakowali nas małymi siłami, narażali się na pewną śmierć.

Nazywano nas zabójcami nie bez powodu. Choć kraj należał do nich, polowanie było nasze.

Kiedy już się to działo, działo się w mgnieniu oka. Zbliżaliśmy się zygzakując i klucząc nad poletkami ryżowymi, wyskakiwaliśmy nagle zza linii drzew czy krzaków i już ich mieliśmy. Dwóch, trzech, czterech – czasem więcej – małych ludzików z karabinami w dłoniach, schwytanych w pułapkę na otwartej przestrzeni.

Pamiętam, jak pewnego ranka wypadki nie potoczyły się według ustalonego scenariusza. Tego dnia – być może tego samego, kiedy Kompania „Charlie" zaczęła robotę w My Lai – trafiliśmy na samotnego partyzanta. Albo może powinienem powiedzieć, że to on trafił na nas. Był drobnym, niskim mężczyzną, ubranym tylko w purpurowe szorty i klapki, uzbrojonym w karabinek M-2 i garść naboi. Nie widzieliśmy go i nie miał żadnego powodu, by sądzić, że jest inaczej. Nagle jednak sam się ujawnił. Wyszedł ze swej kryjówki mierząc do nas z karabinka i naciskając raz za razem spust, jakby myślał, że jest niewidzialny.

Oczywiście nie miał żadnych szans. Skierowałem nań strumień ognia i w ułamku sekundy mały człowieczek został zasypany gorącym, metalowym gradem pocisków smugowych, które rozpruły jego ciało. Uszła z niego krew, a razem z krwią życie.

Kiedy kilka chwil później wylądowaliśmy i wyskoczyłem ze śmigłowca, aby zabrać jego broń – druga maszyna terkocząc krążyła nad nami – nie żył już, a cały karabinek był zabrany strzępami jego ciała. Oprócz szortów, klapek i broni miał przy sobie tylko pas na ładownice i dwudniową rację ryżu zawiniętą w kawałek folii. Nie pamiętam jego twarzy, prócz tego, że była wychudzona, blada jak kreda i że należała, to wiedziałem na pewno, do bohatera. Zginął podejmując niepotrzebne ryzyko dla sprawy, której nie rozumiałem.

Tego dnia zacząłem sobie uświadamiać, że tej wojny nie możemy wygrać. Wietnam był pełen takich ludzi jak on – i prawie wszyscy walczyli po przeciwnej stronie.

•

Kilka mil za miejscem, gdzie podnóże gór wyciąga się na wschód, nasze śmigłowce opuściły dolinę, przeleciały nad granią i opadły na małe poletko ryżowe usadowione w kotlince, dwieście stóp poniżej szczytu wzgórza. Wyskoczyliśmy z maszyny w niecałe pięć sekund i sześć postaci w panterkach, z granatami u pasów i plecakami z pełnym ekwipunkiem polowym, potupało pośpiesznie przez wysoką po uda trawę ku otaczającej poletko dżungli, która zapewniała względne bezpieczeństwo. Obydwa „rekiny" – śmigłowce szturmowe – i maszyna ubezpieczająca tyły zatoczyły koło, dołączył do nich śmigłowiec transportowy, po czym wszystkie cztery zawróciły w stronę morza. Był to mój pierwszy patrol zwiadowczy.

Założyliśmy posterunek obserwacyjny jakąś milę od strefy lądowania. Mieliśmy tu posiedzieć cztery do pięciu dni, lornetować szlak, liczyć żołnierzy Północnego Wietnamu, którzy nim przechodzą, i wezwać artylerię, jeśli trafi się okazja.

Podzieliliśmy się na trzy dwuosobowe zespoły wymieniające się zadaniami: jeden obserwował szlak, drugi tyły, a trzeci miał wolne. Musieliśmy zachowywać ciszę, zwłaszcza w nocy. Każdy z nas miał coś do czytania podczas przerw w ciągu dnia. Ja do spółki z moim kumplem Mikiem czytałem książkę pod tytułem *Spisek paschalny*.

ciąg dalszy na str. 105

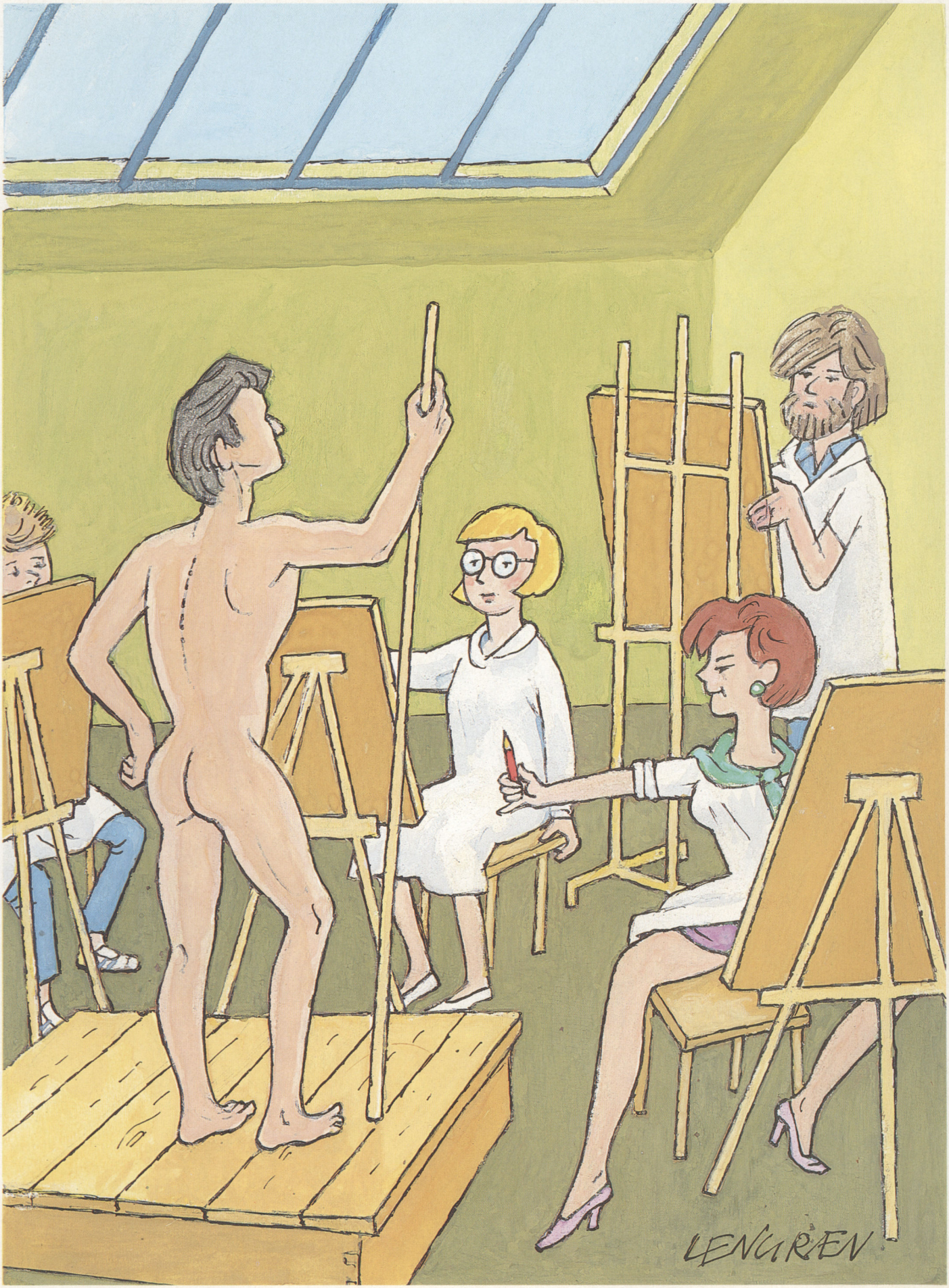
LENGREN

ANNA NICOLE SMITH

PLAYMATE ROKU 1992

Niespodzianka z Teksasu rzuciła Amerykę na kolana

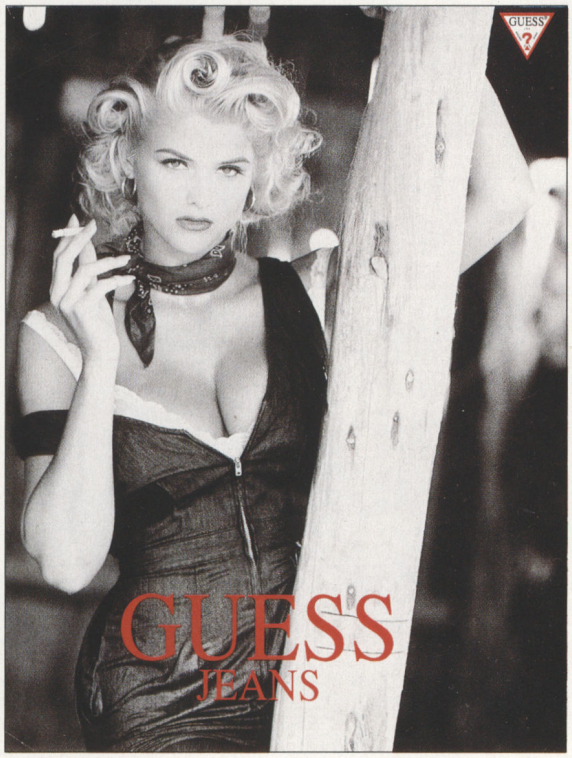

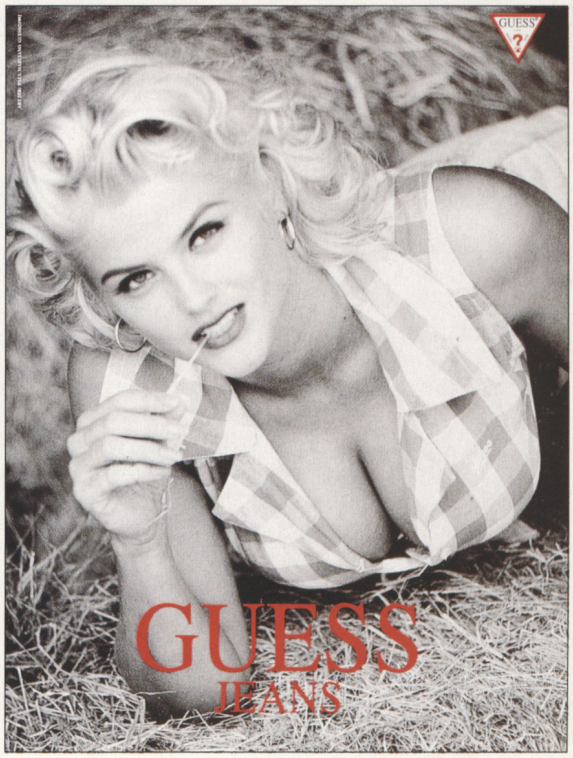

TEKST REG POTTERTON

Poznaliśmy ją jako Vickie. Jej pierwsze okładkowe zdjęcie w PLAYBOYU ukazało się w marcu 1992 roku. Niedługo potem, w maju, Anna Nicole Smith (tak brzmią jej prawdziwe imiona, do których postanowiła wrócić) została dziewczyną miesiąca. Teraz sięgnęła po największy laur PLAYBOYA: amerykańscy czytelnicy uznali ją za najpiękniejszą dziewczynę spośród dwunastu kandydatek do tytułu Playmate roku (ich zdjęcia prezentowaliśmy też w polskim PLAYBOYU, w lutym). Entuzjaści przyrównują ją do najsłynniejszych blond-piękności wielkiego ekranu: Marilyn Monroe, Anity Ekberg i Jane Russel.

Kariera Anny Smith przebiegała w stylu iście amerykańskim – była nagła i pełna niespodzianek. Anna Nicole urodziła się 25 lat temu w Teksasie i tam, w małym miasteczku, 70 mil od Dallas, spędziła większość życia. Gdy miała 15 lat rozpoczęła pracę w niewielkiej restauracji Chicken House, w której zajmowała się głównie przyrządzaniem jajecznicy, smażeniem frytek i pieczeniem kurczaków. Dwa lata później wyszła za mąż za 16-letniego chłopca i urodziła syna Daniela. Związek ten przetrwał zaledwie dwa lata. Po rozwodzie Anna wraz z matką przeniosła się do Houston. Zdana wyłącznie na własne siły musiała się zapracowywać, by utrzymać siebie i syna. Często wynajmowała się do dwóch, trzech prac naraz.

Nawet w najtrudniejszych momentach – wspomina – *nie traciłam nadziei, że coś musi się w moim życiu zmienić, że prędzej czy później nastąpi jakiś przełom. Próbowałam nawet dopomóc losowi.*

Początkowo bezskutecznie. Zgłosiła się do największej agencji modelek w Houston. *Poradzili mi, żebym przefarbowała włosy, mocno się odchudziła, całkowicie zmieniła styl i rozpoczęła naukę w szkole modelek – może wówczas coś ze mnie będzie.* Zastosowałam się częściowo do tych rad, ale powtórny kontakt z agencją też zakończył się fiaskiem. Powiedzieli mi, że nie mam „tego czegoś", co musi mieć dziewczyna rozpoczynająca karierę modelki.

ZDJĘCIA CZARNO-BIAŁE DANIELA FEDRICI
ZDJĘCIA KOLOROWE STEPHEN WAYDA

Dżinsy leżą na niej świetnie, ale ile par spodni można mieć w swojej garderobie? Dla Anny to już przeszłość. Jako wielka gwiazda całkowicie zmieniła styl, dziś jej stroje z trudem mieszczą się w pięciu szafach...

Sukces smakuje słodko z wielu względów. Wprawdzie Anna jest bardzo zapracowana, znajduje jednak czas na filozoficzne refleksje. Dostarczają jej sporo satysfakcji. Przykład? *Kiedy pomyślę o tych niewiernych mężczyznach, którzy nie docenili mnie w przeszłości, uśmiecham się do siebie, bo wiem, że teraz tego żałują* – mówi Anna. Chyba ma rację.

Ale już wkrótce dopisało jej szczęście. Jeden z lokalnych fotografików zrobił jej kilka zdjęć i przesłał je do filii PLAYBOYA w Los Angeles. Tam Anna spodobała się o wiele bardziej niż w Houston. *Była dokładnie taką dziewczyną, jakiej już od dłuższego czasu poszukiwaliśmy* – wspomina Gary Cole, szef sekcji fotograficznej PLAYBOYA. *Miała przy tym w sobie coś niezwykłego. Kiedy siedzisz obok niej, początkowo wydaje ci się, że to dość ładna, ale też w sumie przeciętna kobieta, która nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dopiero w obiektywie spostrzegasz, że wcale nie jest jeszcze jedną obfitą blondynką, jakich pełno dookoła, ale kimś zupełnie wyjątkowym.*

Zdjęcie Anny na okładce marcowego PLAYBOYA zainteresowało bardzo Paula Marciano, twórcę i właściciela znanej firmy odzieżowej Guess Jeans. *Byłem całkowicie oczarowany tą okładką. Po prostu zwariowałem na punkcie Vickie Smith. Ale w środku nie było więcej zdjęć. Dopiero w maju obejrzałem jej pictorial. Momentalnie zatelefonowałem do PLAYBOYA w Los Angeles. Miałem tylko dwa pytania: kto to jest i gdzie mogę ją znaleźć?*

Wkrótce Anna stała się główną fotomodelką firmy Guess. Dzisiaj gra już u boku Paula Newmana i Tima Robbinsa w filmie *The Hudsuceker Proxy* reżyserowanym przez Joela i Ethana Coenów, wybrała się – jako wschodząca amerykańska gwiazda filmowa – na tegoroczny festiwal do Cannes, a niedawno zakupiła duże i piękne rancho koło Houston, na którym mieszka wraz ze swoim synem. W wolnych chwilach między sesjami zdjęciowymi i pracą w filmie oboje cieszą się towarzystwem psów, koni, krów, indyków i kur.

Mam nadzieję – mówi Anna – *że teraz nastąpi lekkie zwolnienie tego szaleńczego tempa. Wszystko bowiem dzieje się zbyt szybko.*

Spytana o to, co jest teraz jej największym marzeniem, odpowiada z uśmiechem w stylu Marilyn Monroe, którą uwielbia i często naśladuje: *Cóż, mam już rancho, teraz potrzebny mi kowboj.*

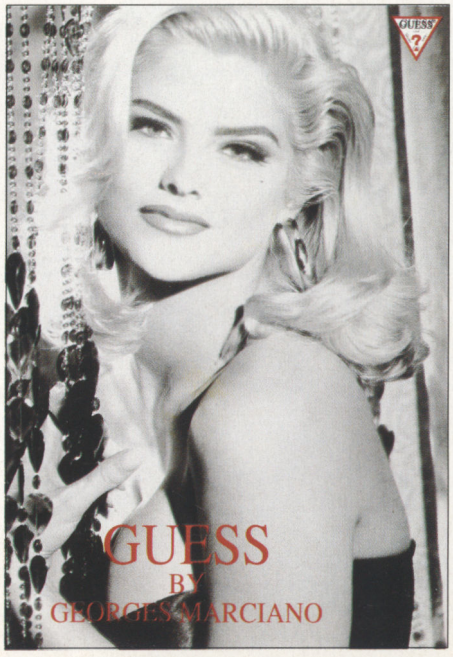

DOBRA HISTORYJKA

DONALD E. WESTLAKE

Była zabójczą, zimną blondyną,
a on chciał jej zaimponować.
I to był błąd.

Olbrzymi wąż poruszył się w klatce, coraz bardziej głodny. Nieruchomy wzrok odprowadził Leona do drzwi stodoły. Leon udał, że go nie zauważa. Tego dnia nie nadeszły żadne listy; był więc wolny. Minął rzędy klatek i zagród, pachnącą trocinami szopę, w której zbijano drewniane paki, długi niski budynek mieszkalny, z którego dochodził warkot urządzeń klimatyzacyjnych i ruszył piaszczystą polną drogą do miasteczka, gdzie kupił piwo w barze obok kościoła, po czym wyszedł na dwór cieszyć się dniem.

Słoneczny żar lał się z nieba, powietrze na rynku było czyste i gorące, a kiedy przyłożył do warg butelkę i odchylił do tyłu głowę, letnie piwo zapieniło mu się w ustach. Rozebrany do pasa, z podkoszulkiem wystającym z tylnej kieszeni obciętych dżinsów, udeptując mokasynami spaloną brązową ziemię, Leon przechadzał się po rynku, uśmiechając się do widocznych w oddali szczytów Andów.

Wolno sączył piwo, rozkoszując się doznaniami. Miasteczko położone było tak wysoko nad poziomem morza, powietrze było tak rzadkie, że pot natychmiast zasychał na ciele. Kiedy osiem miesięcy temu przyjechał do Ixialty, drażniło go to i irytowało, ale teraz lubił suche trzaskanie i mrowienie skóry, warstewkę soli, którą strząsał z siebie później jak talk.

Osiem miesięcy zleciało niepostrzeżenie. Praca, którą wykonywał, była łatwa, a pieniądze ogromne, tak więc trudno było nie ulec pokusie, żeby przy niej pozostać. Na to właśnie liczył Jaime-Ortiz – Leon dobrze o tym wiedział – ale obiecał sobie, że spędzi tu nie więcej niż rok. Najwyżej rok. Wróci do domu w wieku dwudziestu czterech lat, bogaty, z czystą kartą, a świat będzie stał przed nim otworem. Uśmiechnął się: wysoki chłopak, o spadzistych ramionach, silnych rękach i umięśnionych nogach biegacza. Wciąż się jeszcze uśmiechał, kiedy nadjechał samochód.

Poza sześcioma wozami Jaimego-Ortiza samochody należały w Ixialcie do rzadkości. Wspinająca się w górę porośniętego dżunglą stoku kręta polna droga była tylko odnogą transandyjskiej autostrady i kończyła się ślepo na otoczonym niskimi stiukowymi budynkami rynku.

Ilu obcych pojawiło się tu w ostatnich ośmiu miesiącach? Urzędnik podatkowy przyjechał na rozmowę z Jaimem-Ortizem, zjadł lunch, wziął łapówkę i wyjechał. Para małomównych Amerykanów przywiozła nowy talerz telewizji satelitarnej, zainstalowała go i pokazała Jaimemu-Ortizowi, jak się z nim obchodzić.

Kto jeszcze? Dwie brytyjskie dziewczyny prowadzące na zlecenie ONZ badania nad obszarami głodu; dwie grupy poszukujących peyotlu ćpunów, które wyjechały z niczym; dwóch amerykańskich myśliwych polujących na grubego zwierza, którzy posiedzieli trzy dni, zabili jedną alpakę i złapali tyfus; jedna lub dwie osoby więcej. Jakieś siedem interwencji ze świata zewnętrznego przez cały ten czas.

A teraz zbliżała się ósma: zakurzona brązowa honda z parą Amerykanów w środku. Kobieta koło trzydziestki, która wysiadła z wozu od strony pasażera, była absolutnie zabójczą, zimną blondyną. *dokończenie na str. 100*

ILUSTRACJA JANE MEREDITH MOUNCE

NAGIE KRAWATY

DLA OPTYMISTYCZNYCH MĘŻCZYZN

Amerykanie mają krótką historię, stąd ich nostalgia za czasami niezbyt odległymi, a ciekawymi. Urządzają bary jak za czasów Eisenhowera, wykupują klasyczne ubrania ze sklepów archeologicznych, remontują antyczne auta. Zwróćcie uwagę na te stare krawaty. Powstały w późnych latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Nazywano je „golasy". Ludzie uwielbiają je zbierać. Ron Spark – facet, który ma kolekcję ponad dwóch tysięcy krawatów z różnych epok i jest współautorem książki krawatologicznej – powiedział o tym fenomenie w historii mody: *Krawaty służą mężczyźnie do wyrażania własnej indywidualności, stanu umysłu. Te krawaty powstały w epoce, kiedy modny był optymizm, teraz mamy podobną sytuację.* Poza przyjemnością, która płynie z ich noszenia, historyczne krawaty są dziś warte sporą kasę w Ameryce. Od 1940 roku ich cena wzrosła dziesięciokrotnie, a egzemplarze zaprojektowane na przykład przez Salvadora Dali kosztują tysiące dolarów. A ile trzeba zapłacić w Warszawie za oryginalne żółte skarpetki z 1956 roku?

ZDJĘCIA RICHARD IZUI

BARBARA MOORE

Ulubienica polskich czytelników

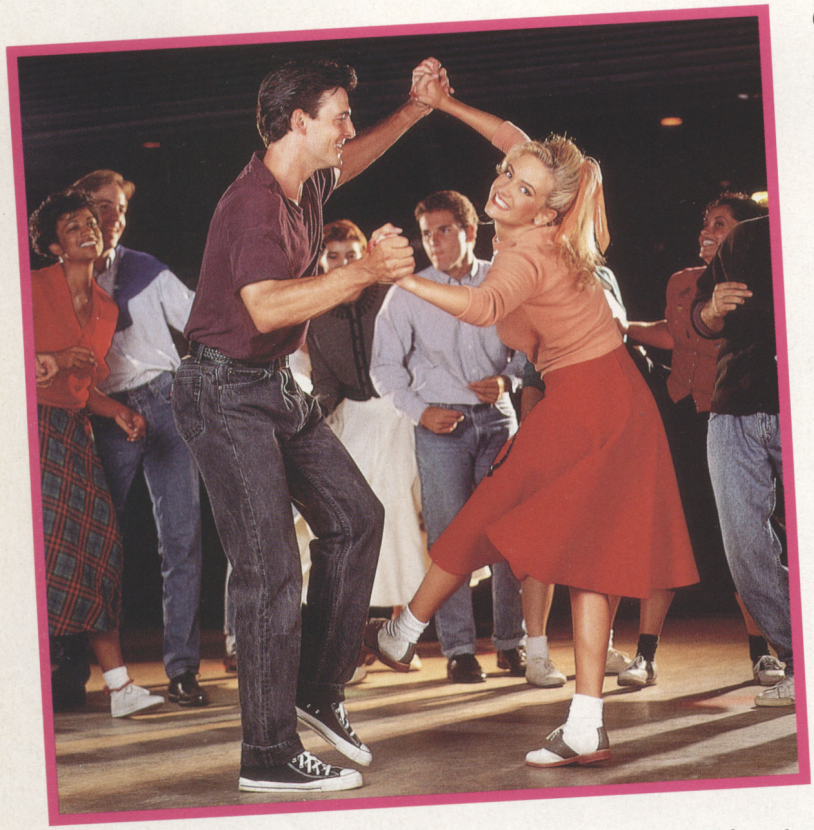

Oto ona. Wybraliście ją spośród dwunastu amerykańskich playmate 1992 roku, w plebiscycie, który ogłosiliśmy w lutym. Pod adresem Barbary padło wiele komplementów: subtelna, delikatna, pełna wdzięku, no i oczywiście blondynka. Wszystkich, którzy na nią głosowali, ucieszy z pewnością pictorial i rozkładówka z dziewczyną z amerykańskiego Południa. Dla uczestników plebiscytu ufundowaliśmy nagrody – aparat firmy NIKON oraz roczną prenumeratę PLAYBOYA. W przypadku aparatu los uśmiechnął się do państwa ***K. K. Gierasimczyków*** *z Łobezu. Prenumeratę otrzymuje pan* ***Marek Leśniak*** *z Kedzierzyna.*

Zdarzyło się to pewnej deszczowej nocy w Nashville. Mężczyźni odwracali z podziwem głowy za idącą tanecznym krokiem Barbarą. Nagle zgasły wszystkie światła. Ciemności rozświetliła błyskawica i niemal w tym samym momencie rozległ się ogłuszający huk. Piorun uderzył w odległości nie większej niż metr od stojącej na chodniku Barbary. Zamigotały uliczne światła, dziewczyna zadrżała. Na palcach ruszyła dalej, myśląc: *Niewiele brakowało, a nie dożyłabym swoich dwudziestych drugich urodzin.* Można by o tym zdarzeniu napisać balladę w stylu country i zatytułować ją na przykład: *Brakowało kilku stóp, a już byłby zimny grób.* Barbara jednak nie przejęła się za bardzo, zajęta była bowiem rozpalaniem mężczyzn z Nashville do czerwoności za pomocą swojej urody i wdzięku.

Nasza playmate jest fanką lat pięćdziesiątych i znakomitą, żywiołową tancerką. Równie dobrze tańczy rock and rolla jak i lambadę. Publiczność jej nie przeszkadza. Uwielbiam kiedy ludzie na mnie patrzą.

ZDJĘCIA STEPHEN WAYDA

Lubię kiedy mężczyzna czuje się przy mnie dobrze. To nic złego. Ale dba też o własne samopoczucie. Ludzie mówią mi dwie rzeczy: „sprawiasz, że czuję się świetnie" i „lubisz być w centrum uwagi".

Zresztą wypadek z piorunem nie był pierwszą groźną i niezwykłą przygodą w jej życiu. *Fajne życie to życie pełne mocnych wrażeń* – mówi Barbara, która dziś ma 24 lata. Mocne wrażenia towarzyszyły jej od wczesnego dzieciństwa. Wychowała się na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku. Jej ojciec był pilotem. Pamięta doskonale ich wspólne loty i samolot kręcący beczkę – to jedno z jej pierwszych wspomnień. Ojciec często zabierał dzieci na takie eskapady.

Barbara gotowa jest spróbować wszystkiego. W Ketchikan na Alasce pracowała w fabryce konserw, patrosząc przesuwające się na taśmie ryby. Zatrudniła się w obsłudze naziemnej lotniska. Grała w polo na turniejach dla zawodowców.

W Nashville pojawiła się w 1987 roku. Została modelką. Występowała w lokalnych reklamówkach. Dla Toyoty nakręciła reklamę, w której występowała w ciemnych okularach i niezwykle skąpej czerwonej sukience. To otworzyło jej drogę do videoclipów. W niektórych była partnerką największych gwiazd muzyki country, m.in. Waylona Jenningsa podczas kręcenia teledysków do jego płyty *Wrong*.

Wszystko to było bardzo podniecającym przeżyciem dla kogoś, kto jeszcze nie tak dawno uganiał się z zachwytem za muzykami. *Razem z moją przyjaciółką Jennifer chodziłyśmy na koncerty, ale nigdy nie kupowałyśmy biletów. Zawsze przy tylnym wejściu*

HOLLYWOOD
CALIFORNIA
1WM 377

Kochać się w ciemnościach? O nie, dziękuję bardzo. Lubię widzieć co robię i z kim to robię! Jedną świecę stawiam przy łóżku, drugą na komodzie po drugiej stronie pokoju. Tak jest wspaniale.

znalazł się jakiś chłopak, który zaliczał punkty, jeśli udało mu się przyprowadzić za kulisy ładne dziewczyny. Na ogół był to facet, do którego warto było się trochę pomizdrzyć. To zamiłowanie do kokieterii pozostało Barbarze, choć jest z pewnością dziewczyną bardziej wyrafinowaną niż kiedyś, już nie musi wślizgiwać się nigdzie ukradkiem przez tylne drzwi kołysząc biodrami. Dziś zajmuje rozkładówkę PLAYBOYA jako gwiazda sezonu. *Wielu ludzi mnie zobaczy, a to z pewnością pomoże mi w karierze* – mówi, ale to nie jest najważniejsze. *Najważniejsza jest dobra zabawa. Lubię być ośrodkiem zainteresowania, uwielbiam pozować do zdjęć.* Jej życie nabrało uroku. A wszystko zaczęło się w chwili, gdy linie lotnicze zaproponowały jej pracę w jednym z trzech miast do wyboru. Zdecydowała się na Nashville tylko dlatego, że jej wuj kiedyś tam był i bardzo to miasto polubił. Gdyby nie to, jej życie potoczyłoby się zapewne całkiem inaczej. Barbara wierzy, że los przeznaczył jej rozkładówkę w PLAYBOYU. *Marzyłam o tym tak długo, że musiało się nareszcie zdarzyć.* Pamiętacie ten grom? Z Barbarą nigdy nie miał szans.

MISS LIPCA

PLAYBOY'S PLAYMATE OF THE MONTH

QUALITY

Coca-Cola
Barbara Moore

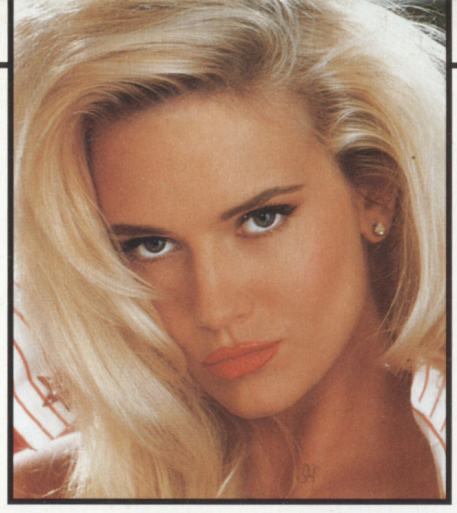

NOTES PLAYMATE

IMIĘ I NAZWISKO: Barbara Moore

DATA URODZENIA: 8 IV 1968

MIEJSCE URODZENIA: Spokane, Washington

WZROST 164 WAGA 50 Kg BIUST 91 TALIA 61 BIODRA 89

AMBICJE: Odnieść sukces, podróżować po świecie, znać języki obce, prowadzić życie pełne wrażeń.

UWIELBIA: Harleye! Serdeczne rozmowy, pewnych siebie mężczyzn, ubierać się seksownie, gotować dla dwojga.

NIE ZNOSI: Lekceważenia kobiet, błędów gramatycznych, nadmiaru wody kolońskiej, gryzących swetrów.

MARZENIA: Wziąć udział w safari i rozbić namiot wśród lwów i słoni; znaleźć się w środku dzikiego świata.

MĘŻCZYZNA KTÓREGO KOCHAM: Przystojny seksowny biznesmen, który potrafi mnie rozśmieszyć i drżę, gdy o nim myślę.

NIKT BY NIE UWIERZYŁ: Pracowałam w fabryce konserw.

Uwielbiam pozować do zdjęć

Pozdrowienia z Seattle

Dzikuska

PLAYBOY SIĘ ŚMIEJE

Rozmawiają dwie przyjaciółki.
– Czy to prawda, że twój mąż jest impotentem?
– Cóż, niestety, już od dziesięciu lat cierpię z tego powodu.
– Nie wspomniał o tym przed ślubem?
– Mówił, że ma jakąś nieruchomość, ale myślałam, że to willa.

Zrozpaczona kobieta telefonuje późno w nocy do lekarza psychiatry i krzyczy do słuchawki:
– Doktorze, proszę natychmiast przyjechać. Mój mąż jest w strasznym stanie!
Lekarz wkrótce przybywa.
– Dzięki Bogu, że już pan jest. Proszę do niego zajrzeć. Jest w toalecie, ostatnie drzwi po lewej.
Lekarz zagląda do toalety i widzi małżonka siedzącego na sedesie z wędką w ręku, której koniec zanurza w odpływie wanny.
Lekarz wraca do kobiety z zafrasowaną miną:
– Rzeczywiście stan męża nie jest najlepszy – powiada. – Dlaczego nie zawiadomiła mnie pani wcześniej?
– Chciałam – odpowiada kobieta – ale przez cały tydzień byłam zajęta skrobaniem ryb.

Do baru wchodzi mężczyzna, zamawia dwie setki wódki, po czym stawia na kontuarze maleńkiego, żywego człowieczka, nie większego niż szklanka. Barman jest tak zaskoczony tym widowiskiem, że z trudem udaje mu się wykrztusić pytanie:
– A co mu się stało?
Mężczyzna spogląda na barmana, a potem na swojego maleńkiego kolegę i pyta:
– Słuchaj, jak nazywała się ta wioska w Afryce, w której powiedziałeś czarownikowi, że masz go gdzieś?

Dwa psy po raz pierwszy przybywają do wielkiego miasta. Chodzą ulicami i dziwią się wszystkiemu. Gdy mijają taksometry ustawione przy parkingu, jeden mówi do drugiego:
– Popatrz, płatne toalety.

Mała córeczka do matki:
– Mamusiu, a dlaczego wyszłaś za tatusia?
– To i ty zaczynasz się dziwić, moje dziecko?

W pewnej restauracji spotykają się trzej światowej sławy znawcy alkoholi: Francuz – naczelny kiper największych winnic Burgundii, Niemiec – bawarski producent i smakosz piwa i Polak, który wie wszystko na temat wódek. Właściciel restauracji postanawia urządzić konkurs, w którym ma być wystawiona na próbę ich umiejętność identyfikacji alkoholi. Francuz otrzymuje lampkę wina. Smakuje je i już po chwili bezbłędnie podaje jego nazwę, nazwę winnicy, rok produkcji, a nawet określa, z którego stoku zostały zebrane winogrona. Wszyscy biją brawo i zachwycają się jego umiejętnościami. Następnie Niemiec wypija kufel piwa i dokładnie określa jego gatunek, nazwę oraz macierzysty browar i rok produkcji. Brawo. Wreszcie Polakowi podają setkę wódki. Ten wypija ją i mówi:
– Żytnia...
Na to rozlegają się gwizdy i zawodzenia.
– Przecież to jest zwykły bimber – rzuca jeden z kelnerów.
– Oczywiście, że bimber – odpowiada Polak. – Chciałem po prostu od razu podać miejsce produkcji. Żytnia 10 mieszkania 18, w Warszawie.

Dzień egzekucji. Dwóch przestępców skazanych na śmierć przez rozstrzelanie staje naprzeciw plutonu egzekucyjnego. Dowódca zwraca się do skazanych z zapytaniem, jakie są ich ostatnie życzenia.
– Chciałbym – odpowiada pierwszy – jeszcze raz przed śmiercią usłyszeć piosenkę Kiepury *Brunetki, blondynki.*
– Dobrze. A ty, chłopie? – pyta drugiego.
– Proszę, zabijcie mnie pierwszego.

Jeśli słyszeli Państwo dobry dowcip – dobry i nowy – taki, że mógłby się znaleźć w tej rubryce, przyślijcie pod adresem naszej redakcji kartę pocztową z jego tekstem i dopiskiem "Playboy się śmieje".

Znowu dałam się nabrać na tę romantyczną bajeczkę o zaklętym żeglarzu!

MICHAŁ WICHOWSKI

Obie strony medalu

Bohaterowie naszych nadziei: Irena Szewińska, Władysław Kozakiewicz, Zbigniew Boniek, Bronisław Malinowski, Jacek Wszoła, Władysław Komar, Ryszard Szurkowski... Lista jest długa. Zdobywali złoto, reprezentowali Polskę na międzynarodowych zawodach, olimpiadach i turniejach. Zwyciężali. Za to ich kochaliśmy. W swoim czasie byli jedynymi, którzy pomagali podtrzymywać ‚plemienną wspólnotę" Polaków. Przynajmniej z nich mogliśmy być dumni. No bo z czegóż jeszcze wtedy ?

•

Ogorzała, mięsista twarz. Niska, krępa sylwetka. Pod swetrem wyraźnie rysuje się wypukłość brzucha. Rude włosy przykrywa narciarska czapeczka. Rezygnacja, realizm i skrywany głęboko żal – Wojciech Fortuna.

Przypomnijmy: rok 1972. Japonia. Sapporo. XI Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Skocznia Okurayama. Dziewiętnastoletni Polak skacze na dużej krokwi sto jedenaście metrów. Dostaje najwyższą notę w historii igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata – 130,4 punktu. Złoty medal. W Polsce jest godzina czwarta rano. We wszystkich środkach masowego przekazu dzień rozpoczyna się tą wiadomością. Ludzi ogarnia prawdziwy amok. Fortuna, złoto, Japonia, Polak, Polska, Polacy, nasz, my, nasi, najlepszy, najlepsi.

Na lotnisku w Warszawie tłumy. *Już na schodach samolotu przypięli mi odznaczenie im. Janka Krasickiego* – wspomina Wojciech Fortuna. Potem było spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych Wiesławem Ociepką i Złoty Krzyż Zasługi. I następny, złoty medal za wybitne osiągnięcia sportowe. Lawina nagród i wyróżnień, puchary, członkostwa honorowe...*dostałem wtedy od państwa trzypokojowe mieszkanie w bloku.*

Tu wszędzie były małe skocznie – Fortuna pokazuje ręką ogrodzone stoki na Ciągłówce w Zakopanem. *A my, takie małe piszkolki przywiązywaliśny sobie z prześcieradeł robione numery, z reguły był to numer 25 - Stanisława Marusarza, i skakaliśmy. Rozgrywaliśmy nasze małe wielkie zawody.* Takie skocznie były wówczas wszędzie w Zakopanem. Wystarczyła łopata i już po półgodzinie była „krokiew". Mały Wojtek połamał trzecią parę nart, a ojca nie stać było na kupienie następnej. Dowiedział się o tym Jan Gąsiorowski, trener w klubie „Wisła Gwardia". Dziewięcioletni chłopak dostał dres z napisem „Gwardia", buty i prawdziwe narty skokowe. *Jeżeli ktoś wtedy wstępował do naszego klubu, to tylko po medal, innych zawodników nie było* – z nostalgią opowiada o tamtej chwili pan Wojciech.

Teraz to mnie interesują tylko kapcie i telewizor – szczerze przyznaje Fortuna. *Wracam z pracy po szóstej, walę się na wyro, puszczam sobie jakiś dobry sensacyjny film i nic mnie więcej nie interesuje.* Po całym dniu rozwożenia turystów po Zakopanem i okolicy zasłużony wypoczynek. Biały volkswagen furgonetka czeka spokojnie na następny dzień. W czasie sezonu pozwala zarobić swojemu właścicielowi nawet i milion dziennie, a w martwym sezonie przynajmniej te sto tysięcy. Jest prawie nowa, czuć w środku silny zapach wanilii – to mała beżowa choinka przywieszona pod lusterkiem w kabinie kierowcy. Jest bardzo czysta.

Trochę sportu
rekreacja i zdrowie.
Dużo sportu
możliwość sprawdzenia
samego siebie.
Sam sport
już tylko pieniądze!

W Sapporo razem z medalami rozdawano nagrody pieniężne. Jak powiedział na odprawie zawodników już w Japonii minister Józef Rutkowski, za punktowane miejsce było sto pięćdziesiąt dolarów, a za złoto trzysta. Po pierwszych skokach Fortuna zajął szóste miejsce. Przyczesał włosy, pokropił się wodą kolońską i pomaszerował do pokoju pana ministra. Po swoje sto pięćdziesiąt dolarów. Były z nim dwie saneczkarki, które także zdobyły punkty. Minister pogratulował, kazał pokwitować, wręczył po kopercie i uścisnął rękę. *Na korytarzu zajrzałem do środka, było tam tylko pięćdziesiąt dolców. Wróciłem. Nieśmiało zauważyłem pomyłkę pana ministra. Spojrzał jak na kretyna i wrzasnął „A wy gdzie jesteście? Nie wiecie, że tu inny kontynent? Dziękujcie za to co wam dano!".* Taka sama scena rozegrała się już po zdobyciu złota. Fortuna pokwitował odbiór trzystu dolarów, a dostał sto pięćdziesiąt. *Tak więc pan minister pokonał mnie na dwóch skoczniach. Kiedy ja skakałem, on stał w kożuszku na dole i załapał o pięćdziesiąt dolców więcej ode mnie.*

Po tych perypetiach coś się w duszy „młodej chluby naszego sportu" zaczęło psuć. Powoli motywacja do uprawiania skoków narciarskich zaczęła słabnąć. To zawsze proces powolny, ale już nigdy nic nie było takie jak przedtem. Z tym co go spotkało Fortuna nie mógł sobie poradzić do końca. Miał wtedy dziewiętnaście lat.

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

Od początku ukochany trener wbijał jemu i innym chłopakom do głowy, że sport ma w sobie coś niepowtarzalnego. Że tu nie ma żadnego kombinowania, jest wynik albo go nie ma. Mogą być szachrajstwa z sędziowaniem ale to nie zmienia istoty rzeczy. W pokoju pana Rutkowskiego poczuł niesmak. W kraju ten niesmak zmienił się w gorycz i ona osiadła już w nim na zawsze.

Byłem parę razy w USA, w Chicago. Tu u nas co drugi ma tam rodzinę, a jak nie, to chociaż kumpla. Ja pojechałem do kolegi. Malowałem domy. Ostatni raz byłem półtora roku temu, przez dwa lata. Teraz niedawno też miałem okazję wyjechać, ale już nie chciałem. Jestem zmęczony. Pokazuje odcinek renty 2 miliony 80 tysięcy 500 złotych, druga grupa inwalidzka. Kręgosłup. Boli. Bolą też nogi, kolana. Odzywają się wszystkie stare kontuzje i urazy. Potrafił ćwiczyć z nogą w gipsie, żeby się chociaż zmęczyć, spocić. A teraz... Dwa lata temu brał udział w skokach w USA. To były zawody oldboyów. Zajął dziesiąte miejsce. *Walczyliśmy o symboliczne nagrody – proporczyki, pamiątki. Tam ludzie bawią się sportem, podchodzą do niego z uśmiechem. A jeżeli już coś ryzykują, to za ciężkie pieniądze.* Wojciech Fortuna nagle zawiesza głos. *Na świecie to płacą za udzielanie wywiadów, a u nas ...* – wymowne spojrzenie.

Potem, jak twierdzi, tylko jeszcze raz udało mu się tak daleko skoczyć, w Wiśle-Malince. Niestety innego zdania byli sędziowie, podali wynik: dziewięćdziesiąt sześć metrów. *Ja wiem, że wtedy przekroczyłem czerwoną linię.* A później było coraz gorzej. Koniec kariery, esperal, rozwód, parę lat w Katowicach spędzone przy uprawianiu pomidorów. Teraz z żoną dostrzegają wiele błędów, jakie wtedy nawet wspólnie popełnili, choćby rozwód. Obecnie wszystko jest po staremu, wszyscy znowu mieszkają razem i starają się o tamtych czasach zapomnieć. Dwójka dzieci, Tomek, w siódmej klasie podstawówki, i Beata, w drugiej liceum, jeździ na nartach już tylko rekreacyjnie.

Co daje sport ? Na skoczni, na boisku, na ringu człowiek może się sprawdzić. Ja, gdybym miał przeżywać życie jeszcze raz, zrobiłbym to samo...

•

Sylwetka wysportowanego dwudziestolatka, chłopięcy uśmiech. Krótko przystrzyżone czarne włosy, silnie zarysowane, lekko wystające kości żuchwy. Spokój i opanowanie. Waldemar Legień.

To było nie tak dawno: Seul, Korea, rok 1988. Olimpiada. Sala Changchung. Zawody judo. Waga siedemdziesiąt osiem kilogramów. Judogi przeznaczone do walk na turniejach i ważniejszych zawodach powiększają optycznie stojących naprzeciwko siebie zawodników. Finał. Walka o największe trofeum. Ułamek sekundy i Niemiec Frank Wieneke, mistrz olimpijski z Los Angeles, leży na plecach. Ippon to tak jak nokaut w boksie, rzut doskonały i pełny, żadnych punktów, przewagi, prowadzenia. Zwyciężył Polak. Waldemar Legień wyskakuje w górę z radości. Złoty medal wręcza mu w czasie uroczystości słynny Anton Goesink, pierwszy pogromca Japończyków na tatami. W 1964 roku przełamał hegemonię Azjatów w tej dziedzinie. Na oczach samego cesarza Japonii pokonał ich mistrza.

Czułem że wstąpiły we mnie jakieś straszne siły – wspomina finałową walkę Waldemar Legień. *Wszedłem ostro, wyleciał jak z katapulty. Byłem cały czas spokojny, nawet pewny siebie.*

Mijają cztery lata. Igrzyska olimpijskie w Barcelonie. Waga osiemdziesiąt sześć kilogramów. Finałowa walka z Francuzem Pascalem Toyotą. Zwycięstwo i jedna z pierwszych wypowiedzi: *Zakładałem walkę o złoto, ale nie sądziłem, że pójdzie tak lekko.* Jeden z polskich dziennikarzy opisze to potem krótko: *Nasz medalista z Seulu brał przeciwników jednego po drugim i praskał nimi o matę jak workiem liści.*

Gdy pierwszy raz szedłem na trening myślałem, że to będzie jakaś gimnastyka – wspomina początki swojej kariery Waldemar Legień. *Ja nie wiedziałem co to jest judo, zresztą mało kto wtedy wiedział. W klubie były trzy sekcje: piłki nożnej, boksu i właśnie judo.* W tamtych czasach wszyscy wyobrażali sobie, że ten japoński sport to jakaś łobuzerska szarpanina, ktoś robi magiczne ruchy i przeciwnik pada połamany. Dlatego obecny mistrz miał na początku trochę kłopotów. Jego wychowawczyni nie chciała się zgodzić, żeby małe, cherlawe dziecko coś takiego uprawiało, dziewięcioletni Legień ważył wtedy niespełna trzydzieści kilogramów. Potrzebna też była zgoda lekarza, bo chłopiec nie miał jeszcze trzynastu lat. *Mieli takie samo wyobrażenie jak moja nauczycielka i przez cztery lata ćwiczyłem na osobistą odpowiedzialność trenera.* Treningi były dwa razy w tygodniu, klub trzy kilometry od domu, żadnego połączenia autobusowego, w tę i z powrotem trzeba było chodzić pieszo. Trzeci trening, nieobowiązkowy, w niedzielę, na tym zawsze było najwięcej dzieciaków. Tamto judo małego Waldka było jednak rzeczywiście bardziej rodzajem gimnastyki. Trener Jan Tworogal wprowadzał wiele elementów akrobatyki, były gry zespołowe. Dzieci uczyły się rywalizacji, zwiększały swoją sprawność, uczyły się padać, przewracać, tak żeby nic się nie stało. *To były lata, które teraz wspominam z wielkim wzruszeniem, a wiele elementów tamtego treningu wprowadzam do tego, który sam w tej chwili prowadzę ze swoimi zawodnikami.*

Został wybrany w pięćdziesiątym szóstym plebiscycie czytelników Przeglądu Sportowego najlepszym sportowcem 1992 roku. Jest członkiem ekskluzywnego klubu polskich multimedalistów olimpijskich. Obok Ireny Kirszenstein - Szewińskiej (lekka atletyka, trzy złote medale), Witolda Woydy (szermierka, dwa złote medale), Waldemara Baszanowskiego (podnoszenie ciężarów, dwa złote medale) Jerzego Kuleja (boks, dwa złote medale), Józefa Szmidta (lekka atletyka, dwa złote medale) i Józefa Zapędzkiego (strzelectwo, dwa złote medale) jest siódmym naszym sportowcem, który zdobył więcej niż jeden złoty medal olimpijski.

Mistrzostwa Polski w Judo, 3-4 kwietnia tego roku. Warszawa. Hala szermiercza Warszawianki. Występują również judocy Czarnych Bytom, podopieczni Legienia. Trener spokojnie obserwuje swoich zawodników w akcji. Nie krzyczy, nie gestykuluje, nie podpowiada. W czasie walki wokół spiętych i splecionych ze sobą z prawdziwą maestrią ciał trwa prawdziwa burza, a Legień uważnie przypatruje się i coś notuje w swoim zeszycie. Po walce podchodzą dziennikarze, jakieś wywiady, reportaże, komentarze. *Ja myślałem czy by tu nie wystąpić. Miałem ochotę powalczyć w wadze open, ale gdy pomyślałem jaką to wzbudzi sensację – o, przygotowuje się do Atlanty! – to zrezygnowałem. Pobiegłbym gdzieś, wziął udział w jakimś maratonie, ale jako amator tylko. Teraz wszyscy patrzą na mnie inaczej, widzą dwukrotnego mistrza olimpijskiego, kogoś kto jest najlepszy na świecie, niepokonany, i takim by mnie chcieli widzieć zawsze. Ja mógłbym jeszcze przez dwa lata walczyć na tym co wytrenowałem, tylko, że już nie zawsze bym musiał wygrać czy nawet chciał, po prostu „biłbym się" dla przyjemności. Jest jednak bardzo dobre rozwiązanie tego problemu – rodzina. Mam dwuletniego syna Michała, wspaniałą żonę i nareszcie będę mógł z nimi spędzać więcej czasu.*

Co dał mi sport? Na pewno nie pieniądze, dopiero dwa olimpijskie złote krążki, raz dziesięć tysięcy, a drugi – dwadzieścia tysięcy dolarów, były jakąś rekompensatą za mój trud i pot. Dom mam, dlatego że miała go moja żona, ale nie o to w tym wszystkim chodziło. Jestem sprawniejszy niż przeciętny człowiek, nie dam też sobie zbyt łatwo zrobić krzywdy. Judo to moje życie, przez dwadzieścia lat je uprawiam. Teraz mam trzydzieści lat i wszystko przede mną.

•

Szlachetna rywalizacja, jaką w zamierzeniu jest sport, zawsze przyciągała nieprzebrane rzesze wielbicieli. Dzielili się oni z grubsza na dwie kategorie: uprawiających daną dyscyplinę i zawzięcie im w tym kibicujących. Dawnymi czasy ci pierwsi liczyli tylko na wieniec laurowy i tęskne spojrzenia niewiast, drudzy – na prawdziwą walkę.

Teraz wszystko wygląda inaczej. Sport stał się substytutem wojny. Sportowcy, gotowi są do największych ofiar dla kilku chwil triumfu, a publiczność staje się coraz bardziej krwiożercza. „Odgryź mu ucho", „złam mu nogę, „zabij go" – słychać na stadionach i boiskach świata. Cóż, na razie nikt z zawodników nie stosuje się do tych szczerych rad płynących prosto z gorącego serca kibica.

Każdy człowiek rodzi się z wolną wolą, sportowiec też. Jedni ciągle wygrywają i nic im nie burzy życia, drudzy zwyciężą w pięknym stylu, ale raz i już nigdy nie mogą powtórzyć wielkich chwil. Jedni rodzą się w czasach, gdy szanuje się drugiego człowieka i ceni odwagę, a drudzy gdy to wszystko jest czczym gadaniem. W dżungli świata każdy musi sam znaleźć swoje miejsce, swoją filozofię i swój cel. Gdy przyjrzeć się bliżej losom naszych dwóch czempionów, nasuwa się refleksja, że każdy sobie rzepkę skrobie. Tyle że skrobaczki są różne, a i na rzepki nie zawsze jest urodzaj.

Jak na kogoś, kto jeszcze nigdy nie pływał na desce, radzisz sobie całkiem nieźle!

JEŹDŹCY Fali

Cała kasa na stół. Kupujemy „gumę" na grzbiet, bilet na boeinga i szalejemy na najlepszych falach świata – hawajskich. Nasi przewodnicy to słynni faceci z „Sił Powietrznych Maui" w USA.

HOLLIS WAYNE

Nie trzeba być słynnym pogromcą fal (szczególnie w Polsce), by nosić najnowsze stroje na deskę. Główni szaleńcy „Sił Powietrznych Maui" – Buzzy Kerbox, Pete Cabrinha i Laird Hamilton – zademonstrowali nam w czasie sesji zdjęciowej na Hawajach ekstra „garnitury", nie tylko wsysające słońce (czyli do opalania), ale i do walki z falą. Stroje wykonane z mocnych i trwałych tkanin (lekko kosmicznych), jak nylon, neopren i spandex, wytrzymują słony przybój i ostre wiatry, a nawet filtrują ultrafiolet.

W niezły dzień, jeżeli nie chcesz wyglądać jak facet z plażowego dołka, wrzuć na siebie długie wzorzyste, dwukolorowe szorty z wiskozy (mokre) i odporną na słońce oraz wiatr koszulkę. Dodatkowe przydatne akcesoria to skarpeto-buty Aqua Sock, wodoszczelna torba z wbudowaną butlą na wodę do picia i nieparujące okulary przeciwsłoneczne. Hawaiii!

ZDJĘCIA ERIK AEDER

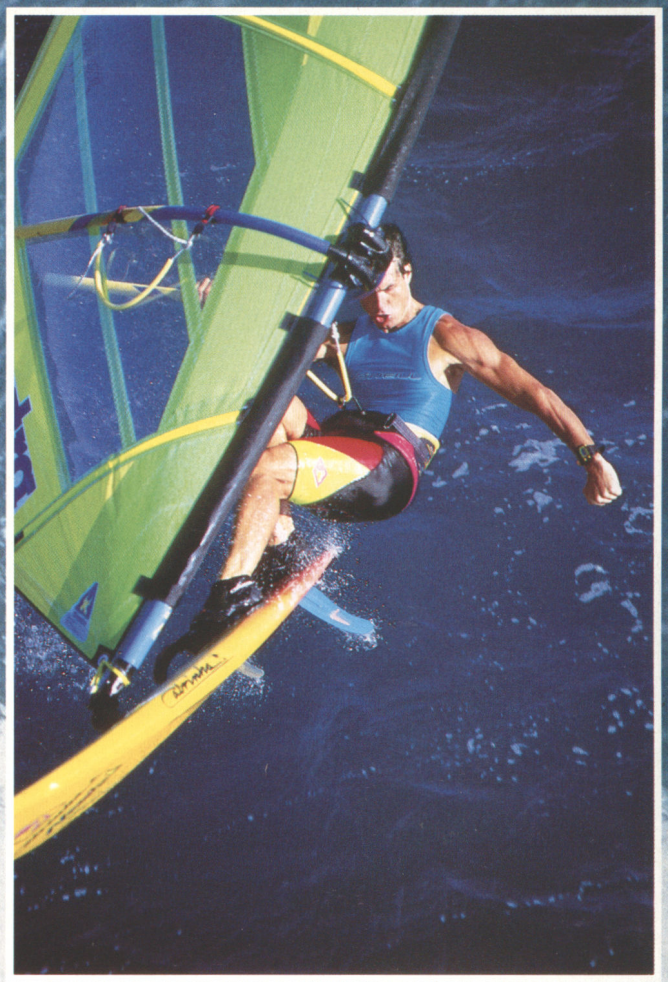

Sprawdzając miecz na wietrze Maui (15-25 węzłów), Pete Cabrinha ma na sobie neoprenowe, wzmocnione lycrą, tzw. mokre spodnie, lycrową koszulkę i neoprenowo-nylonowe buty Tube Sox, wszystko od O'Neilla, oraz K-28 – zegarek surfera z termometrem od Timexa.

Znowu Cabrinha! Złapany w grzywaczu walczy w nylonowych bermudach pływackich od Big Dog i siatkowo-spandexowych Aqua Socksach od Nike'a. Nylonowa torba biodrowa od Ocean Pacific i zegarek nurka od Swatcha.

Dzieciaki, nie próbujcie tego sami! Pete Cabrinha płynie na zrównoważonym żaglu na trapezie, z wolnymi rękoma. Oprócz tego ma na sobie tactelowe spodenki w pasy do pół uda, od Nautica, koszulkę od Jockeya i zegarek nurka (szczelny do 50 m) od Timexa.

Pogoda i fale są jak trzeba. Laird Hamilton zawisł na wietrze w błękitnych bryzgach. Ma na sobie wielobarwne tactelowe spodenki pływackie od Body Glove i kolorowe, rozciągliwe, siatkowe buty Aqua Sock ze spandexu, z czarną podeszwą od Nike'a.

Jak Mel Gibson, czyli wojownik drogi Mad Max, Buzzy Kerbox – wojownik fali – jest gotów przyjąć wyzwanie w samych nylonowych spodenkach w ciapki od Speedo America.

Gdzie to kupić str. 103

TELEFON
TAXI

KATARZYNA NAZAREWICZ

Orgazm w deszczu

Głos ryczącej z pożądania lwicy stał się dla pewnego doktora i jego partnerki niezwykle silnym bodźcem erotycznym. Opłaca się wyjść poza schemat „po ciemku i pod kołderką".

– *Żyjemy w Polsce! To kraj cywilizowany!* – krzyczał czterdziestokilkuletni mężczyzna, czekający na autobus 157 na przystanku przy ulicy Żelaznej róg Chłodnej w Warszawie. – *I proszę wreszcie się uspokoić! Szczególnie pani zachowanie jest oburzające. Kobieta powinna wiedzieć, co to przyzwoitość. Dziesiąta rano, a ona takie rzeczy!*

Kobieta, która wyzwoliła taką falę oburzenia, miała szesnaście, może siedemnaście lat i zdziwioną minę. Krzyki rodaka sprawiły, że odwróciła się od swojego chłopaka – przerwali na moment całowanie. Agresję obrońcy norm moralnych wzbudziło właśnie to, że całowali się publicznie. *W Polsce takie coś jest nie do pomyślenia* – dowodził urażony Prawdziwy Polak.

Tego dnia, w środku gorącej wiosny, nawet w śródmieściu Warszawy kwitły drzewa.

•

Seks rodaka jest intymny i wstydliwy. Ciemny pokój, gruba kołdra, dźwiękoszczelne reguły ars amandi. Czasami, w marzeniach sennych, wspomnieniach z młodości lub seksualnych fantazjach, miłość wychodzi na światło dzienne – w plener, na łono największe z możliwych – łono Natury. – *Polacy noszą ciągle na sobie ciasny gorset kulturowy i obyczajowy.* – tłumaczy Zbigniew Lew-Starowicz, seksuolog. – *Utkany jest on z twardego surowca: z reguł religijnych i tradycyjnego modelu realizacji potrzeb seksualnych. Z moich najnowszych badań, które są próbą odpowiedzi na pytanie, jak wyglądało życie seksualne Polaków w roku 1992, wynika, iż w deklaracjach rodacy wcale nie są mniej fantazyjni niż reszta świata. Jednak praktyka życiowa kształtuje takie sposoby współżycia, które ograniczają wiele ich potrzeb, paraliżują inwencję i wzmacniają pruderię.*

Nad parami małżeńskimi wisi seksualna gilotyna w kształcie małżeńskiego łoża. To jedyne miejsce zarezerwowane dla seksu. Stereotyp łóżkowy jest silny i trwały. Inne miejsca, w których współżycie mogłoby odzyskać siłę i czar, w zasadzie nie wchodzą w grę.

– *Miłość w lesie, na łące, w parku, czy nawet na fotelu, dywanie lub w wannie jest przez większość par odrzucana* – tłumaczy dr Starowicz. – *Seks mniej pruderyjny, bardziej otwarty, zarezerwowany jest dla młodych, odkrywających jego fascynującą siłę i za wszelką cenę pokonujących problemy lokalowe, lub dla ludzi, którzy odnajdują się w romansie, przełamują nudę małżeńskiego współżycia. Gdyby nagle ludziom przyzwyczajonym do ciasnego, pełnego rodziny mieszkania, w którym tylko we własnym łóżku mogą znaleźć nieco intymności, zmienić warunki życia i zaoferować wielki dom z przestronnymi łazienkami i miękkimi wykładzinami dywanowymi – to i tak ograniczyliby się do łóżka, bo taka jest siła stereotypu.*

Polacy prezentują dwa sposoby podejścia do seksu: zdecydowana większość kieruje się normami wyrosłymi z tradycji. Zwykle wiąże się to z niskim poziomem wykształcenia i urbanizacji. Mniejszość jest liberalna i otwarta, choć czasem jedynie w określaniu swoich potrzeb, ale jednak. Mężczyźni na przykład często mówią o pragnieniu doświadczenia seksu oralnego. W praktyce napotykają jednak na barierę wynikającą z niechęci partnerek do tej techniki – wiele kobiet uważa, że to je poniża, nie licuje

ILUSTRACJA GRZEGORZ MARSZAŁEK

z godnością Matki-Polki. Ten sam problem dotyczy nietypowych miejsc, w których ludzie chcieliby się kochać. W tej kwestii rodacy prezentują specyficzne rozdwojenie – chcieliby, ale się boją. Lęk przed kompromitacją jest w naszej kulturze bardzo silnie zakorzeniony. Nie pomagają w jego przełamaniu warunki klimatyczne i mieszkaniowe. Jeszcze długo to, co normalne dla przeciętnego Francuza czy Amerykanina, będzie u nas siało zgorszenie i niechęć. Gorset obyczajowy jest ciasny i wyraźnie przeszkadza w seksie.

•

Przełamywanie wstydu może mieć wartość podniety, ale może też paraliżować pragnienie. Wszystko, co przestaje być nietypowe a zaczyna być normą seksualną, obniża poziom niepokoju partnerów, choć może także – automatycznie – zmniejszać atrakcyjność samego seksu.

Aby można było mówić o normalności jakiegoś zjawiska, wcześniej musi zapracować na to wielu ludzi. Nietypowe miejsca do uprawiania seksu zaczynają być typowe, jeśli – dzięki swojej popularności i atrakcyjności – wkomponują się trwale w społeczną normę.

Dla przeciętnego Francuza winda jest równie dobrym miejscem do seksu jak łazienka na przyjęciu u znajomych. Kabina jeżdżąca w górę i w dół – będzie to dla niego raczej znak, że jakaś para właśnie odkrywa w niej magię swoich ciał, niż – że dźwig się zepsuł. *Dorasta właśnie w USA trzecie pokolenie, które inicjację seksualną kojarzy z tylnym siedzeniem samochodu* – pisał pod koniec lat osiemdziesiątych Iron McGovern, seksuolog z Nowego Jorku. – *Znudzonym parom małżeńskim, narzekającym na stereotypowe, nieciekawe współżycie, często zalecam zatem seks w samochodzie. Niemal zawsze trafiam bez pudła: mężczyźni odzyskują potencję na samochodowej tapicerce a kobiety rozgrzewa i podnieca wspomnienie z młodości. Jeśli wiem, że pierwsze kroki w seksie moi klienci robili np. w lesie albo na plaży, proszę ich o podjęcie próby współżycia właśnie tam. Jednak samochód – o tak, samochód to seks – symbol naszych czasów.*

Polskie symbole są jednak, z konieczności i poczucia realizmu, zupełnie inne. Seks w małym fiacie, wieloletnim królewiczu polskich szos, bywał częściej problemem dla ortopedy (wywichnięcie stawu biodrowego) niż seksuologa. Rewolucją obyczajową stanie się w niedalekiej przyszłości przełom motoryzacyjny, ale pokolenie szesnastolatków, dla którego otrzymanie prawa jazdy będzie równoznaczne z prawem do poznania wszystkiego, co w dorosłym życiu najlepsze, dopiero rośnie. Przed nami czas, gdy prawo do samochodu oznaczać zacznie prawo do seksu. Nietypowe miejsca, w których kochają się młodzi Polacy, wynikają nadal bardziej z kłopotów lokalowych niż ze skłonności do szukania doznań perwersyjnych czy potrzeby urozmaicenia w seksie. Grupowe łamanie intymności staje się normą tam, gdzie w gruncie rzeczy nie ma innego wyjścia.

Interesujące doświadczenia łamania stereotypów seksualnych, związanych z miejscem, obserwuje się wśród studentów mieszkających w akademikach – twierdzi Janusz Kos-Tarkowski, psycholog. – *W badaniach testowych uzyskuje się wysoką korelację między potrzebą akceptacji i poczuciem atrakcyjności seksualnej. W wywiadzie często okazuje się, że seks akademikowy – mało pruderyjny, czasem grupowy, zdecydowanie nieintymny – sprzyja samoakceptacji i poczuciu wspólnoty z innymi, podobnymi do siebie. Studenci mieszkający w akademikach nie owijają zwykle spraw w bawełnę – dzielą się pokojami, czasem tylko chowają za szafę, wspólnie – po kilka par – mieszkają. Zaczynają zacierać się granice intymności, ale jednocześnie utrwala się przyzwyczajenie do seksu w obecności innych ludzi. Kto chce być zaakceptowany przez akademikową społeczność, musi się do niej w jakiś sposób upodobnić.*

•

Seksuologowie, zastanawiając się nad trudnymi do zmiany preferencjami seksualnymi swoich klientów, często powołują się na zjawisko „imprinting" (wdrukowanie) jako rodzaj szczególnej formy wyuczenia się skłonności seksualnych pod wpływem pierwszych, silnych doznań. Intensywne i gwałtowne doświadczenie premiery erotycznej zostaje na trwale „wdrukowane" w – często nieuświadamiany – system kodów seksualnych, na które stajemy się szczególnie podatni. W pewnym uproszczeniu można mówić o utrwaleniu się tego sposobu zaspokojenia intymnego, które było głęboko przeżywaną inicjacją. Tym tłumaczy się utrzymująca się czasem przez całe życie skłonność do wybierania partnerów podobnych do sprawcy pierwszych silnych doznań erotycznych lub do szukania określonych miejsc, przypominających to, w którym doszło niegdyś do spełnienia.

W psychologicznych, psychiatrycznych czy seksuologicznych gabinetach spotkać można zatem zupełnie normalnych ludzi, którzy skarżą się na swoje skłonności, trudne do zaakceptowania przez nich samych lub przez partnerów. Często dotyczy to właśnie nietypowych miejsc, w których osiągają pełną satysfakcję.

– *Pamiętam pacjentkę, która osiągała orgazm jedynie w deszczu.* – wspomina dr Starowicz. – *Pewien mężczyzna był sprawny seksualnie wyłącznie na śniegu. Ktoś najsilniej przeżywał satysfakcję w piwnicy. Trudno czasem dziwić się współmałżonkom, że protestują i próbują u seksuologa ratować związek.*

Czasami nietypowe, niepokojące partnera preferencje co do miejsca, w którym małżonek chce zaspokajać swoje potrzeby seksualne mogą jednak być już jednym z objawów poważnych zaburzeń psychicznych. Granica między perwersją erotyczną i chorobą psychiczną bywa trudna do rozdzielenia dla zagubionego partnera, nie potrafiącego sprostać oczekiwaniom męża, żony czy kochanka.

– *Konieczna jest wtedy konsultacja psychiatryczna* – mówi dr Tomasz Gabryelewicz, psychiatra. – *Lekarz jest w stanie postawić diagnozę na podstawie wielu objawów, tworzących obraz schorzenia. W niektórych zaburzeniach psychicznych chorzy przywiązują wielką wagę do miejsca seksu, dużo o tym mówią. Nie zawsze sami są bohaterami własnych wizji. W zespołach urojeniowych, charakterystycznych dla choroby alkoholowej – narodowej zmory Polaków – często kluczowa jest paranoja zazdrości. Mąż, który z powodu alkoholizmu ma problemy z potencją, zaczyna być przekonany, iż żona musi swoje potrzeby zaspokajać z każdym i wszędzie: w zsypie – jeśli nie ma jej przez kilka minut w mieszkaniu, z listonoszem na klatce schodowej – jeśli właśnie zapukał on do drzwi, itd. Dla paranoika każde miejsce jest dobre do seksu. W psychozach endogennych często dominują bogate wizje erotyczne, czasami związane z aktualnymi wydarzeniami. W czasie rozkwitu „Solidarności" wiele chorych uważało, że ma dziecko z Wałęsą w stoczni. Kiedy pojawiają się informacje o lotach kosmicznych – w szpitalach zaczynają mnożyć się przypadki urojonego gwałtu dokonanego przez Marsjan, w statku UFO. Ciekawe, że symbolem fallicznym Warszawy bywa w wielu treściach psychotycznych iglica Pałacu Kultury – pacjenci twierdzą, że z niej promieniuje energia seksualna oddziaływająca na nich. Jednak u osób normalnych poszukiwanie jakichś szczególnie dziwnych miejsc do zaspokojenia pragnień erotycznych nie jest częste – zazwyczaj silny lęk przed kompromitacją powoduje wydzielanie adrenaliny, która paraliżuje erekcję. Lęk może działać podniecająco, ale zwykle wtedy, kiedy jest kontrolowany.*

•

W większości przypadków łamanie stereotypu małżeńskiego łoża i poszukiwanie nowych doznań w nowych miejscach wynika z ciekawości erotycznej i pozytywnie wzbogaca związek. Doświadczenie pewnego lekarza, który odkrył zupełnie nowe doznania na ławce w zoo pod klatką z lwami, będącymi właśnie w rui, stało się dla niego i partnerki przeżyciem cementującym związek. Odgłosy ryczącej z pożądania lwicy były dla nich najsilniejszym bodźcem erotycznym. Seks, który jest przecież ciągłym poszukiwaniem i prawdziwą wyprawą w nieznane, nie ma szans na rozwój, jeśli odbywa się zawsze przy zasłoniętych oknach i zaryglowanych drzwiach. W seksie konieczna jest ciekawość, pokonywanie Nieznanego i odkrywanie Nowego. *Nie wolno wam uważać, że każdy akt miłosny musi kwalifikować się do Medalu za Poruszenie Kuli Ziemskiej* – twierdzi Graham Masterton, amerykański seksterapeuta. – *Tu nie chodzi o pomiary Twoich orgazmów w skali Richtera – ani nawet o to, by w ogóle mieć orgazm. Chodzi po prostu o to, aby być blisko siebie i nawzajem cieszyć się bliskością swoich ciał. Aby całować, pieścić, otwierać się fizycznie i psychicznie wobec kogoś, komu na nas naprawdę zależy. (...) Intymność seksualna to bardzo dobry nawyk, ale czasami trzeba nad nim popracować, z tego względu, że jest to nawyk, którego bardzo łatwo się wyzbyć, a bardzo trudno ponownie nabyć.*

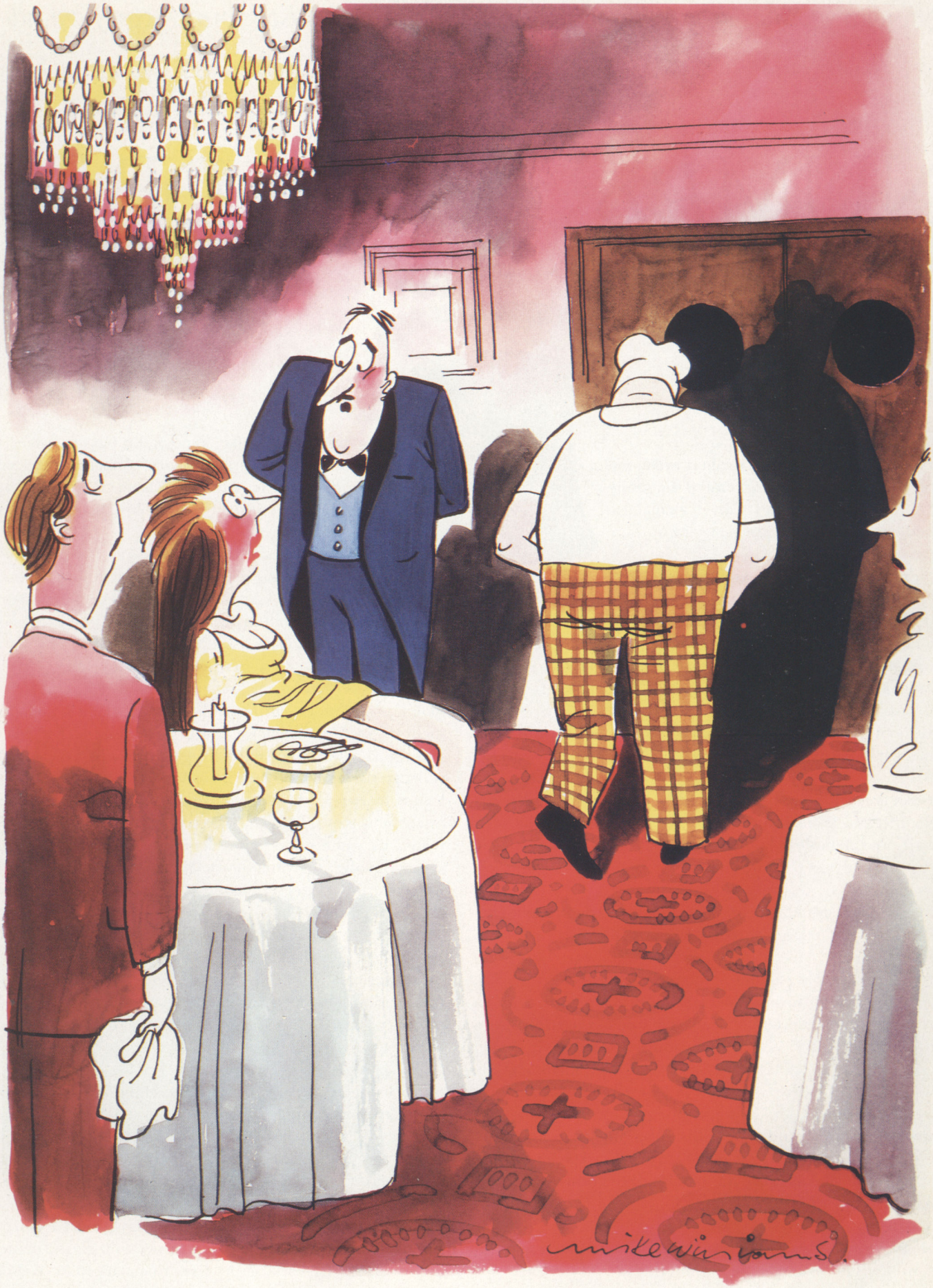

Przykro mi, proszę pani, ale to była właśnie „specjalność szefa kuchni”...

Niewiarygodne, do czego może doprowadzić iluzjonistę zbuntowany cylinder, w którym utknęła naga piękność.

NUMER Z CYLINDREM

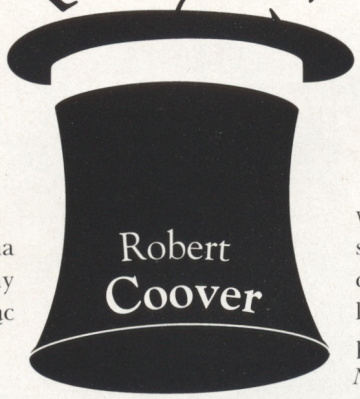

Środek sceny: zwykły stół.

Pojawia się mężczyzna w stroju magika: ma na sobie czarną pelerynę i czarny jedwabny cylinder. Zdejmuje go z głowy i zamiatając podłogę kłania się elegancko widowni.

Brawa.

Mężczyzna prezentuje wnętrze cylindra. Jest pusty. Iluzjonista uderza w dno. Nie ma wątpliwości: kapelusz jest pusty. Magik kładzie go na stole rondem do góry. Umieszcza nad nim obie ręce, podciąga mankiety odsłaniając nadgarstki, strzela palcami. Sięga dłońmi do środka i wyciąga królika.

Brawa.

Iluzjonista ciska królika za kulisy. Ponownie strzela palcami nad kapeluszem i wyciąga gołębia.

Brawa.

Ciska gołębia za kulisy. Strzela palcami nad cylindrem, wyciąga drugiego królika. Brak aplauzu. Pospiesznie wpycha królika z powrotem do cylindra, strzela palcami i wyciąga z niego drugi cylinder, dokładnie taki sam.

Brawa.

Stawia drugi cylinder obok pierwszego. Strzela palcami i wyciąga trzeci cylinder, identyczny jak dwa pozostałe.

Lekkie brawa.

Mężczyzna strzela palcami nad trzecim kapeluszem i wyciąga z niego czwarty, również identyczny. Brak aplauzu. Tym razem nie strzela palcami. Zagląda do środka czwartego cylindra, wyciąga piąty. W piątym znajduje szósty. W tym samym czasie w trzecim kapeluszu pojawia się królik. Magik wydobywa siódmy kapelusz z szóstego. Królik z trzeciego kapelusza wyciąga drugiego królika z pierwszego kapelusza. Iluzjonista wyjmuje ósmy cylinder z siódmego, a z ósmego dziewiąty; w tym czasie króliki wyciągają dalsze króliki z kolejnych kapeluszy. Króliki i kapelusze są wszędzie. Scena dosłownie pęka od nich w szwach.

Śmiech i brawa.

Magik jak oszalały zbiera kapelusze i wkłada jeden w drugi, równocześnie kłaniając się i uśmiechając w stronę widowni; ciska po trzy, cztery króliki za kulisy, po czym znów kłania się i uśmiecha. Jego czynności przeradzają się w desperacką walkę. Z początku trudno ustalić czy szybciej pozbywa się królików i kapeluszy, czy szybciej następuje ich przyrost. Kłania się, wpycha kapelusze jeden w drugi, wyrzuca króliki, uśmiecha się, poci.

Narastający śmiech.

Zamieszanie powoli maleje. Pozostaje już tylko niewielki stos kapeluszy i kilka królików. Króliki zostają całkowicie usunięte, na scenie są już tylko dwa cylindry. Spocony z wyczerpania magik, z trudem łapiąc oddech, chwiejnym krokiem podchodzi do stołu z dwoma kapeluszami.

Nieliczne brawa, Śmiech.

Magik ociera czoło jedwabną chustką, spogląda z zakłopotaniem na kapelusze. Chowa chustkę do kieszeni. Zagląda do jednego kapelusza, potem do drugiego. Usiłuje wcisnąć jeden w drugi; daremnie. Próbuje odwrotnie, wkładając drugi kapelusz w pierwszy, również bez powodzenia. Uśmiecha się niewyraźnie w stronę widowni. Brak aplauzu. Ciska pierwszy kapelusz na scenę i skacze na niego obiema nogami. Podnosi zgnieciony cylinder, mnie go w dłoniach i jeszcze raz usiłuje wepchnąć do drugiego kapelusza. Nadal bezskutecznie.

Pojedyncze gwizdy i brawa z oznakami zniecierpliwienia.

Trzęsąc się ze zdenerwowania, magik przywraca dawny kształt pierwszemu cylindrowi i stawia go na stole rondem do góry, a depcze drugi. Zgniata go w dłoni i desperacko próbuje wepchnąć do pierwszego kapelusza. Nic z tego, nie mieści się. Magik, wściekły, odwraca się, żeby cisnąć drugi kapelusz za kulisy.

Głośnie gwizdy.

Nieruchomieje. Blednie. Wraca do stołu niosąc oba kapelusze. Pierwszy, mniej zniszczony, stawia rondem do góry, drugi podobny do szmaty, kładzie obok. Spogląda na cylindry z wyrazem porażki na obliczu. Pochyla głowę jakby chciał bezgłośnie zapłakać.

Syki i gwizdy.

Twarz iluzjonisty rozjaśnia niespodziewany uśmiech. Rozprostowuje drugi kapelusz i wciska go mocno na głowę, pozostawiając pierwszy dnem na stole. Wchodzi na stół, wsuwa nogi do kapelusza i znika w nim.

Brawa zdziwionej widowni.

ILUSTRACJA
ELŻBIETA GAUDASIŃSKA

Po chwili z kapelusza wyłaniają się stopy magika, a następnie nogi i tułów. Na końcu ukazuje się głowa sztukmistrza, a kiedy mężczyzna podnosi się, pierwszy kapelusz pozostaje na jego głowie. Magik zdejmuje go, pokazując publiczności, że pod spodem niczego nie ma. Drugi kapelusz znikł. Artysta kłania się nisko.

Entuzjastyczne owacje, pokrzykiwania.

Sztukmistrz wkłada z powrotem kapelusz na głowę, uderza go dłonią; po czym staje za stołem. Nie zdejmując cylindra unosi do góry rękę, strzela palcami i przez denko wydobywa królika.

Brawa.

Ciska królika za kulisy. Pstryka palcami i wyciąga z kapelusza gołębia.

Narastające brawa.

Ciska gołębia za kulisy. Strzela palcami, wyciąga z kapelusza śliczną asystentkę.

Entuzjastyczna owacja, zdziwienie, gwizdy.

Śliczna asystentka ma na sobie wysoki zielony kapelusz z piórami, ciasny zielony biustonosz, obcisłe zielone szorty, czarne siatkowe pończochy i zielone pantofelki na wysokich obcasach. Na dźwięk gwizdów i owacji uśmiecha się nieśmiało i w podskokach zbiega ze sceny.

Gwizdy i krzyki, brawa.

Magik próbuje zdjąć cylinder, lecz ten siedzi mocno jakby przywarł do jego głowy. Mężczyzna wygina się i wije walcząc z opornym kapeluszem.

Lekki śmiech.

Walka toczy się nadal. Skrzywienia. Grymasy.

Śmiech.

W końcu magik prosi dwóch ochotników z widowni. Dwaj rośli, potężnie zbudowani mężczyźni wchodzą na scenę, uśmiechając się z zażenowaniem.

Pojedyncze brawa i śmiech.

Jeden z osiłków chwyta za cylinder, drugi bierze magika za nogi. Ostrożnie ciągną. Kapelusz nie schodzi. Ciągną mocniej. Kapelusz nadal tkwi na głowie. Ciągną z całej siły, ich toporne twarze czerwienieją z wysiłku, potężne mięśnie drgają i pulsują. Szyja magika nagle pęka: TRZASK! – Siłacze padają i toczą się po podłodze w przeciwne końce sceny, jeden z ciałem sztukmistrza, drugi z kapeluszem, który tkwi na oderwanej głowie.

Krzyki przerażenia.

Obaj siłacze podnoszą się, patrząc ze zgrozą na nie zamierzony skutek własnego działania, zakrywają dłońmi usta.

Piski i krzyki.

Pozbawione głowy ciało podnosi się.

Piski i krzyki.

Rozsuwa się umieszczony z przodu bezgłowego tułowia zamek błyskawiczny, z wnętrza wyłania się sztukmistrz. Jak poprzednio ubrany jest w czarną pelerynę i czarny cylinder. Wyrzuca puste, zwiotczałe ciało za kulisy. Ciska tam również oderwaną głowę z tkwiącym na niej kapeluszem. Osiłki wzdychają głośno z ulgą, potrząsają głowami jakby zupełnie zbici z tropu, uśmiechają się blado i wracają na widownię. Magik zdejmuje cylinder i kłania się.

Szalona owacja, krzyki, gromkie wiwaty.

Na scenę wchodzi śliczna asystentka w zielonym kostiumie, niosąc szklankę wody.

Brawa i gwizdy.

Śliczna asystentka reaguje na gwizdy nieśmiałym uśmiechem, stawia szklankę na stole i czeka na polecenia. Magik podaje jej swój kapelusz i gestem nakazuje, by go zjadła.

Dalsze gwizdy.

Śliczna asystentka uśmiecha się, nadgryza kapelusz i zaczyna wolno jeść.

Śmiech, sporo gwizdów.

Każdy kęs przeżuwa dokładnie i popija wodą ze szklanki. W końcu zjada cały kapelusz, z wyjątkiem wąskiej jedwabnej wstążki, która pozostaje na stole. Dziewczyna wzdycha, głaszcze swój zgrabny obnażony brzuszek.

Śmiech, owacje, podniecone gwizdy.

Magik prosi na scenę młodego chłopaka z prowincji siedzącego na widowni. Młodzieniec podchodzi nieśmiało, potykając się niezdarnie o własne wielkie stopy. Wydaje się mocno speszony.

Głośny śmiech, okrzyki.

Młodzieniec, purpurowy na twarzy, stoi jedną nogą przydeptując drugą, ze wzrokiem wbitym we własne ręce, które nerwowo splata.

Wzmaga się śmiech i okrzyki.

Śliczna asystentka przysuwa się do chłopca, obejmuje go po macierzyńsku. Chłopak robi uniki głową, przestępuje z nogi na nogę, wyłamuje ręce.

Dalej śmiech, okrzyki, gwizdy.

Śliczna asystentka puszcza porozumiewawczo oko do widowni, całuje młodzieńca w policzek. Chłopak podskakuje jak oparzony, potyka się o własne stopy i pada na podłogę.

Gromki śmiech.

Śliczna asystentka pomaga młodzieńcowi wstać, wsuwając mu ręce pod pachy. Chłopak ma łaskotki, chichocząc broni się bezradnie.

Śmiech (jak poprzednio).

Magik uderza knykciami o stół. Śliczna asystentka zostawia chłopca w spokoju i uśmiechnięta wraca na miejsce za stołem. Chłopak ponownie przybiera niezdarną postawę. Pociąga nosem, wyciera go wierzchem dłoni.

Lekki śmiech, brawa.

Sztukmistrz podaje ślicznej asystentce wąską jedwabną wstążkę, której dotąd nie zjadła. Dziewczyna wkłada ją do ust, żuje w zamyśleniu, przełyka z trudnością, wzdrygając się. Popija wodą ze szklanki. Śmiech i pokrzykiwania przechodzą w pełną wyczekiwania ciszę. Magik chwyta śliczną asystentkę za kark i zgina ją, zmuszając by wsunęła głowę wraz z tkwiącym na niej kapeluszem z piórami między kolana. Gdy tylko zwalnia uchwyt, głowa jak sprężyna wraca do pierwszej pozycji. Magik nie spiesząc się powtarza całą operację. Następnie powtarza ją cztery czy pięć razy szybko. Spogląda pytająco na śliczną asystentkę. Jej twarz jest zaczerwieniona z wysiłku. Asystentka zastanawia się przez chwilę, po czym przecząco kręci głową. Sztukmistrz ponownie wciska jej głowę pomiędzy kolana, uwalnia uchwyt i pozwala by wróciła do pierwotnej pozycji. Powtarza tę czynność jeszcze dwa lub trzy razy. Patrzy pytająco na asystentkę. Ta uśmiecha się i potakuje. Magik zaciąga speszonego młodzieńca z prowincji w stronę ślicznej asystentki, ustawia go za nią i zachęca by wsunął rękę w jej obcisłe zielone szorty. Młodzieniec jest okropnie zmieszany.

Znów głośny śmiech i gwizdy.

Przerażony młodzieniec z prowincji usiłuje zbiec ze sceny. Magik chwyta go i zaciąga z powrotem na miejsce.

Śmiech itd. (jak poprzednio).

Sztukmistrz chwyta rękę młodzieńca i wpycha ją siłą w szorty ślicznej asystentki. Chłopak z przejęcia popuszcza w spodnie.

Histeryczny śmiech i okrzyki.

W pewnym momencie usta ślicznej asystentki wykrzywia grymas. Sztukmistrz uśmiecha się, uwalnia rękę śmiertelnie zawstydzonego młodzieńca. Chłopak wyrywa rękę z szortów asystentki. Trzyma w niej czarny cylinder magika, w nie naruszonym stanie, nawet z wąską jedwabną wstążką.

Szalony aplauz i tupanie nogami, śmiech, pokrzykiwania.

Mistrz robi oko w kierunku widowni, na chwilę ją uciszając i zachęca młodzieńca do włożenia kapelusza. Chłopak wstydliwie kręci głową. Sztukmistrz nalega. Młodzieniec uśmiechając się głupkowato unosi nieśmiało kapelusz nad głową.

ciąg dalszy na str. 109

CO ZA MASZYNA!

Muzzy, zjadaczowi zegarów, poświęcam.

ANDRZEJ SIENKIEWICZ

Dobre zegarki, niczym luksusowe limuzyny, są kosztowne i znaczą to co znaczą na ręku właściciela. A co to jest dobry zegarek? Po pierwsze, niezniszczalna koperta z kwasoodpornej stali, nieaktywnego chemicznie złota lub (to względna nowość) supermocnego, lekkiego i niekorodującego tytanu. Po drugie, szkło – szafirowe, które ma twardość niewiele mniejszą niż diament, trudno więc je zarysować, w zasadzie da radę tylko przy użyciu rodzinnej biżuterii z brylantami. Dalej, większość współczesnych zegarków wytrzyma kąpiel, w przeciwieństwie do właściciela, na głębokości trzydziestu metrów lub więcej. Wreszcie, mechanizmy zapewniające dokładność lepszą niż dziesięć sekund błędu na rok.

Przez połowę wieku głównym producentem zegarków była Szwajcaria. Robiła znakomite czasomierze mechaniczne. Pierwsze seryjnie produkowane zegarki naręczne powstały na zamówienie marynarki niemieckiej około 1880 roku(*Girard-Perregaux*). Dokładny, niezawodny i odporny na wstrząsy zegarek wymagał szeregu wynalazków. W okresie międzywojennym rozwiązano praktycznie wszystkie problemy konstrukcyjne tych mechanizmów. 1910 – zegarek naręczny otrzymuje świadectwo chronometru, czyli stwierdza się, że chodzi dokładnie (*Rolex*). 1913-15 – pierwsze zegarki ze stoperem (*Omega*, *Breitling*). 1926 – ułatwiono życie zapominającym się w kąpieli, czyli zegarek stał się wodoszczelny (*Rolex* Oyster). 1931-33 – dotąd upadek zegarka oznaczał uszkodzenie balansu – wprowadzono system odporny na wstrząsy „incabloc". 1924-33 – roztargnieni i nieustabilizowani życiowo otrzymują zegarek nie wymagający regularnego nakręcania – automatyczny mechanizm czerpiący energię z ruchu ręki (*Rolex*, *Blancpain*). W tych latach wprowadzono także wspomniane już szkło szafirowe (*Jaeger-LeCoultre*) i stalową kopertę.

Rozwijające się bujnie w międzywojniu życie sportowe i techniczne sprawia, że powstają zegarki ze specjalnymi funkcjami. W 1927 roku Lindberg otrzymuje specjalny zegarek ze skalami umożliwiającymi nawigację w czasie lotu przez Atlantyk (*Longines*). Dodatkowe, obrotowe skale pozwalają obliczać odcinki czasu (*Rolex*), prędkość (*Breitling*). Pojawiają się skale dostosowane do uprawiania konkretnych sportów (model Cricet od *Revue Thommen*) i tzw. chronografy, czyli zegarki ze stoperem (*Breitling*). W najlepszych modelach wskaźnik daty uwzględnia 30- i 31-dniowe miesiące oraz lata przestępne.

Tak więc po złotym okresie wynalazków nastąpił czas ekspansji i renomy. Szwajcarscy producenci zdominowali cały średni i górny rynek zegarków, zarówno produkcję mechanizmów najdoskonalszych jak i tych popularnych. Wbrew pozorom w tym kraju nie ma wielu fabrykantów oferujących mechanizmy kompletne. Większość firm zegarmistrzowskich wyspecjalizowała się i wytwarza tylko określone części mechanizmów

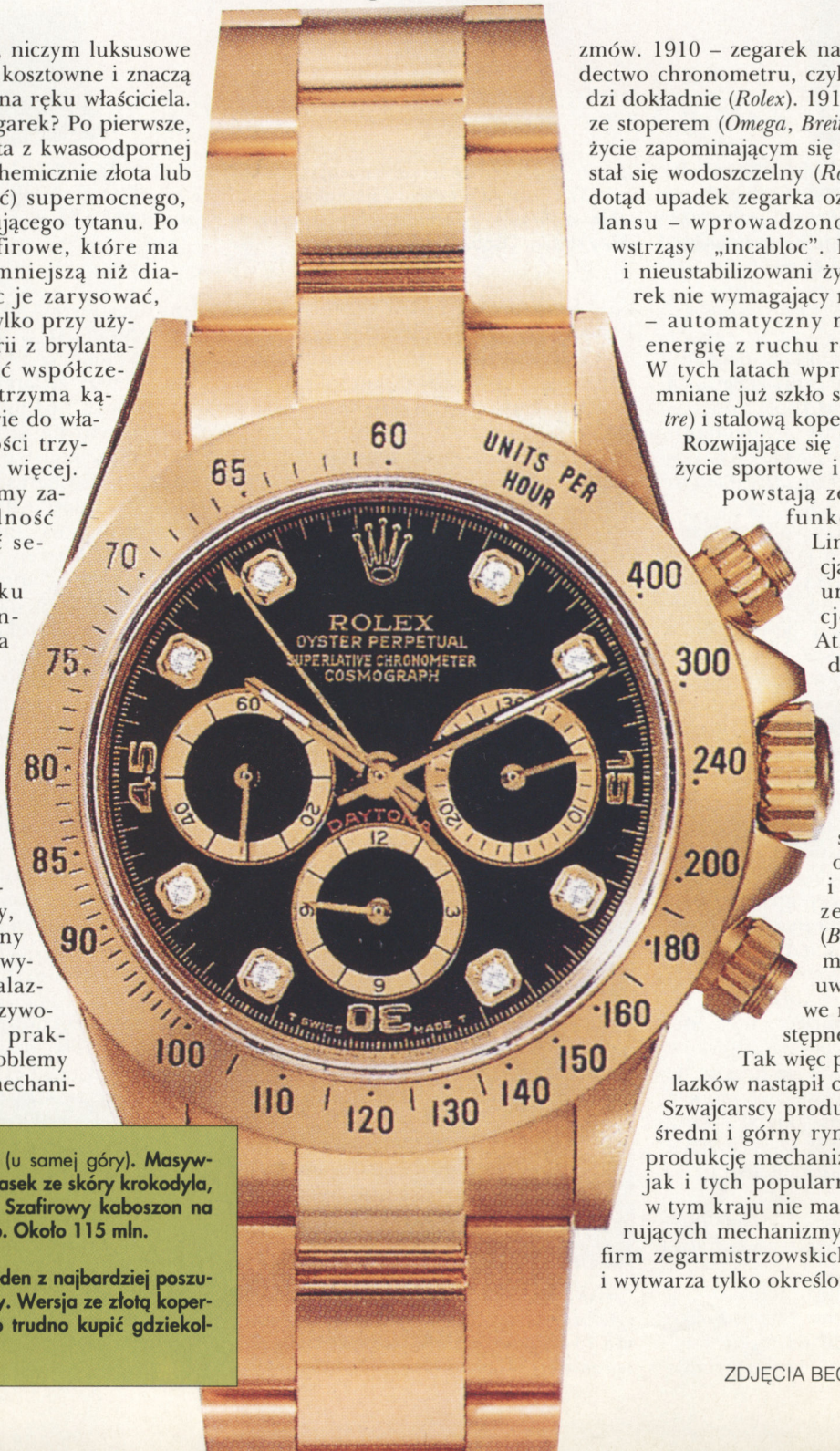

Cartier **Tank Americaine** (u samej góry). **Masywne, 18-karatowe złoto, pasek ze skóry krokodyla, wodoszczelny do 30 m. Szafirowy kaboszon na koronce i szafirowe szkło. Około 115 mln.**

Rolex **Oyster Daytona. Jeden z najbardziej poszukiwanych modeli tej firmy. Wersja ze złotą kopertą i bransoletką. Bardzo trudno kupić gdziekolwiek na świecie.**

ZDJĘCIA BECZEK/KUBICA STUDIO BE

Jaeger-LeCoultre **Kryos. Najcieńszy zegarek dla nurka (wodoszczelny do 200 m). Koperta ze stali nierdzewnej, szkło szafirowe, wodoodporny pasek ze skóry rekina. Mechanizm automatyczny lub kwarcowy. Około 40 mln.**

Jaeger-LeCoultre **Reverso. Zaprojektowany w 1931 r. w stylu art deco. 18-karatowe złoto, szkło szafirowe, cyferblat srebrny, pasek ze skóry strusia. Około 80 mln.**

Patek Philippe **Calatrava. 18-karatowe złoto i cyferblat z białego złota. Automatik lub kwarc. Około 95 mln.**

i kopert, na przykład sprężyny włosowe, balanse, cyferblaty itp.

Wytwórcy zegarków składają mechanizmy z fragmentów, dokonują regulacji i końcowego „szlifu" oraz robią koperty. Największym producentem mechanizmów kompletnych jest *Eubaches SA*. Korzystają z nich: *Omega*, *Longines*, *Atlantic*, *Certina*, *Tissot* oraz *Swatch*.

Najsłynniejsi w branży robią własne „werki" oraz dostarczają je innym wielkim. Powiązania kooperacyjne są bardzo pokrętne i skomplikowane. Dla kolekcjonera jest to prawdziwy raj i jednocześnie ból głowy. Wyśledzenie kto, komu, kiedy i w jakim modelu co wmontował – uff!

Wiele lat później powstały zegarki kwarcowe i elektroniczne. Mechanizmy kwarcowe są również skomplikowane, wymagają konserwacji co dwa lata i wymiany baterii. Używane są wymiennie z balansowymi w wielu modelach zegarków. Uzyskanie dokładności zegarków mechanicznych wymaga zastosowania w werku kwarcowym szeregu wyrafinowanych rozwiązań, jak na przykład kompensacji temperatury i starzenia się kryształu kwarcu oraz optymalizacji zużycia baterii. Dobry zegarek kwarcowy może chodzić do trzydziestu miesięcy na jednej baterii. Zadziwiająca precyzja zegarków mechanicznych sprawia, że uważa się je za bardziej szlachetne. Najlepsze modele mają często wartość kolekcjonerską. Lecz wiele renomowanych firm szwajcarskich oferuje zegarki kwarcowe najlepszej klasy (i ceny).

Najsłynniejsi producenci mechanizmów to: *Patek Philippe*, *Jaeger-LeCoultre*, *Eubaches*, *Fédéric Piguet* i *Rolex*.

Patek Philippe to jedna z najbardziej ekskluzywnych marek, darzona w Polsce sentymentem ze względu na osobę założyciela – Polaka. Od 1839 roku produkuje bardzo piękne klasyczne zegarki. Również bardzo drogie. Niektóre modele na aukcjach kosztują majątek – np. Calibre 89 (nowy) z 33 komplikacjami, został kupiony za trzy miliony dolarów. Perwersja.

Jaeger-LeCoultre robił mechanizmy dla *Cartiera*, *Audemars Pigueta*, *Choparda*, *Piageta*, *Vacheron Constantina* i *IWC*. Zasłynęli z jakości i osiągnięć technicznych, m.in. zrobili mechanizm najbardziej płaski, grubości 1,38 milimetra (1903 r.!).

Firma *Audemars Piguet* powstała w 1875 roku i produkuje mechanizmy dla Amerykanów, na przykład *Van Cleefa & Arpelsa* oraz *Tiffany'ego*. Ich własny model sportowy Royal Oak zaprojektował jeden z najsłynniejszych ludzi w tej branży – Gerald Gent. W 1946 roku skonstruowali najcieńszy zegarek naręczny (z kopertą) grubości 1,64 milimetra.

Corum **Meteorite. Cyferblat wykonany z meteorytu żelaznego. Całkowicie nierdzewny. Koperta z 18-karatowego złota, szafirowe szkło, pasek ze skóry aligatora. Około 120 milionów.**

Rolex – firma założona przez Hansa Wilsdorfa, konstruktora wodoszczelnej koperty, mechanizmu samonakręcania, wskaźnika daty i dnia tygodnia. Produkowane do dziś, najbardziej klasyczne modele to Oyster, Datejust i Day-Date. Koperta i mechanizm przechodzą cykl testów ciśnieniowych, wstrząsowych i termicznych. Zegarek, który to wytrzyma, dostaje stosowny papier i wchodzi do sprzedaży. Nic dziwnego, że używają ich różni awanturnicy, żeglarze i inne odmiany Indiany Jonesa. Taki czasomierz to gwarancja ewentualnego rozpoznania zwłok. Gruba koperta i bransoletka, gdy wykonane ze złota, są manifestacją sukcesu właściciela.

IWC – znany w Polsce pod nazwą *Schafhausen*, produkuje piękne, klasyczne modele dla konserwatywnego dżentelmena, a także egzemplarze „technologiczne" zaprojektowane przez Ferdinanda Porsche Juniora i dla pilotów (Mark XI).

Omega – piękne zegarki linii Constelation ze szkiełkiem szafirowym, przytrzymywanym zewnętrznymi uchwytami. Może być ze stoperem, ze szkłem od spodu, żeby pokazać precyzję mechanizmu oraz ze specjalnie zamówionym cyferblatem z wizerunkiem gwiazdozbioru, w którym się urodziłeś.

Te same precyzyjne mechanizmy pakowane są do futurystycznych kopert linii Titanium, wykonanych, jak sama nazwa wskazuje, z tytanu. Tego nic nie rusza. Intarsje można zamówić w złocie lub palladzie. Czy ktoś wie jaki kolor ma ten metal?

Cartier to paryska firma jubilerska, robi więc tylko koperty. Mechanizmy najlepszej klasy były od *Jaeger-LeCoultra*, a ostatnio od *Fédéric Pigueta*. Poza nową linią Pasha, piękny jest klasyczny model Tank z 1917 roku (do dziś produkowany), zaprojektowany pod wpływem wrażenia, jakie wywarł na patrzących pierwszy czołg Mark I (zwany dla niepoznaki tankiem).

Ebel – ich hasło reklamowe to „Architekci czasu" i tak też wyglądają ich zegarki – coś dla estetycznie wyrafinowanego technokraty (czyli architekta). Najelegantsze zegarki sportowe, jeżeli takie połączenie jest w ogóle możliwe.

Breitling – zawsze robił zegarki dla ludzi akcji: pilotów, żołnierzy, żeglarzy. Koperta ze stali nierdzewnej. Obowiązkowo stoper (od 1915 r.), tachymetr etc. Ostatnio reklamowane przez śp. generała MacArthura lądującego na Filipinach. Typowy *Breitling* – Navitimer.

Corum – zegarki dziwne i ekskluzywne. W image'u firmy motywy morsko-kapitańskie. Koperty ze złotych dwudziestodolarówek (bardzo płaskie), cyferblaty z prawdziwego meteorytu (dołączają zaświadczenie o miejscu upadku i galaktyce, z której meteoryt pochodził). Firma wybitnie jubilerska.

Niklaus Twerenbold – jubiler wytwarzający zegarki na zamówienie. Także według projektu klienta. Nazwisko właściciela umieszczone jest na cyferblacie. Zamówiony w Polsce zegarek będzie kosztował od stu milionów wzwyż.

Rado – firma zasłynęła z technologii wykonywania całych kopert z ceramiki wielkiej twardości, szlifu szkła po łuku i w sferę. Produkt bardzo technologiczny.

Wiele jest jeszcze firm zegarkowych, których produkty wyróżniają się jakością, znakomitymi wzorami lub specjalnym wykonaniem: *Longines*, *Revue Thommen*, *Gerald Genta*, *Hublot*, *Tag Heuer*, *Chopard*, *Piaget*, *Baume & Mercier*, *Girard-Perregaux*, *Blancpain*.

Pojawiło się dużo nowych lub prawie nowych firm wzorniczych projektujących zegarki pasujące do innych produktów tych firm. Zwykle w środku są niezłe mechanizmy któregoś ze szwajcarskich producentów. Korzystają z nich: *Dior*, *Cerruti*, *Saint Laurent*, *Chevignon*, *Benetton*, *Hermes*, *Gucci* i inni. Bardzo modne są ponownie produkowane klasyki, jak Tank *Cartiera*, Reverso *Jaeger-LeCoultre*. Skórzane paski wykonywane są w różnych barwach (także niebieskie, czerwone, zielone) z egzotycznych skór krokodyli i aligatorów, węży, rekinów i tuńczyków oraz ze skór bydlęcych. Paski do zegarków sportowych, narażonych na wodę, robi się ze skóry ryb lub plastyku (*Swatch*, *Tag Heuer*, *Hublot*).

Pojawienie się mechanizmów kwarcowych w latach siedemdziesiątych spowodowało przesunięcie produkcji zegarków ze Szwajcarii do krajów Dalekiego Wschodu. Mechanizm kwarcowy jest znacznie prostszy i tańszy w produkcji. Szwajcarzy szybko kontratakowali. Rozpoczęli masowy wyrób zegarków kwarcowych oraz wymyślili *Swatcha*. To genialny pomysł. Wzięto klasyczną kopertę. Wykonano ją z plastyku. Włożono dokładny mechanizm kwarcowy. Nowe modele pojawiają się w obłędnym tempie. Zegarek jest zawsze z modą, a nawet przeciw. Zmiany uzyskuje się poprzez kolor, wzór paska i cyferblatu. Kształt się nie zmienia – jest klasyczny i zawsze pasuje. Produkcja kosztuje grosze, a zegarek wcale nie jest aż tak tani, ale kosztuje akurat tyle, że może być traktowany jednorazowo (nie ma gwarancji na pasek i dostępu do mechanizmu dla zegarmistrza), jako dodatek do ubrania – można mieć parę sztuk. Niektórzy je zbierają. Tak więc Szwajcarzy znowu górą. Zawsze mieli bogatych, teraz mają także biednych.

Tani zegarek elektroniczny nie ma w sobie magii tego cudownego mechanizmu robota czy też golema, jaką posiada zegarek klasyczny (z balansem lub kwarcowy).

Trudno zachwycać się faktem, że elektroniczny zegarek pokazuje datę. Gdy jednak zespół kółek i sprężynek będzie informował nas o godzinie, dacie, dniu tygodnia, fazie księżyca, latach przestępnych i przypominał o naszych urodzinach do 2500 r.n.e. z dokładnością do dwóch sekund na rok i bez nakręcania, jest to mechniczny cud.

Gdzie to kupić str. 103

International Watch Co. **Mark XI. Zegarek dla pilotów ze stoperem. Koperta ze stali nierdzewnej, pasek ze skóry krokodyla.**

Cartier **Santos Galbee. Zaprojektowany w latach trzydziestych. Stalowa koperta z szafirowym szkiełkiem. Około 32 mln.**

Audemars Piguet **Royal Oak. Bardzo cienki mechanizm kwarcowy lub automatyczny. Koperta z tantalu i różowego złota. Wodoszczelny do 50 m. Około 130 mln.**

Longines Lindberg. **Specjalne skale umożliwiają obliczenie długości geograficznej na podstawie radiowego sygnału czasu. Mechanizm automatyczny, wodoszczelny do 30 m. Około 26 mln.**

PLAYBOY PRZEDSTAWIA

GIANNI AGNELLI
OSTATNI MONARCHA

CHARYZMATYCZNY

CZARUJĄCY

I ELEGANCKI

WŁAŚCICIEL FIATA

GRAŻYNA OLBRYCH

Włosi nazywają go Avvocato, chociaż mimo ukończonych studiów prawniczych, nie ma uprawnień adwokackich.

Nam kojarzy się głównie z Fiatem – Gianni Agnelli, najpotężniejszy człowiek Włoch. Swoje imię zawdzięcza dziadkowi Giovanniemu (Gianni to zdrobnienie od tego imienia), założycielowi Fiata i większości fabryk w Piemoncie. Mały Gianni był ulubionym wnukiem, którego nestor szykował na swego następcę. Jednak aby marzenie dziadka mogło się spełnić, musiało upłynąć wiele czasu. Najpierw staranne wykształcenie, poczynając od angielskiej guwernantki. Gianni nauczył się pięknego angielskiego i chyba już wtedy zapamiętał, że bycie Agnellim nie jest łatwe – poprzeczka musi być ustawiona wyżej niż zwykłym śmiertelnikom. Miss Parker na jego złe zachowanie reagowała sakramentalnym: *Pamiętaj, że jesteś jednym z Agnellich*.

Zaraz po maturze wyjechał do Detroit na praktykę u Forda. Ameryka nie przypadła mu do gustu – zbyt dużo brudu i przemocy. Segregacja białych i czarnych robotników była dla niego szokiem. Przerwał praktykę i wyruszył na wojnę. Rodzina uważała, że prawdziwy mężczyzna nie siedzi w domu, gdy inni walczą. Był na froncie rosyjskim (zajmował się zepsutymi samochodami) i w Afryce. Wprawdzie nie walczył, ale był ranny.

Po wojnie skończył studia prawnicze, jednak nie przejawiał ochoty do zajęcia się rodzinnym biznesem. Był po prostu bardzo bogatym playboyem, który rzucił się w wir „la dolce vita". Zrobił oszałamiającą karierę... na pierwszych stronach plotkarskiej prasy. Podobno miał u swych stóp napiękniejsze kobiety świata, lecz jego prawdziwą pasją było i jest żeglarstwo. Bawił się doskonale podróżując pomiędzy Costa Azzura a Nowym Jorkiem. Pytany o plany życiowe odpowiadał: *Lubię szybkie samochody, hazard i piękne dziewczyny*. To swoiste credo nie uległo zmianie nawet po ślubie w 1953 roku. Jego żoną została księżniczka Marella Caracciolo di Castagneto.

Dopiero w 1966 roku w wieku 45 lat postanowił zająć się Fiatem. Wszyscy dookoła byli zdumieni. Przez tyle lat tylko zabawa, a teraz objęcie tak poważnej funkcji? Sceptycy nie wierzyli, że mu się powiedzie. Ale Agnellemu nie mogło się nie udać. Fellini powiedział kiedyś o nim: *Wsadźcie go na konia, ubierzcie w zbroję. Ma twarz króla.*

Stary Valleta (ówczesny dyrektor generalny) został zastąpiony młodym i nowoczesnym menedżerem Romitim. Wspólnie z Agnellim odnieśli wielki sukces. Fiat rozrósł się zagarnął większe rynki. Agnelli, zapytany przez studentów Sorbony o tajemnicę sukcesu, odpowiada: *Postawmy sprawę jasno. Kiedy się mówi o czyimś sukcesie, ma się na myśli człowieka, który „zrobił to sam" – self made man. Ja nim na pewno nie jestem. Wszystko co mam, odziedziczyłem, od tytułu posiadania aż do pozycji społecznej. Odziedziczyłem nawet ludzi, którzy administrowali moim patrimonium. Nie jestem przykładem, na którym każdy może się wzorować.*

Prawdopodobnie ma rację. Jednak Fiat nie jest już jak dawniej wyłącznie fabryką samochodów. Oczywiście, zdominował włoski rynek motoryzacyjny (60 procent), ale kontroluje również przedsiębiorstwa o bardzo zróżnicowanych profilach: ubezpieczenia, domy towarowe, produkcja win, chemia, pojazdy kosmiczne, helikoptery, telekomunikacja, elektronika wojskowa, produkcja broni, wydawnictwa, agencje reklamowe, cement, przedsiębiorstwa budowlane. Żadna antymonopolistyczna ustawa nie zaszkodziła pozycji koncernu. Wiosną 1989 r. włoski parlament poczynił pewne kroki w tym kierunku, ale Agnelli i Romiti odparli atak oskarżając parlament o „awersję do kapitalizmu."

Obecny głęboki kryzys dotknął również Fiata, ale ma on szansę na przetrwanie właśnie dzięki tak zróżnicowanej działalności.

Romiti powiedział, że Agnelli otacza się ludźmi inteligentnymi i nieskazitelnymi moralnie. Ostatnie wydarzenia tego nie potwierdzają. Jak na razie nieskazitelny wydaje się być Romiti, choć ostatnie słowo należy do sędziego Di Pietro. Avvocato tradycyjnie nie wypowiada się na temat bieżących wydarzeń.

22 lutego tego roku został aresztowany Francesco Paolo Mattioli. Oskarżenie brzmiało: pogwałcenie prawa o finansowaniu publicznym partii politycznych oraz korupcja.

Mattioli był (jest?) mózgiem finansowym Fiata. Razem z Romitim pracował w Alitalia, Italsat i ostatecznie na Corso Marconi, w głównej siedzibie Fiata.

ILUSTRACJA MACIEJ KRZYWICKI

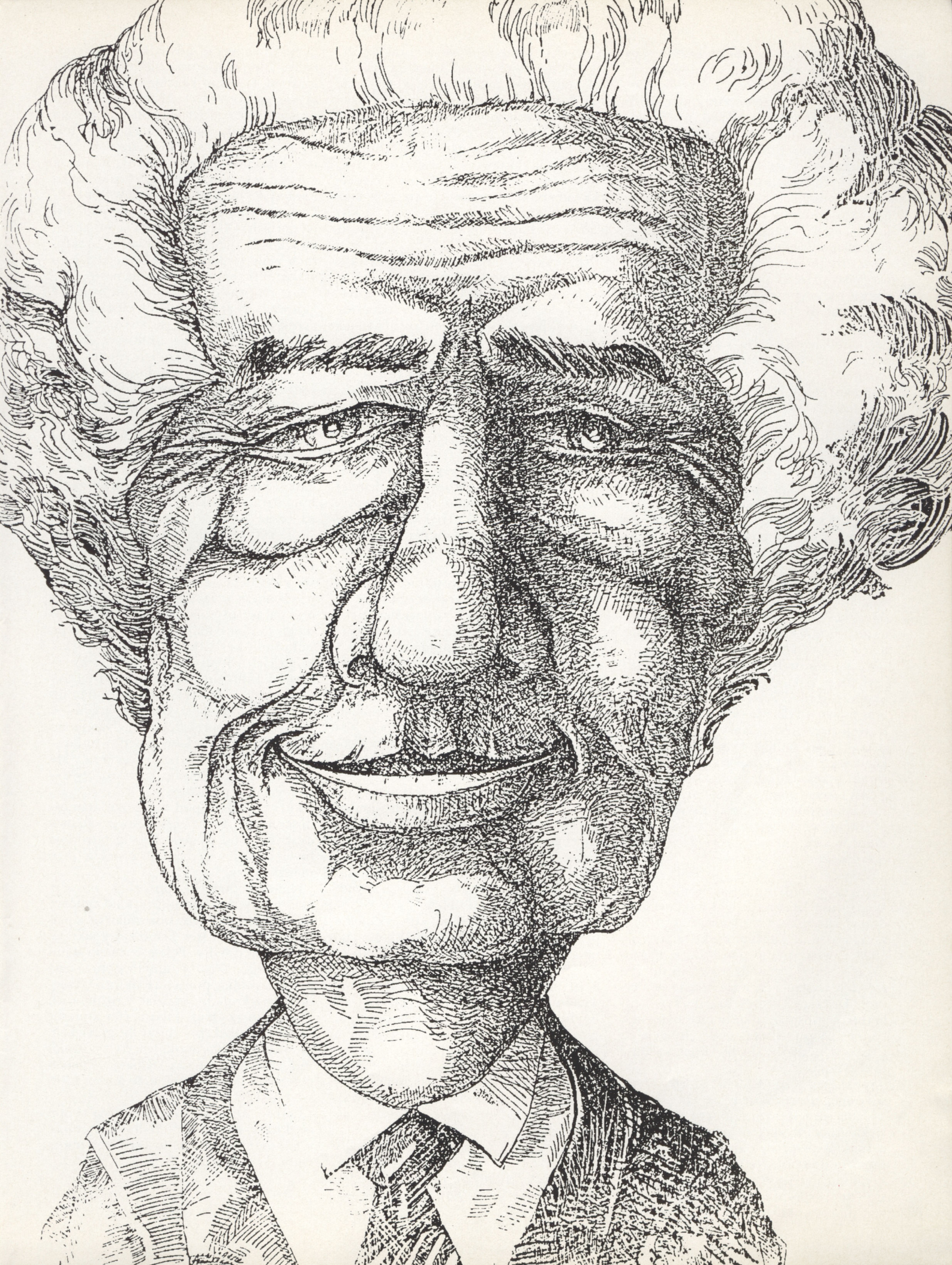

Tego samego dnia i na podstawie tego samego oskarżenia został aresztowany inny pop-manager koncernu Antonio Mosconi, który był dyrektorem generalnym firmy ubezpieczeniowej Toro Assicurazoni. Dwóch następnych menedżerów zostało oskarżonych o korupcję w związku z konkursami na dostawy autobusów w głównych miastach Włoch. Obaj – Garuzzo i Ruggieri, byli w Iveco; Giorgio Garuzzo, uważany za złote dziecko Fiata, miał zająć miejsce siedemdziesięcioletniego Romitiego.

Nie zostali jednak aresztowani, ponieważ obaj przebywają za granicą. Agnelli długo nie wypowiadał się oficjalnie na ten temat. W Turynie zaczął nawet krążyć żart:

Dziennikarz: *Avvocato, jak pan skomentuje powiązanie Fiata z aferą korupcyjną Tangentopoli?*

Agnelli: *Mamy XX wiek. Wiadomo, że większość ludzi pohusza się samochodami. Nawet, jeśli któhaś z osób zamieszanych w afehę była użytkownikiem samochodu Fiat, Lancia czy Alfa Homeo, naphawdę nie możemy bhać za to odpowiedzialności.* [*Agnelli nie wymiawia „r"*]

W połowie kwietnia długo oczekiwane oświadczenie obiegło całą włoską prasę. Na spotkaniu Związku Przemysłowców w Wenecji Agnelli powiedział m.in.: *Przypadki korupcji mogą zdarzyć się wszędzie. Istnieją jednak takie firmy, które prowadzą działalność przemysłową na wielką skalę tworząc dobrobyt swój i swoich pracowników i takie, które działalność oparły wyłącznie na korupcji i nieuczciwej konkurencji. Fiat na pewno nie zalicza się do drugiej grupy.*

We wrześniu 1992 r. Agnelli oświadczył, że w roku 1994 odejdzie z Fiata. Skończy wtedy 75 lat, a zgodnie ze statutem osoba w tym wieku nie może pełnić funkcji prezydenta. Następcą ma zostać młodszy o 15 lat jego brat Umberto. Syn Gianniego Edoardo, niestety, nie nadaje się do przejęcia rodzinnego biznesu. Ma 37 lat i wciąż poszukuje tajemnicy istnienia, zafascynowany religiami Wschodu.

Oświadczenie Agnellego było różnie komentowane. On sam powiedział: *Swoje zrobiłem, teraz pora na innych.*

Wszyscy wiedzieli, że rok 1993 będzie jednym z najtrudniejszych dla Fiata. W grudniu 1992 Agnelli określił nadchodzący rok „rokiem w okopach". Oszczędności widać na każdym kroku. 1 stycznia 1993 r. wstrzymano podwyżki wynagrodzeń. Setki menedżerów średniego szczebla wysłano na wcześniejsze emerytury. Dziesiątki tysięcy urzędników i robotników dostaje kilkudniowe niepełnopłatne urlopy. Nawet wysocy funkcjonariusze w podróże służbowe latają klasą turystyczną.

Spekulacje, że Agnelli może odejść wcześniej, nie sprawdziły się. On cały czas zasłania się żelaznym statutem Fiata. Niewykluczone, że obecny kryzys zmusi koncern do współpracy z innymi potentatami samochodowymi. Niektórzy obawiają się konfliktu między Romitim, który skłania się do współpracy z Japończykami, a Umberto, który jest zafascynowany Ameryką. Jednym słowem uważają, że Agnelli nie może opuścić tonącego statku.

Avvocato żywi przekonanie, że Fiat sam ma dość sił, by poradzić sobie z kryzysem. Potwierdzają to – nieoszczędzanie na inwestycjach przemysłowych i całkowita odnowa pełnej gamy samochodów osobowych, dostawczych i ciężarowych.

Osobom niechętnym Fiatowi trzeba przypomnieć, że sytuacja firmy, która do roku 1995 przewiduje inwestycje na kilkadziesiąt miliardów dolarów, nie może być beznadziejna.

Nie brakuje opinii, że Avvocato rzeczywiście powinien odejść, licząc lata – 75 to wiek starczy. Jednak Umberto nie posiada z kolei tak charyzmatycznej osobowości, mówi się o nim, że jest oschły i niesympatyczny.

Decyzja Agnellego nie ulegnie zmianie, bo jak sam mówi, *to trwało już zbyt długo, ponad ćwierć wieku.*

Wielcy potentaci przemysłowi nie zajmują się na ogół polityką. Bardziej odpowiada im rola pociągających za sznurki. Potwierdzają to na przykład negatywne doświadczenia Nelsona Rockefellera, który się zbytnio angażował, a z drugiej strony mądrość niemieckich przemysłowców, Kruppa i Thyssena, którzy trzymali się na dystans. Agnelli także stał zawsze na uboczu, a na poczynania swego rodzeństwa (Umberto – senator, siostra Suzanna – deputowana do parlamentu) patrzył sceptyczne, traktując to bardziej jako próbę ich samorealizacji niż planowe działanie rodziny. „Instytucja" Agnellich w każdym momencie podejmowała trafne decyzje i funkcjonowała bez zarzutu. Dlatego też pod koniec lat 70., kiedy we Włoszech szalał lewacki terror, wybitni politycy właśnie w Agnellim widzieli gwaranta stabilności Włoch. Nawet rząd Nixona konsultował z nim swoje decyzje, dotyczące kontaktów bilateralnych obu państw.

Agnelli miał propozycje zostania m.in. ministrem spraw zagranicznych i ambasadorem Włoch w Stanach Zjednoczonych. Jednak ostatecznie nie skusił się na żadne z tych stanowisk. Przy odrobinie chęci mógłby aktywnie zająć się polityką, ale widać woli przyjaźnić się z przywódcami niż być jednym z nich.

We wrześniu 1925 r. tata Edoardo przyprowadził czteroletniego Gianniego na stadion, na mecz Juventusu. Od tego czasu jest wiernym kibicem sportowym, a Juventus – jego ukochaną drużyną. Trudno się dziwić, skoro w latach 1945-54 był jej prezydentem (obecnie jest głównym akcjonariuszem i prezydentem honorowym). Jego ulubionym graczem i przyjacielem pozostał Michel Platini. Czy lubił Bońka? Nie wiadomo. Gdy w 1985 r. przedstawiał go Kissingerowi, powiedział: *To jest Boniek, gra dobrze, ale tylko w nocy.*

Kiedy „Juve" wygrywa, Agnelli cieszy się jak dziecko. Na pytanie kto wygra, lepszy czy „Juve", odpowiada: *Jestem szczęściarzem, więc to „Juve" przeważnie okazuje się lepszy.*

Chodzi na mecze, gdy tylko czas mu pozwala. Ale piłka nożna nie jest jedynym sportem, któremu kibicuje – tym drugim są wyścigi Formuły I. Alain Prost to jego serdeczny przyjaciel. Agnelli sam zresztą uwielbia szybką jazdę samochodem. Jest też świetnym narciarzem, jeździ w St. Moritz, któremu pozostał wierny, mimo że miejscowość wyszła z mody i śmietanka towarzyska już tam nie bywa. W 1981 roku Agnelli uległ poważnemu wypadkowi na nartach. Od tamej pory ma jedną nogę sztywną i chodzi cały czas w „traktorach". Ale wypadek nie zmniejszył jego aktywności ani uwielbienia dla nart.

Kim naprawdę jest Gianni Agnelli? Człowiek uważany za wzór elegancji zegarek nosi na mankiecie koszuli, a krawat wypuszczony na pulower. Guziki przy kołnierzyku koszuli rozpięte. Jego styl kopiują miliony Włochów, jest swego rodzaju gwiazdą, mitem. Kelner w restauracji czuje się dowartościowany, gdy ujrzy „swojego" swatcha na przegubie Agnellego. Choć lata lecą, Włoszki nadal uważają go za najbardziej pociągającego mężczyznę w swoim kraju. No cóż – bogaty, czarujący, o niezwykłym poczuciu humoru... Lubi kobiety, ale nie traktuje ich serio. Mówi się, że poważnie traktuje swoje psy. Włosi nie zazdroszczą mu bogactwa – to też swoisty fenomen. Jest powszechnie lubiany i szanowany. Przyjaźni się z Bushem i Gorbaczowem. Ktoś powiedział, że w latach siedemdziesiątych uniknął terrorystów tylko dlatego, że nie mogli za nim nadążyć – Rano Turyn, po południu herbatka w Nowym Jorku. Właściciel fabryki samochodów sam najczęściej podróżuje prywatnym odrzutowcem. Oczywiście, na świecie jest wielu ludzi od niego bogatszych. Ale Agnelli jest jednym z najpotężniejszych. Należą do niego dwie największe gazety włoskie – „La Stampa" i „Corriera della Sera". Ma więc w ręku informację, która znaczy dużo więcej niż pieniądze.

Turyn, drugie pod względem zamożności miasto Włoch, jest prawie całkowicie zależny od niego – Agnelli zatrudnia bowiem dziewięćdziesiąt procent jego mieszkańców.

Wielki monarcha pozostaje otwarty i dostępny. Potrafi na przykład odłożyć ważne spotkanie, aby porozmawiać z jednym z pracowników Fiata, który jako jedyny Włoch był w Polsce w czasie stanu wojennego. Zresztą Agnelli dobrze zna polskie realia, ponieważ nieraz odwiedzał nasz kraj i brał udział w rozmowach z polskim rządem. Jako wielki koneser sztuki chodził po naszych galeriach. W trakcie zeszłorocznej wizyty po kryjomu zajadał się polską kiełbasą, zwykłym chlebem i ciastem, mimo że lekarz surowo mu tego zabronił.

Ludzie, którzy go znają, mówią o nim „Człowiek renesansu". Jedno jest pewne – to ostatni monarcha fiatowskiego imperium w takim stylu.

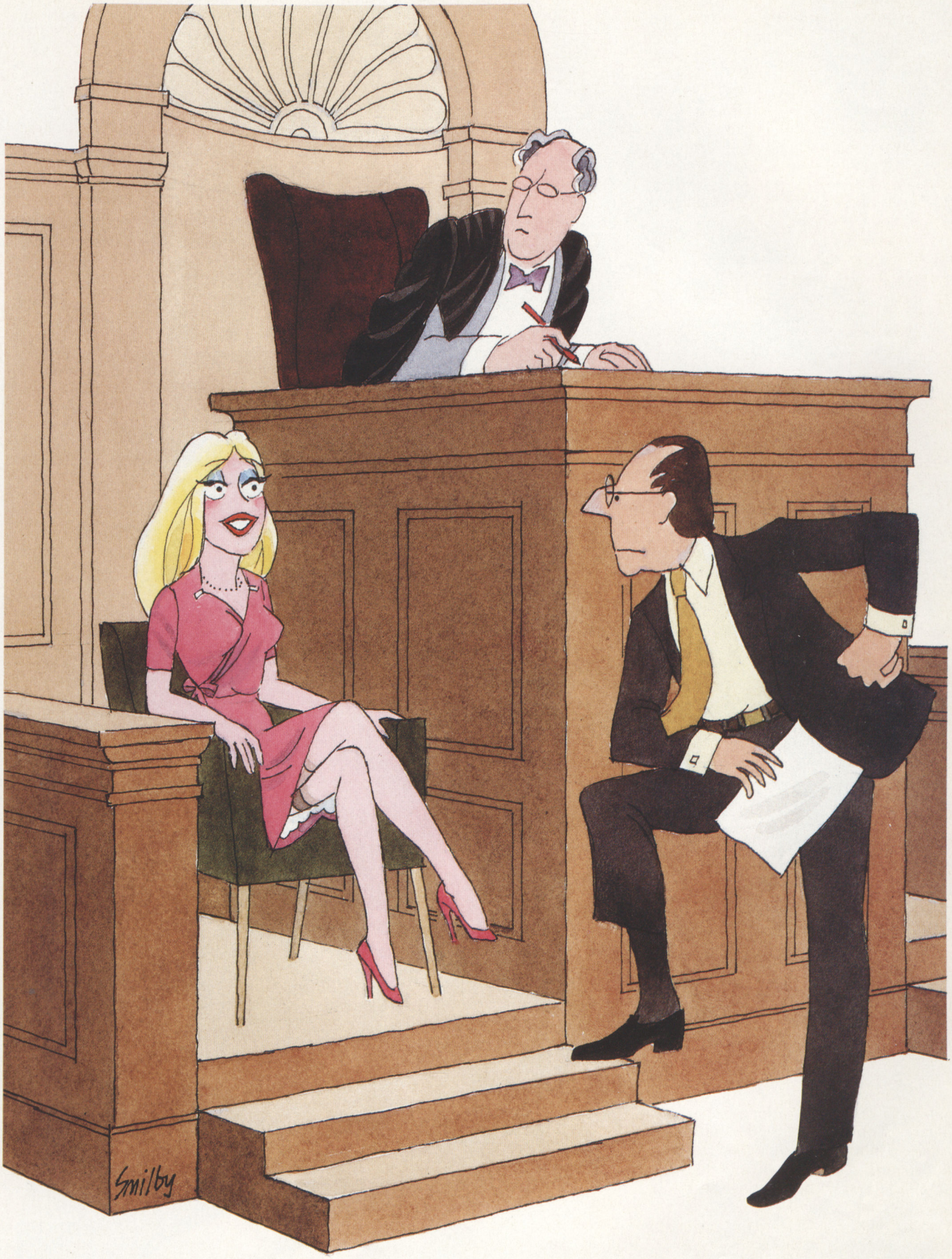

No cóż, Wysoki Sądzie, oskarżony nie tyle ZMUSIŁ mnie
do odbycia perwersyjnego aktu seksualnego, ile ZACIEKAWIŁ mnie, jak to może być.

Bliźniaczki BARBI

Lalki, które podobają się dużym chłopcom

Sia i Shane Barbi z dnia na dzień stały się sławne. Marzą o tym, by zostać bohaterkami komiksu. Plotkarska prasa głosi, że w Hollywood trwają przygotowania do filmu – w rolach głównych one plus Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone. Dziewczęta mieszkają w Malibu, gdzie najchętniej wylegują się nago na plaży. Ale ta sceneria nie wydała się naszemu artyście-fotografikowi dostatecznie atrakcyjna, więc porwał je do Maui i tam przygotował do debiutu w PLAYBOYU. Naszym zdaniem udało mu się dotrzeć do prawdy.

W Hollywood zaczęto widzieć podwójnie pod koniec 1989 roku. Przy Bulwarze Zachodzącego Słońca pojawił się ogromny, niezwykle seksowny afisz przedstawiający dwie piękne, jasnowłose dziewczyny zbudowane jak boginie – prawie identyczne i prawie nagie... Pod zdjęciem widniał tajemniczy podpis: BLIŹNIACZKI BARBI. Nikt nie wiedział, kim są, ale efekt był natychmiastowy. Karambole paraliżowały ruch na Bulwarze kilka razy dziennie, zagapieni kierowcy notorycznie lądowali na poboczu lub na niewłaściwym pasie. Dziewczęta postanowiły sobie, że będą bogate i sławne. Afisz – punkt pierwszy wielkiego planu – zrobił swoje. To nie lada sztuka stać się prawdziwą sensacją w mieście, które nawet na najbardziej niezwykłe zjawiska reaguje ziewaniem. Dzisiaj telewizja nazywa bliźniaczki „marketingowym cudem", zaś pismo „Star" – „płomiennymi Barbie o wyglądzie żywych lalek". Doświadczeni agenci i menedżerowie widzą w nich lokatę kapitału, wielbiciele – podwójne spełnienie swoich najskrytszych marzeń. Shane i Sia pochodzą z San Diego. Bardziej wysportowana Shane mówi, że jest o sześć minut starsza od siostry. *Tak, z nas dwóch to ja jestem ta młodsza* – potwierdza Sia. Obie zgadzają się też co do tego, że Sia jest bardziej zmysłowa.

Fizycznie są do siebie tak podobne, że nawet rodzice nie potrafią ich rozróżnić. Charakteru mógłby im pozazdrościć niejeden mocny facet. Ostrymi jak brzytwa wypowiedziami szokują wszystkich tych, którzy myślą stereotypowo, więc są zaskoczeni, kiedy hoża blondynka zdoła wydobyć z siebie coś więcej poza głupawym i egzaltowanym „Och!". Obie mają też duże poczucie humoru. Przeglądając ich wspólne zdjęcia Sia wyjaśnia: *Czasami same nie wiemy, która jest która, ale na pewno ta bardziej pyzata to zawsze Shane*. Rozmowa z nimi to istna rozkosz, zwłaszcza dla oka. Jak to często bywa u bliźniąt, łączy je coś w rodzaju telepatycznego porozumienia. *Lubimy kończyć nawzajem...* – mówi Shane *...swoje wypowiedzi* – dodaje Sia. Do roku 1989 p.n.e. (*przed NASZĄ erą* – śmieją się) zarabiały na życie tańcem brzucha. Za jeden numer zgarniały dwadzieścia dolarów napiwku. Objechały wszystkie imprezy pod gołym niebem na środkowym wschodzie, od San Francisco po Waszyngton D.C. Taniec brzucha nie jest zbyt popularnym zajęciem wśród kalifornijskich dziewcząt, ale siostry Barbi nigdy nie bały się pracy fizycznej. *To niesamowicie wciąga* – zwierza się Shane. Nadal potrafi zrobić skłon w tył zwany „tureckim mostem", ułożyć sobie sześć ćwierćdolarówek wokół pępka, po czym zrzucić je na ziemię tylko przy pomocy mięśni brzucha. Sia nie jest aż tak sprawna. *Strącam tylko cztery* – mówi – *reszta może być dla ciebie*.

Zapragnęły jakiejś odmiany. W ślad za gigantycznym afiszem pojawiły się plakaty, potem „gorący" kalendarz „Barbi Twins". *Niektóre sklepy uznały go za zbyt odważny* – wspomina Sia – *ale i tak sprzedał się fantastycznie*. Dziewczyny zaistniały na rynku. Posypały się oferty od agentów reklamowych i producentów filmowych, nie tylko zawodowe. W konkury uderzało także paru co bardziej kochliwych muzyków rockowych. Ale bliźniaczki się nie śpieszą, na razie wolą same decydować o swoim losie. Mają w rękach wszystkie atuty: udany start, błyskotliwą

ZDJĘCIA KAL

inteligencję i nieziemską wręcz urodę. Wszystkie drzwi stoją przed nimi otworem.

Posiadanie siostry-bliźniaczki ma swoje dobre strony. *Kiedyś miałyśmy wspólnego chłopaka* – opowiada Sia. Był to dość znany sportowiec z Los Angeles. Biedak nie mógł się nadziwić, skąd jego ukochana czerpie aż tyle energii. *Shane ma świetną kondycję, ja za to jestem bardzo namiętna. Spotykałyśmy się z nim na zmianę.* Są też pewne minusy. *Zaczęłyśmy się zastanawiać, która z nas weźmie ślub, a której przypadnie miesiąc miodowy* – wspomina Shane. Na szczęście romans skończył się w porę i Bogu ducha winny narzeczony nie został bigamistą. *Musiałyśmy się wreszcie uniezależnić od siebie* – śmieje się Shane. Zresztą, jeśli chodzi o mężczyzn, trudno im dojść do porozumienia. *Ja lubię inteligentnych* – twierdzi Shane, a Sia dodaje: *Tak, ona leci na nudziarzy. Ja wolę niegrzecznych chłopców.* Wszyscy oni są zgodni co do jednego: w tym ognistym dueciku każdy – czy to intelektualista, czy mało rozgarnięty osiłek – znajdzie coś dla siebie. Nie dajcie się zwieść pozorom. Bliźniaczki Barbi nie są po prostu dwiema laleczkami. Zapewniamy was, że mają też mózgi... Och, zresztą mniejsza z tym!

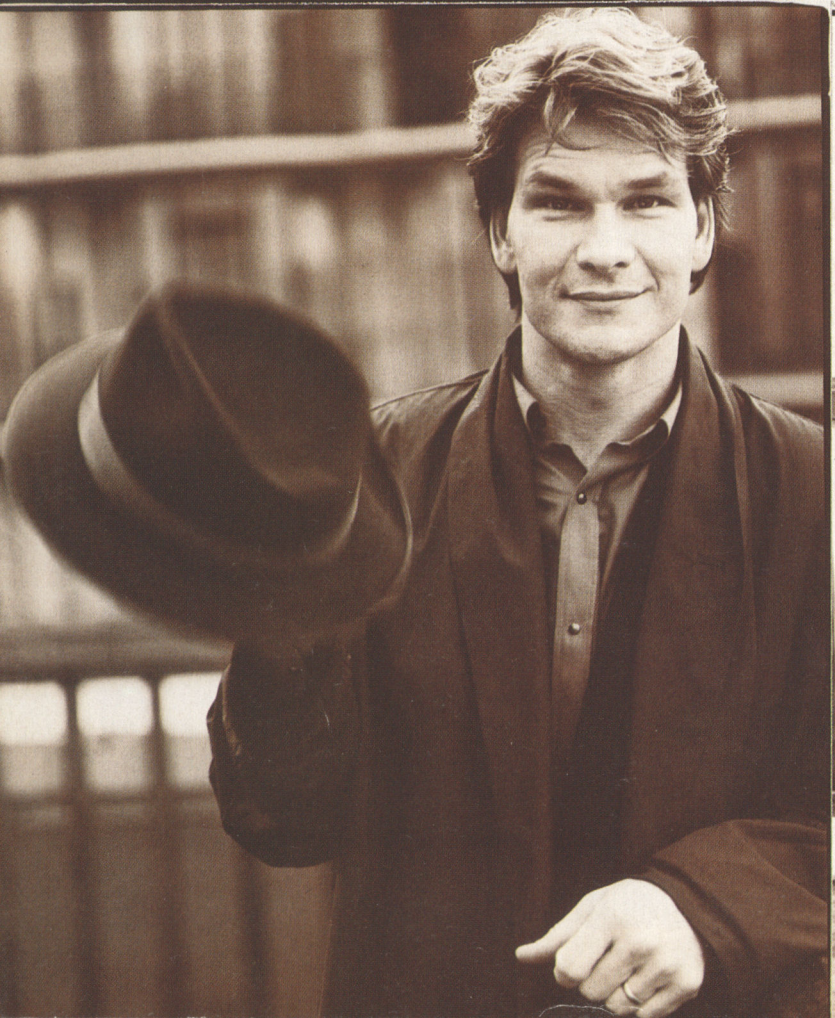

20 PYTAŃ DO

PATRICKA SWAYZE

Jak ostrzegał nas wiele lat temu w swoim przeboju zespół Rolling Stones, nie zawsze można mieć to co się chce: Patrick Swayze nie chce uchodzić za playboya, choć tak zadecydowały Amerykanki.
Pozbawiwszy dziewczęta tchu w filmie „Dirty Dancing" i złamawszy ich serca w „Duchu", Swayze czuje, że znalazł się w ślepym zaułku. Choć ten mężczyzna o twarzy dziecka na to nie wygląda, ma już czterdziestkę i po dziurki w nosie ról mocnych facetów o złotym sercu. By zmienić ten wizerunek, zagrał rozczarowanego życiem lekarza-alkoholika, w filmie „City of Joy". Zdaje sobie sprawę, że wyłożył wszystkie karty na stół, a stawką jest jego kariera.
***Lawrence Linderman** rozmawiał z Patrickiem Swayze na 5-akrowym rancho położonym na północ od Los Angeles. Posiadłość należy do Patricka i jego żony – tancerki Lisy Niemi. Linderman relacjonuje: „Chyba nie będzie to wielką niespodzianką, jeśli powiem, że Swayze jest niezwykle uczuciowy i impulsywny. Śmieje się, krzyczy, ba, nawet płacze. Jednak największym zaskoczeniem było odkrycie, że ten facet jest klasycznym przypadkiem człowieka sukcesu, który osiągnął więcej niż oczekiwał. Swayze musi zwyciężać – zwyciężać w wielkim stylu i we wszystkim co robi. Być może udowodni, że należy do tej samej ligi aktorów, których podziwia. Ale jeżeli mu się to nie uda, to na pewno nie dlatego, że nie próbował."*

1.

PLAYBOY: Magazyn „People" ogłosił cię najbardziej seksownym mężczyzną na świecie. Poprzednio ten sam tytuł nadało ci czasopismo „Us". Jak się czujesz w roli bożyszcza kobiet?

Idol amerykańskich kobiet mówi o męskiej gwałtowności, blaskach i cieniach pracy w Hollywood, a także o recepcie na małżeństwo doskonałe

SWAYZE: To dobre dla kariery, ale może przewrócić w głowie. Jeśli uwierzysz w to choćby przez sekundę, jesteś martwy. Chciałbym znaczyć coś jako aktor, mieć pewność, że mój sukces polega na czymś więcej niż tylko na kręceniu tyłkiem w *Dirty Dancing*. Poszukuję wartości duchowych. Dokąd mnie to zaprowadzi? Jak daleko mogę zajść? Gdzie są nasze emocjonalne granice? Z biegiem czasu coraz częściej dochodzę do wniosku, że w ogóle nie istnieją. Najważniejszą rzeczą, której się nauczyłem jest to, że wciąż muszę się doskonalić, bo zawsze istnieje jakiś wyższy poziom wtajemniczenia, na który muszę się wspiąć, żeby zgłębić graną postać, wczuć się w scenę, zrozumieć samego siebie jako aktora.
Hollywood jest najbardziej zadufanym w sobie miejscem na ziemi. Jeżeli dasz się wciągnąć w to środowisko, zaczynasz robić filmy dla siebie i nagle okazuje się, że filmy te nie zdają egzaminu. Zawsze będzie to swego rodzaju „intelektualna masturbacja", chyba że reżyser posiada wyjątkowy dar przyciągania widza.

2.

PLAYBOY: Sądzisz, że udało ci się uwolnić od tego typu filmów?
SWAYZE: Na początku bierzesz to co jest. Jeżeli rola pozwala ci zabłysnąć, grasz ją. Moim pierwszym filmem było *Skatetown*. Uznałem go za szansę wejścia w środowisko. Krytyka zniszczyła film, co nie było niespodzianką, ale jeden z recenzentów – Kevin Thomas z „Los Angeles Times" – oszalał na moim punkcie. Nigdy tego nie zapomnę. Jego artykuł zaczynał się tak: „Od czasów, kiedy Valentino tańczył tango w *Czterech Jeźdźcach Apokalipsy*, nie mieliśmy okazji oglądać męskiego seksualizmu demonstrowanego z taką pewnością siebie. Patrick Swayze po prostu „płonie" w tej roli."

3.

PLAYBOY: Wychowałeś się w Houston. Jakie są plusy i minusy bycia Teksańczykiem?
SWAYZE: Przez wiele lat rywalizowałem z innymi. Trwało to tak długo, że teraz nienawidzę swoich wspomnień. Nie oglądam już sportów gladiatorskich, takich jak futbol, i nie bawi mnie gra w zabijanie. Pozbyłem się tej części teksańskiej mentalności.
W młodości przepełniał mnie gniew wynikający z braku akceptacji samego siebie. Od czasów przedszkolnych aż po szkołę średnią dokuczano mi, bo byłem inny. Mój ojciec był szanowanym kowbojem z małego miasteczka na enklawie, który zakochał się w wyjątkowo utalentowanej dziewczynie z wielkiego miasta Houston. Moja matka była i jest choreografem, już wtedy prowadziła swój własny zespół baletowy. Patsy Swayze była pierwszą damą tańca i teatru w Houston. To do niej zwracano się, kiedy chciano wystawić przedstawienie. Mama była bardzo ważną postacią w artystycznym życiu miasta.

4.

PLAYBOY: Czy dokuczano ci z powodu tego, czym zajmowała się twoja matka?
SWAYZE: Nie, ale z powodu tego czym ja się zajmowałem, a więc tańca i gry na skrzypcach. Dzieciaki szeptały na mój temat. Raniło mnie to do żywego. Nie miałem obsesji, by dorównać innym i stąd brał się mój młodzieńczy gniew, kiedy próbowałem uświadomić sobie kim naprawdę jestem. W szkole średniej niektórzy ze starszych chłopców zaczęli mnie prowokować: „Co tam niesiesz w torbie, Swayze? Baletki? Gitarkę czy skrzypeczki? Tylko dziewczyny grają na skrzypcach!" Zaliczałem średnio jedną bójkę tygodniowo. Oni nie rozumieli, że doprowadzało mnie to do pasji, a już na pewno nie wiedzieli, że trenowałem walki wschodnie. Szkoła teatralna mojej matki była w tym samym budynku, w którym mieściła się akademia sztuki walk. W związku z tym mama zawarła umowę: w zamian za umożliwienie ćwiczeń baletowych studentom akademii, w celu osiągnięcia giętkości i kontroli własnego ciała – jej studenci mogli uczyć się sztuki walk. Zacząłem od judo, potem przyszła kolej na inne dyscypliny: aikido, tae kwon do, shotokan, isshin ryu, kenpo i kung-fu. Nie było moim celem nauczenie się, jak komuś skutecznie przyłożyć, ale stałem się w tym bardzo dobry. Wiele razy udawało mi się trafić w błogi, piękny punkt połączenia z moim *ki* (moim centrum) kosztem czyjegoś dobrego samopoczucia. Podczas walki wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie i bez wysiłku mogłem rozerwać gościa na kawałki, patrzeć na jego wykrzywioną twarz rozdzierając mu usta i łamiąc nos. W końcu pozbyłem się tego uczucia gniewu, bo nienawidziłem robić czegoś takiego innemu człowiekowi. Była to lekcja, którą musiałem powtórzyć wiele razy, zanim sobie powiedziałem : „Dość, nigdy więcej nie rozwalę czyjejś gęby, chyba że w grę będzie wchodziło moje przetrwanie i nie będę miał innego wyboru. To jest złe".

5.

PLAYBOY: Czy kiedykolwiek posłałeś kogoś do szpitala?
SWAYZE: Tak, ale nie chcę o tym mówić. Jeżeli ludzie pomyślą, że jestem twardzielem, mogłoby to znów przysporzyć mi problemów, a żyje mi się bez nich całkiem dobrze.

6.

PLAYBOY: Wygląda na to, że udało ci się osiągnąć coś bardzo rzadkiego w Hollywood: szczęśliwe małżeństwo. Jak poznałeś Lisę?

ZDJĘCIA CATANZARO/MAHDESSIAN

SWAYZE: Spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy byłem asystentem kierownika lodowiska Galleria w Houston. Widywałem ją szwendającą się tu i tam, palącą papierosa, opierającą się o barierkę i zawsze samotną. Nosiła wtedy rozszerzane u dołu jeansy i wyglądała trochę jak włóczęga, ale za każdym razem kiedy rozmawialiśmy, dowiadywałem się od niej więcej niż od innych kobiet, z którymi przedtem byłem. Miałem wtedy 20 lat, a Lisa 15!

Była pierwszą kobietą, której naprawdę mogłem się zwierzyć. Nie należała do tych dziewczyn, które nieustannie szepczą ci do ucha namiętnym głosikiem „Och, Patrick!". Nigdy tego nie lubiłem, a Lisa była inna – nieśmiała i tajemnicza. Kiedy „odkryła" taniec, w pewnym sensie uratowało jej to życie, bo znalazła ujście dla przepełniającej ją wrażliwości. Moja matka nie była zbyt zachwycona tym, że się spotykaliśmy, bo Lisa była jej „cudownym dzieckiem" i mama nie chciała, abym zawrócił jej w głowie.

7.

PLAYBOY: Czy po nakręceniu czterech filmów po kolei: *The Outsiders*, *Uncommon Valor*, *Grandview* i *Red Dawn*, czułeś, że jesteś na dobrej drodze, by stać się gwiazdą?

SWAYZE: Przede wszystkim czułem się doszczętnie wypalony. Dlatego właśnie wróciłem do szkoły aktorskiej. Przez dwa lata harowałem bez wytchnienia i byłem wykończony. Przedtem nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko jest robić filmy. Do tej pory we wszystko angażowałem się w pełni, ale po tak dużym wysiłku moja pasja po prostu się ulotniła. Byłem zbyt zmęczony, by grać dalej.

Poza tym czułem, że nie jestem dość dobry. Bez trudu dostawałem role, ale nie były to role na miarę Oscara. Przyszedł czas, aby podnieść poprzeczkę. Chciałem pracować z Robertem De Niro, Harrisonem Fordem, Dustinem Hoffmanem, z reżyserami o sławie Martina Scorsese. Walka o najlepsze scenariusze nie jest łatwa. Jeżeli pozwolisz doczepić sobie etykietkę idola nastolatków, mało prawdopodobne, że kiedykolwiek wygrasz ten wyścig. Jedyną szansą dla mnie był wówczas powrót do nauki, aby spróbować rozwinąć się jako aktor i dojrzeć jako człowiek.

Potem zacząłem pracować w serialu *Północ-Południe*. Mówiono mi, że robienie filmów dla telewizji to szaleństwo, krok do tyłu, i że wpłynie to negatywnie na moją karierę. Ale rozmach tej opowieści o wojnie secesyjnej oraz pieniądze jakie w nią zainwestowano, przekonały mnie. Okazało się, że miałem rację: ten film sprawił, że moje nazwisko stało się powszechnie znane.

8.

PLAYBOY: Czy blask popularności trochę cię nie oślepił?

SWAYZE: Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę przed tym uciec, bo inaczej nie miałbym szansy robić filmów, które chciałem. Był to mój pierwszy krok w zaakceptowaniu sławy jako sposobu na życie. Poczułem, że zagrałem już w wystarczająco wielu „filmikach" i że w tym zakresie spłaciłem już haracz. Nadszedł czas, żeby zrobić coś znaczącego. Nie miałem dużego wyboru, a jednocześnie bałem się klęski. Chciałem iść jak burza. Raz jeszcze zrobiłem wszystkim na przekór: zagrałem w *Dirty Dancing*.

9.

PLAYBOY: Jakie były zastrzeżenia?

SWAYZE: Wszyscy myśleli, że będzie to lekka, łatwa i przyjemna historyjka. Kiedy przeczytałem scenariusz, dostrzegłem jak duży wpływ może mieć ten film na uczucia ludzi, mimo że był „lekki". Niósł w sobie pewne wartości, które sam wyznaję. Bardzo polubiłem postać Johnny'ego Castle, to byłem trochę ja sam w okresie dojrzewania. Johnny był facetem dyktującym pewien styl, ale był też zły na siebie, bo stał się łakomym kąskiem dla bogatych kobiet, które płaciły, by wskoczyć mu do łóżka. Powoli zamieniał się w męską dziwkę. Ostatecznie, poprzez związek z dziewczyną, odnajduje wiarę w siebie i w to co robi, czyli taniec, który do tej pory uprawiał tylko w „podziemiu". Było tu wszystko, co potrzebne, żeby powstał wspaniały bohater i wspaniały film.

10.

PLAYBOY: Kiedy *Dirty Dancing* wchodził na ekrany, czy podejrzewałeś, że staniesz się jednym z najbardziej kasowych i poszukiwanych aktorów w Stanach?

SWAYZE: Niezupełnie. Byłem rozczarowany, gdy ktoś w telewizji mówił: „A po reklamie zobaczymy jak Patrick Swayze przepycha się i wkręca do historii kina." Przez pewien czas miałem ochotę tylko pić. Nawet nie podejrzewałem, jaki wpływ sława może wywrzeć na mnie i moje życie. Jeżeli nie masz wystarczającego poczucia własnej wartości, wpadasz w pułapkę. Czujesz się tak jakby ktoś zrobił ci paskudny kawał, a całe twoje życie było jednym wielkim kłamstwem. Cały ten szum wokół mnie spowodował, że stałem się cyniczny i zacząłem pić. Kupowałem sobie sześć piw i prawie co wieczór jechałem na Mulholland Drive, żeby się ścigać z facetami. Lisa próbowała mi pomóc, rozmawiała ze mną, ale jeżeli była w tym choć odrobina krytyki, trzaskałem drzwiami i wynosiłem się. To były czasy „szalonego Swayze".

11.

PLAYBOY: Czy poza tym robiłeś coś destrukcyjnego?

SWAYZE: Na przykład narkotyki? Pewnie. Kokaina zmieniła moje życie w prawdziwe piekło. Zamykałem się w pokoju, bo nie mogłem znieść towarzystwa. Inni zażywali kokę i świetnie się bawili. Ja tak nie umiałem. Trwało to w sumie może sześć miesięcy, na przestrzeni kilku lat. Przeważnie brałem na planie. Ale kokaina, amfetamina i inne prochy nic mi nie dawały. Nienawidziłem tego braku uczucia kontroli nad sobą i niemożności sklecenia jednego zdania. Pozwoliłem sobie na zrujnowanie organizmu tylko do pewnego stopnia. Nie po to przez lata budowałem karierę, aby zniszczyło ją coś tak głupiego. Jeśli już, wolałbym raczej odejść z hukiem, żeby potem pisano: „Swayze ginie w wypadku samochodowym".

12.

PLAYBOY: Dlaczego miałeś tak ambiwalentny stosunek do bycia gwiazdą?

SWAYZE: Kiedy boisz się, że nie jesteś wystarczająco dobry, by osiągnąć to co chcesz, a mimo to idziesz do przodu, to świetnie! Ale jeżeli zwyciężasz, musisz wiedzieć dlaczego: zwyciężyłeś, bo wierzyłeś w siebie, a nie dlatego, że jesteś lepszy od pozostałych. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, moje życie stało się łatwiejsze.

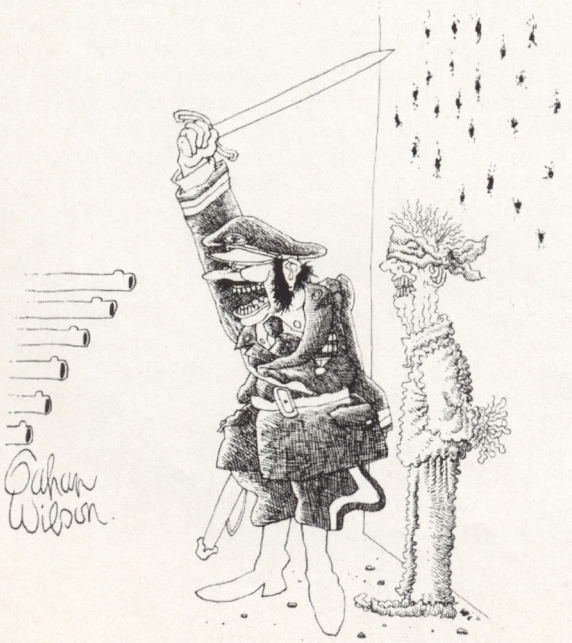

No dobra, teraz już na poważnie!

1993
spring-summer
COLLECTION

bermuda triangle

PART OF THE ART

swatch
SCUBA 200

SWISS made

PRZEDTAWICIELSTWO
SWATCH A.G. W POLSCE:
Baltic Company,
ul. Postępu 18, 02-676 Warszawa

BELLA DENT s.c.

KOMFORTOWA POLSKO-WŁOSKA KLINIKA STOMATOLOGICZNA

Warszawa, Al. Wyzwolenia 11

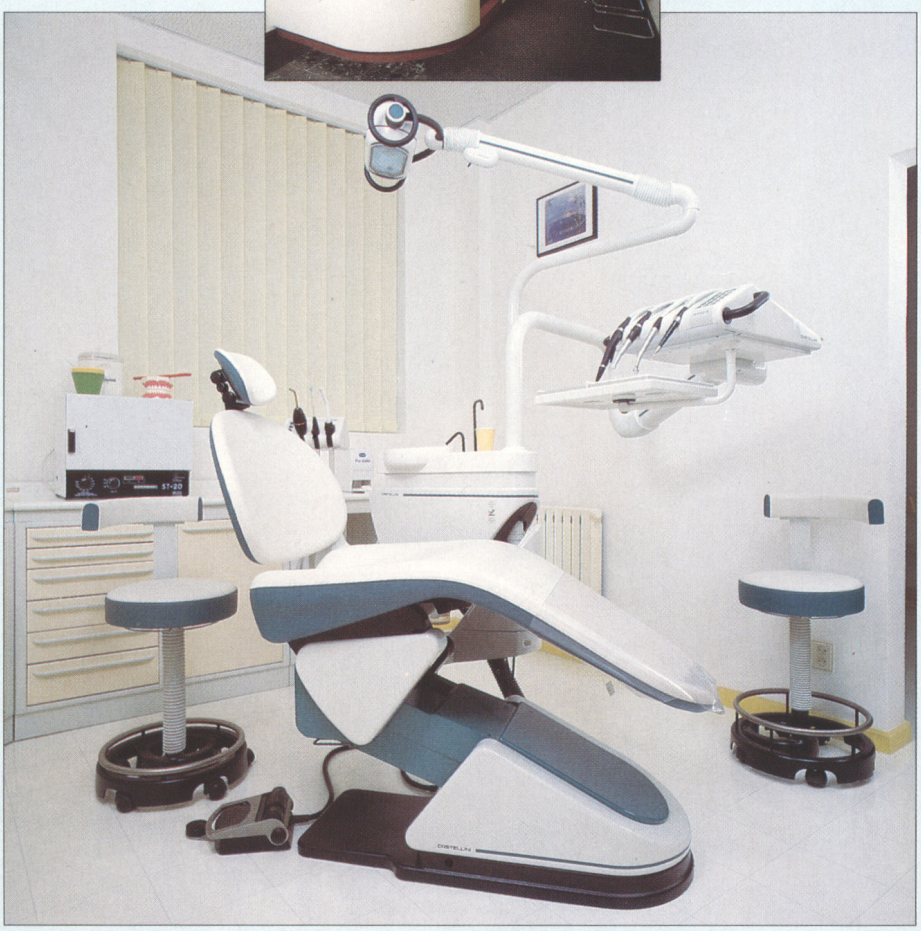

OFERUJE:

Nowoczesną profilaktykę • leczenie zachowawcze • chirurgię • mosty i korony porcelanowe • protezy natychmiastowe i bezklamrowe • leczenie i usuwanie w narkozie • ortodoncja • leczenie chorób przyzębia • wybielanie zębów.

Tel. 625-35-09, pon.-sob. 8.00-20.00

Serdecznie zapraszamy również dzieci

13.

PLAYBOY: Czy odnosi się to również do twojej kariery? Przecież w ślad za *Dirty Dancing* pojawiły się dwa filmy, które były artystyczną i finansową klapą – *Wykidajło* i *Next of Kin*.

SWAYZE: Wszyscy oczekiwali, że *Wykidajło* będzie hitem, jednak nie był. Mimo to zwrócił się i nawet przyniósł pewien zysk. Uciekłem od tego filmu i *Next of Kin*, rozpaczliwie szukając roli, która sprawiłaby, że ludzie wychodzący z kina poczują, że życie jest piękne, ale w tym celu musiałem wyjść z roli faceta zadowolonego z życia. Wtedy Lisa i mój agent pokazali mi scenariusz *Ducha*. Kiedy skończyłem go czytać, miałem naprawdę łzy w oczach.

14.

PLAYBOY: Słyszałem, że kiedy reżyser Jerry Zucker dowiedział się, że chcesz to zagrać, powiedział: „Po moim trupie". Jak sądzisz, dlaczego tak zareagował?

SWAYZE: [*Śmieje się*] Widział *Wykidajłę*.

15.

PLAYBOY: Jak zatem udało ci się go przekonać?

SWAYZE: Zadzwoniłem po niego i powiedziałem: „Daj mi szansę. Wpadnę i przeczytam ci tę rolę. Przelecę cały scenariusz u ciebie w biurze. Jedyne, na co się nie zgadzam to zdjęcia próbne". Zapytał, dlaczego nie chcę zdjęć. Odpowiedziałem, że praca znaczy dla mnie zbyt wiele i nie pozwolę nagrywać połowy filmu na taśmę tylko po to, żeby on mógł to komuś pokazać.

16.

PLAYBOY: Czy wiedziałeś, że Whoopi Goldberg zagra z tobą w *Duchu*?

SWAYZE: Nie. Ale kiedy już dostałem rolę, walczyłem żeby to była ona. Mówiło się o Tinie Turner, Oprah Winfrey i wielu innych, ale ja chciałem pracować z Whoopi, bo nadawała się idealnie. Jerry i ja polecieliśmy do Alabamy, gdzie kręciła *The Long Walk Home*, aby z nią porozmawiać. Między mną a Whoopi nawiązała się specyficzna więź. Po powrocie zadzwoniłem do niej tylko po to, żeby powiedzieć, że rolę tę dostanie ktoś inny po moim trupie.

17.

PLAYBOY: Spodziewałeś się, że *Duch* będzie jednym z największych przebojów w historii Hollywood?

SWAYZE: Podejrzewałem, że pójdzie nieźle, ale nie, że zarobi pięćset milionów dolarów. *Duch* skupia w sobie wiele różnych gatunków filmowych: trzymający w napięciu thriller, romantyczną komedię, historię przyjaźni ducha z jasnowidzącą, a może nawet science-fiction biorąc pod uwagę efekty specjalne.

Na etapie *Ducha* bycie gwiazdą już mnie nie przerażało. Najistotniejsze było to, że zacząłem dostawać lepsze scenariusze. Brano mnie pod uwagę przy kompletowaniu obsady do najważniejszych projektów. Wreszcie znalazłem się w czołówce.

18.

PLAYBOY: Skoro tak, to dlaczego zagrałeś potem małą rólkę złodzieja w filmie *Na fali*?

SWAYZE: Szczerze mówiąc, bo dało mi to szansę uzyskania licencji spadochroniarza i uprawiania surfingu na najwyższych falach świata. Świetnie się bawiłem. Przez lata umierałem wprost z chęci zagrania w czymś takim jak na przykład *Człowiek-słoń*, wcielenia się w postać, która nie zależałaby od mojego wyglądu i siły fizycznej, a jedynie od moich umiejętności aktorskich. Rola Bodhiego – mistrza surfingu z ciałem pokrytym bliznami, długimi włosami i skórą zniszczoną przez słońce – była bliska tym marzeniom. Zadawałem sobie pytanie: „Co pomyślą ludzie, kiedy zobaczą mnie w drugoplanowej roli łotra? Mogę za to oberwać". Tymczasem okazało się, że był to całkiem trafny, choć przypadkowy wybór. Dostałem wiele pozytywnych sygnałów od widzów, którym naprawdę podobała się postać Bodhiego.

19.

PLAYBOY: Dzięki *Duchowi* trafiłeś na szczyt. W jaki jeszcze sposób ten film zmienił twoją pozycję w Hollywood?

SWAYZE: Zaczęto mówić, że Patrick Swayze potrafi pociągnąć film i że ludzie chcą jego filmy oglądać – tak też uważały wielkie wytwórnie.

Znalazłem się w wymarzonym punkcie a jednocześnie w tym samym, w którym byłem zawsze – szukałem czegoś co za wszelką cenę warto zrobić. Przez wiele miesięcy czytałem co najmniej dziesięć scenariuszy tygodniowo i byłem coraz bardziej sfrustrowany. Wtedy właśnie dostałem scenariusz *City of Joy*. Był to film, w którym po prostu musiałem zagrać. Opowiada o wyzbytym wszelkich złudzeń lekarzu, który jedzie do Kalkuty w poszukiwaniu prawdy. Jest zafascynowany życiem w sercu jednego z najbardziej przerażających miejsc na ziemi. W gruncie rzeczy film przemienia się w epicką opowieść o ludzkiej godności. Postać lekarza – młodego mężczyzny próbującego uciec od samego siebie, ponieważ dostrzega w sobie negatywne cechy – wciągnęła mnie bez reszty. Okres kręcenia tego filmu mogę określić jako najsmutniejsze pięć miesięcy w moim życiu. To co wtedy zobaczyłem, nie mieści się w wyobraźni Zachodu. Jak ludzie mogą żyć w tak przerażającej biedzie, która zmusza ich do sprzedawania części własnego ciała, żeby mogli wyżywić rodzinę? To niepojęte, że wciąż potrafią się uśmiechać i podzielić się z tobą ostatnią miską ryżu. Reżyser Roland Joffe nakręcił film w Indiach, aby ukazać godność i siłę tego narodu. Myślę, że *City of Joy* zmieni życie wielu osób. Moje zmienił.

20.

PLAYBOY: Powiedziałeś, że chciałbyś stanowić kombinację Brando, Deana i De Niro. Ostatnio dołączył do nich Spencer Tracy. Jeszcze ktoś?

SWAYZE: Zawsze mówiłem o Brando, De Niro i Tracym. Również o Johnie Gielgudzie i Laurence Olivierze. Nie chcę być zarozumiały ani też umieszczać siebie na równi z nimi, ale to moje największe pragnienie. Marzę więc o rzeczach niemożliwych i sądzę, że jeżeli uda mi się osiągnąć je choć w połowie, to już bardzo dużo.

DOBRA HISTORYJKA

(ciąg dalszy ze str. 47)

„Nie przestając się uśmiechać, wyciągnęła rękę w przepraszającym geście i dotknęła koniuszkami dwóch pomalowanych na czerwono paznokci wierzchu jego dłoni."

W spodniach koloru khaki, sandałach z rzemyka i jasnoniebieskiej bluzce, ze skórzaną torbą na ramieniu wyglądała niczym wyobrażenie luksusowego projektanta mody o korespondentce zagranicznej. Dysonans wprowadzały jedynie duże, ciemne okulary słoneczne: według Leona, tylko Jackie O. mogła nosić okulary Jackie O., nie tracąc swojego statusu. Mimo to, ta kobieta wydawała się sennym marzeniem.

Mężczyzna był inny. Jego szeroki zad opinały sztywne nowe dżinsy. Miał na sobie brązowe sznurowane półbuty do garnituru i zapiętą pod szyję koszulę z długimi rękawami. Mógł być urzędnikiem, profesorem języków klasycznych, bankowcem, ale z pewnością nie pasował do tych gór. Ani do tej kobiety.

Leon podszedł do niej z uśmiechem na ustach, przygotowując w myśli słowa powitania, ale kobieta odezwała się pierwsza, marszcząc brwi, jakby rozmawiała z odźwiernym:

– Co to za miejscowość?

– Ixialta – odparł.

– Wysoka Ixi – powiedziała niespodzianie. Jej głos był nieco szorstki, ale wcale nie nieprzyjemny. – Co to jest Ixi?

– Może jakiś bóg. – Leon nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Mężczyzna poobwieszał się aparatami fotograficznymi. Mrużąc oczy za nasadzonymi na okulary optyczne szkłami słonecznymi, wykrzyknął:

– Popatrz na te gzymsy! Spójrz na te drzwi!

– Widzę, Frank – rzuciła bez najmniejszego zainteresowania, po czym wskazując butelkę piwa w ręce Leona, stwierdziła: – Niezły pomysł.

– Przyniosę pani jedno.

– Przydałby się też cień. – Rozejrzała się wokół.

– Koło baru jest stolik – pokazał palcem. – W cieniu, na powietrzu, może pani obserwować toczące się tu życie.

– Świetnie. – Ruszyli przez rynek, Leon u jej boku. – Dużo się tu dzieje?

– Jak dotąd nic poza pani przyjazdem.

Koło baru, na kocich łbach, w cieniu sąsiadującego z budynkiem kościoła San Sebastian stały dwa okrągłe pomalowane na biało metalowe stoliki, a wokół nich kilka kremowych rozchybotanych krzeseł. Kobieta wybrała stolik bez śpiącego pod nim psa, podczas gdy Leon skierował się do wejścia. Kiedy wszedł, tych kilku gości siedzących w ciemnym i cuchnącym wnętrzu przerwało natychmiast rozmowę, tak jak czynili to zawsze, i milcząc utkwiło wzrok w swoich grubych dłoniach lub bosych stopach. Leon dopił piwo i kupił dwa nowe. Założył podkoszulkę, zapłacił i wyniósł butelki na zewnątrz.

Po drugiej stronie rynku Frank fotografował gzymsy i drzwi. Kobieta zsunęła okulary słoneczne na czubek głowy i studiowała swoją twarz w okrągłym lusterku puderniczki. Miała dobre, szczere, szare oczy, w których było jednak coś zimnego.

– Jestem Leon – powiedział, siadając naprzeciw niej i stawiając obie butelki na stoliku.

– Ruth. – Odłożyła puderniczkę i rozejrzała się po pustym placu. – Piękne miejsce.

– Przyjedź tu w niedzielę – zaproponował.

– Dlaczego? Co tu się wtedy dzieje?

– *Paseo*. – Leon zatoczył ręką duże koło. – Chłopcy chodzą po rynku z tej strony, dziewczęta z tamtej i strzelają do siebie oczami. Schodzą się z różnych stron góry.

– Taniec godowy – stwierdziła, biorąc ze stołu butelkę.

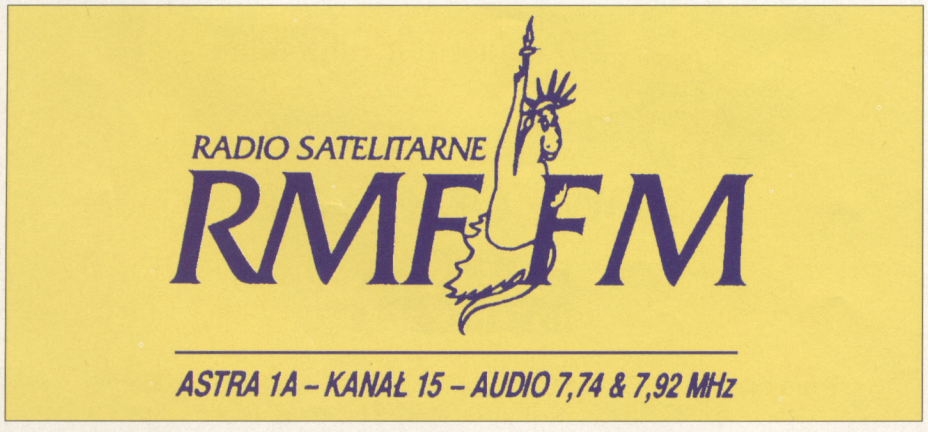

– Tak to robią. – Leon wzruszył ramionami. – Wszyscy indiańscy chłopcy i dziewczęta.

Po drugiej stronie rynku Frank przysiadł w nagrzanym słońcem kurzu i fotografował kamienny stopień.

Ruth piła, odchyliwszy do tyłu głowę, z szyją odsłoniętą i kuszącą. Leona aż korciło, żeby dotknąć jej wargami. Pragnienie to musiało odbić się na jego twarzy, bo gdy odłożyła od ust butelkę, rzuciła mu porozumiewawczy, ale i dystansujący uśmiech.

– Ty nie jesteś Indianinem – powiedziała.

– Jestem sekretarzem Indianina – roześmiał się z własnego żartu.

– Jak to?

– Jest tu jeden bogaty człowiek. Posiada mnóstwo ziemi, ma wszystko, czego chce.

– I tu mieszka? – W jej niedowierzaniu słychać było lekką nutkę drwiny.

– Tu robi pieniądze.

– A więc jest farmerem.

– Sprzedaje zwierzęta.

– Bydło? – Jego odpowiedzi coraz bardziej ją irytowały, zaczynała się nudzić.

– Nie, nie – zaprzeczył Leon. – Dzikie zwierzęta. Jaime-Ortiz sprzedaje je do zoo, cyrków oraz treserom na całym świecie. Dlatego potrzebuje sekretarza, kogoś, kto napisze mu listy po angielsku, dogada szczegóły transakcji.

Wyglądała, jakby budziło to w niej lekką odrazę.

– Jakiego rodzaju zwierzęta?

– Różne. Cały ten rejon wokół: Peru, Boliwia, Paragwaj, to ostatnie, największe tereny dzikiego zwierza. Mamy pumę, jaguara, różne gatunki małp, lamy, węże...

– Uuch – wzdrygnęła się. – Jakie węże?

– Grzechotniki. Anakonda. Boa dusiciel. Mamy teraz w stodole olbrzymiego boa, gotowego do wysyłki.

Napiła się piwa i przeszły ją ciarki.

– Niezbyt przyjemny sposób zarabiania na życie.

– Jaime-Ortiz nieźle sobie radzi – zapewnił ją Leon i uśmiechnął się do tego, czego nie powiedział.

Chyba wyczuwała, że jest coś więcej w tej historii. Patrzyła na butelkę, suwając nią po porysowanym metalowym blacie.

– Domyślam się, że ty też nieźle sobie radzisz – powiedziała.

– Czy wyglądam na takiego, co narzeka?

Zerknęła na niego z ukosa.

– Nie – odparła powoli i z namysłem. – Wyglądasz na zadowolonego z siebie.

Czyżby stroiła sobie z niego żarty?

– To interesująca praca. Bardziej niż ci się wydaje – powiedział lekko obronnym tonem.

– Jak ją dostałeś? Odpowiedziałeś na ogłoszenie?

Leon uśmiechnął się, odzyskując pewność siebie.

– Jaime-Ortiz nie daje ogłoszeń. Nie chce, żeby ktoś nieznajomy wtykał nos

w jego sprawy.

– A więc znałeś go wcześniej?

– Nie jego, kogoś po drugiej stronie interesu. No wiesz, układy rodzinne.

– Wujka – powiedziała i uśmiechnęła się, pokazując wszystkie zęby, jakby był dzieckiem, przy którym nie trzeba pamiętać o odpowiednim wyrazie twarzy.

– Niech będzie wujka – powiedział, teraz naprawdę już poirytowany. – To niekoniecznie robi ze mnie bratanka.

Nie przestając się uśmiechać, wyciągnęła rękę w przepraszającym geście i dotknęła koniuszkami dwóch pomalowanych na czerwono paznokci wierzchu jego dłoni. Paznokcie lekko wbiły się mu w skórę.

– Nie wściekaj się. To był żart.

Frank ze swoimi aparatami nadal sterczał po drugiej stronie rynku. Leon odwrócił dłoń i zamknął na jej palcach, delikatnie je ściskając.

– Lubię żarty – powiedział.

– Treser dzikich zwierząt. – Cofnęła rękę. – Zabawa w zoo szybko by mnie znudziła.

– Jest jeszcze coś lepszego. – Nagle podenerwowany wypił duszkiem piwo, a kiedy odłożył od ust butelkę, poczuł na sobie wzrok kobiety.

Jakiś instynkt ostrożności kazał mu się zawahać. Ale przecież na Angielkach zrobił wielkie wrażenie. A zresztą, czy to coś zmieni, jeśli jej powie? Obcy przyjeżdżali i odjeżdżali, zapominając samą nazwę Ixialty. Spoglądając w stronę gór, oznajmił:

– Rosną tu również krzaki koki. Wszędzie dookoła.

– Kokaina. – Dotarło do niej, ale po chwili zmarszczyła brwi. – A co na to prawo?

– Tutaj? Chyba żartujesz?

– Nie, w Stanach, po przeszmuglowaniu.

– I to jest najlepsze – powiedział, odsłaniając zęby w uśmiechu. – Widzisz, bierzesz biały proszek. Wkładasz go w foliowe koperty. Wpychasz koperty do gardła małpie.

– Małpie? Ale ona je strawi, ona...

– Nie – przerwał jej Leon. – Bo potem karmisz małpą boa dusiciela.

– Och – westchnęła.

– Nie ma na świecie celnika, który by sprawdził, co jest w małpie, która jest w boa dusicielu.

– Ja bym nie sprawdziła.

– Boa musi połknąć żywą małpę. – Ucieszył się widząc, jak rozszerzają się jej oczy. – Wąż potrzebuje siedmiu dni, żeby strawić małpę, ale już po dwóch jest u Wilkinsona, pośrednika handlu dzikimi zwierzętami na Florydzie. – To była tak dobra historyjka, że śmiał się z niej za każdym razem, kiedy ją opowiadał. – Jak to ludzie mówią, najważniejsze jest opakowanie.

– Tak. – Wyraz jej twarzy stał się nagle nieprzenikniony. Wstała, odwróciła się i zawołała:

– Frank! Frank!

– Słuchaj, eee... – zaczął Leon.

– Chwileczkę – przerwała mu. Była opryskliwa i zasadnicza, zupełnie inna niż jeszcze przed chwilą.

Leon uniósł się z krzesła zbity z tropu, kiedy Frank zbliżał się do nich, przytrzymując aparaty obiema rękami.

– Słucham?

– To on – oznajmiła Ruth, wskazując Leona ruchem głowy.

Frank wyglądał na zdziwionego.

– Jesteś pewna?

– Właśnie mi to opowiedział.

– No, no, poszło całkiem szybko – zdumiał się Frank. Jego sposób bycia również nagle się zmienił: był mniej rozluźniony, a bardziej pewny siebie. Zaciskając dłoń w pięść, podszedł do Leona. Leon był tak zaskoczony, że nawet nie uchylił się przed ciosem.

•

Ktoś szarpnął go za włosy. Leon podskoczył próbując wstać, ale nie mógł się ruszyć, szorstki powróz przytrzymywał go na krześle. Otworzył oczy. Przed nim stał Jaime-Ortiz z Paco i kilku innymi pracownikami. Znajdowali się w dużej stodole, w której powietrze zawsze było chłodne, przepełnione odorem zwierząt, a ubite klepisko znaczyły krzyżujące się ślady miotły.

Pod ścianą na drugim końcu stodoły stały oświetlone słabymi żarówkami klatki, tylko kilka z nich było zajętych. Rudy wyjec o szerokich barach, wielkości połowy człowieka siedział tyłem do wszystkich, okręciwszy niedbale łysy koniuszek długiego ogona wokół dolnego prętu. Obok złoty guanako, położywszy delikatne uszy po sobie, wierzgał nerwowo, przewracając oczami. Dalej od światła olbrzymi, chudy boa, bladobrązowy z ciemniejszymi poprzecznymi pasami unosił swój łuskowaty łeb prawie metr nad ziemią i odsłaniał żółte podbrzusze, obserwując przez pręty i druty wszystko, co się ruszało.

– Jaime? – Leon targnął powrozem. Poczuł zakrzepłą krew w ustach i ostre pieczenie wokół napuchniętych warg. – Jaime? Co...

– Rozczarowałem się do ciebie, Leon – odezwał się Jaime-Ortiz. Był dużym, tęgim mężczyzną o szerokiej, nalanej twarzy i wodnisto–brązowych oczach, które mogły być tak ciepłe jak oczy guanako lub tak zimne jak głaz. – Ty – powiedział, wskazując Leona grubym, krótkim paluchem – jesteś dla mnie prawdziwym rozczarowaniem. – Potrząsnął smutno głową.

– Ale co ja... Co ja...

– Krążą różne historyjki – przerwał mu Jaime-Ortiz. Poruszał palcami obu rąk nad głową, jak człowiek próbujący pokazać ptaki w locie. – Ktoś rozpowiada o naszym interesie, Leon. Twoim i moim. Wpycha nas, ciebie i mnie, w kłopoty.

– Jaime, proszę...

– Nagle – ciągnął Jaime-Ortiz – agenci od narkotyków zjawiają się u naszego przyjaciela Wilkinsona z papierem od sędziego.

– Och, Boże. – Leon zamknął oczy i oblizał poranione usta. Powróz był bardzo mocno związany, prawie stracił czucie w rękach i stopach.

– Kto mógłby wpychać w kłopoty ciebie i mnie, i Wilkinsona? No, Leon? Kto?

Nie otwierając oczu, Leon poruszył głową w tył i w przód.

– Przepraszam, Jaime. Przepraszam.

– Przyjaciele w Nowym Jorku pytają mnie o to – kontynuował Jaime-Ortiz. – Odpowiadam im: to nie ja, to nie Leon, to nie Paco. My wszyscy mamy za dużo do stracenia. Mówią, że przyślą mi tu kogoś, żeby się rozejrzał, zobaczył, kto lubi opowiadać historyjki.

– Jaime, ja nigdy, nigdy...

– Wiem, wiem – przerwał mu Jaime-Ortiz. – Nie możesz tu dłużej zostać, Leon. Muszę cię odesłać do Stanów.

Leonowi zaświtała nadzieja. Popatrzył na Jaimego-Ortiza.

– Jaime, obiecuję, nie powiem ani słowa. Nigdy...

– Oczywiście, że nie – zapewnił go Jaime-Ortiz. – Już nigdy nic nie powiesz. Nie po tym, w jaki sposób wyślemy cię do Stanów.

Leon zrozumiał, kiedy zobaczył, jak Paco zbliża się do niego z foliową kopertą w ręce.

– Otwórz szeroko usta – polecił Paco.

Przełożyła **Ewa Kulik-Bielińska**

MARIA VENUS
WYSYŁKOWY DOM
ARTYKUŁÓW EROTYCZNYCH
Wysyłamy komplet informacji o artykułach erotycznych w postaci dwóch najnowszych, zachodnich, kolorowych katalogów ze zdjęciami, opisami i cennikiem w języku polskim – „INVERMA", „DELTA" – mogących rozwiązać najskrytsze i trudne problemy związane z erotyką i seksem. Płatne przy odbiorze 41 000 zł.
Polecamy:
• Aparat do masażu piersi 298 000 zł
• Tabletki „Mammoform" powiększające i ujędrniające piersi:
50 tabletek – 180 000 zł
250 tabletek – 350 000 zł
• Krem „Mammoform" powiększający i uelastyczniający piersi –189 000 zł
• Drażetki „Dragees Bonnies" usuwające szybko zmęczenie i stres, wzmagające potencję. Rewelacja dla zmęczonych kierowców – 298 000 zł
Preparaty wolne od hormonów i skutków ubocznych!
ZAMÓWIENIA LISTOWNE LUB TELEFONICZNE NA KATALOGI, AKCESORIA, ŚRODKI STYMULUJĄCE PRZYJMUJE I WYSYŁA SZYBKO, DYSKRETNIE:
MARIA VENUS
80-299 Gdańsk 38
tel./fax: (0-58) 52-72-58

STANISŁAW TYM

(ciąg dalszy ze str. 33)

„Jestem zwolennikiem demokracji. A że samozwańczo... zawsze bierze się władzę samozwańczo"

PLAYBOY: Dlaczego Pan odszedł?

TYM: W prokuraturze oskarżono mnie o niegospodarność i zapowiedziano, że jeszcze jeden taki wypadek i mnie wsadzą.

PLAYBOY: Jaki wypadek?

TYM: Zaangażowałem aktorkę, która nie podobała się panu prokuratorowi.

PLAYBOY: A prokurator się na tym znał?

TYM: Nie ma znaczenia. Mógł mnie wsadzić przy następnej, która by mu się nie spodobała. Wolałem nie ryzykować.

PLAYBOY: Czy pisząc scenariusz do filmu *Rozmowy kontrolowane* nie obawiał się Pan, że żartobliwe przedstawienie stanu wojennego może urazić ludzi, którzy w tamtych latach byli prześladowani i siedzieli w więzieniach?

TYM: Sądzę, że należało nakręcić taki film jeszcze ostrzej i śmieszniej.

PLAYBOY: Co jest największą patologią obecnego życia w Polsce?

TYM: Brak elit. Trzeba mieć wzorzec, z którym człowiek mógłby się identyfikować. U nas wszystko jest puszczone na żywioł. Społeczeństwo jest zagubione. A sprytni politycy wykorzystują to zagubienie w sposób niezwykle dotkliwy i cyniczny.

PLAYBOY: Jak Pan myśli, czy mamy w Polsce instytucje i sprawy, z których żartować nie można?

TYM: Nie znam instytucji, z której nie można by żartować. Szczerze mówiąc, nie znam też takich sytuacji, z których nie można by trochę pożartować. Nawet jeśli są poważne lub przykre, też można, byle finezyjnie i umiejętnie.

PLAYBOY: Czy jest Pan specjalnie przywiązany do jakiejś roli filmowej? Może do tego kaowca z *Rejsu*?

TYM: Nie, nie ma takiej roli. W filmach, w których grałem, najczęściej przedstawiałem pewnych siebie prymitywów albo rozkosznie zadowolonych aparatczyków.

PLAYBOY: Kto Pana najsilniej ukształtował, kogo Pan najbardziej cenił i może wciąż jeszcze ceni?

TYM: To Jerzy Dobrowolski. Poza osobistym urokiem i wdziękiem, jaki w sobie miał, spośród wszystkich, których znałem, był jedynym prawdziwym profesjonalistą. Zresztą do dzisiaj – kiedy coś piszę – zawsze czytam to potem z myślą o Jurku, o tym co on by powiedział. To już nawyk. Wprawdzie Jurek często kpił ze mnie, nawet w sposób dotkliwy, ale to była wspaniała nauka. Gdy będę autoryzował ten wywiad, też będę o Nim myślał, że patrzy na mnie z góry i mówi: „Oj Stasiu, Stasiu... Takie knoty puszczasz..."

PLAYBOY: Panie Stanisławie, jako autor sztuk dramatycznych musi Pan pamiętać cenzurę. Sądzi Pan, że jakiś były cenzor pamięta jeszcze Pana i to, co musiał zrobić z Pana pomysłami?

TYM: Z cenzorami stykałem się często w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza gdy zostałem kierownikiem STS-u i z tej racji po prostu miałem z nimi stały kontakt. Pamiętam jedno dość zabawne wydarzenie i wierzę, że pamięta je także mój cenzor. Był marzec 68 roku. Ukończyłem właśnie pisanie sztuki *Kochany panie Ionesco*. Poszedłem z nią do cenzury akurat 8 marca. Umówiłem się na ten dzień, to przyniosłem. Tam patrzyli na mnie jak na kompletnego idiotę. Cenzor nazywał się Rusinow. Mówi do mnie: „Ja wam coś powiem. Umówmy się, że was tu dzisiaj w ogóle nie było. Po prostu. Nie było was i już. Widzicie co się dzieje?" „No, ale – mówię – przecież się umawialiśmy, że dzisiaj przyniosę...". „Współczesna sztuka?" – pyta. „Współczesna"– odpowiadam. „No, to posiedzicie sobie nad nią jeszcze, popracujcie." Nie dałem jednak za wygraną i zostawiłem ją do ocenzurowania. Przyszedłem za jakiś czas, już po wydarzeniach marcowych i wszystkich aresztowaniach, a cenzor wita mnie kordialnie w drzwiach: „Towarzyszu Tym..."

PLAYBOY: To jednak był Pan w partii?

TYM: Nie. Oni wszystkim mówili „towarzyszu". „Towarzyszu Tym, siadajcie, może herbaty? Przeczytałem tę waszą sztukę *Kochany Panie Ionesco* i muszę wam powiedzieć, że bardzo się rozwinęliście. Bardzo. Do tej pory jakieś skeczyki, pioseneczki, a tutaj cała sztuka i to do tego piekielnie śmieszna! Ja sobie pozwoliłem żonie dać do przeczytania. Konała ze śmiechu. Tak, kawał dobrej roboty. No tak, ale wróćmy do naszych spraw. Mamy tutaj sztukę *Kochany panie Ionesco*. I cóż możemy o niej powiedzieć? Otóż my nie chcemy, żeby ta sztuka była grana, towarzyszu Tym. Jest ona zbyt pesymistyczna i jednostronna. Ona ma w sobie pewien żart, owszem, ale świadczy źle o naszym ustroju. No bo jak wy zadajecie pytanie, czy może być socjalistyczny zeszyt w kratkę, to wy kpicie sobie z samego słowa socjalizm." I powiedział, że sztuki nie puszcza. Rzecz oparła się aż o wydział kultury KC i w końcu sztukę zwolniono. Była grana kilkaset razy. To był chyba rekord STS-u.

PLAYBOY: To ma Pan piękny opis walki o nowy ład i działalność antyustrojową.

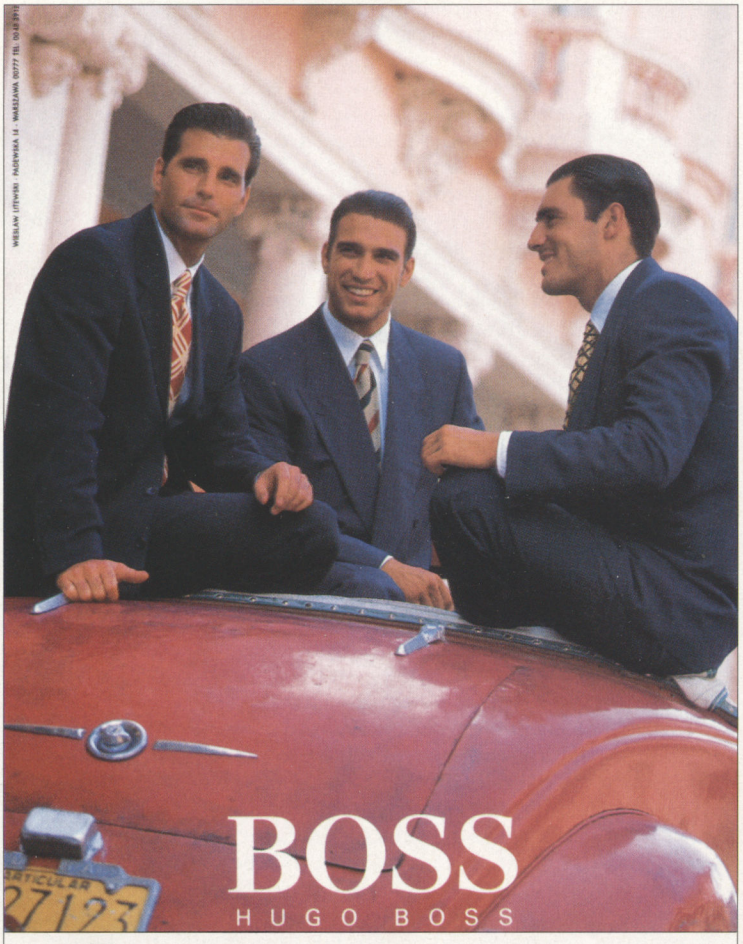

ZEPPELIN
00-061 WARSZAWA
ul. Marszałkowska 140
tel. 26-81-50

TYM: Nie. STS bił się wyłącznie o ludzką twarz socjalizmu. Myśmy przecież nie proponowali zmiany ustroju, gospodarki rynkowej, systemu wielopartyjnego i ogólnie dostępnych paszportów oraz zniesienia cenzury. Nie. Dwadzieścia pięć lat temu to były mrzonki. Myśmy chcieli, aby socjalizm w Polsce był uczciwy.

PLAYBOY: Ogłosił się Pan samozwańczo rzecznikiem prasowym społeczeństwa. Czy jest Pan wrogiem demokracji?

TYM: Jestem zwolennikiem demokracji. A że samozwańczo... Zawsze bierze się władzę samozwańczo. Państwo sądzicie, że Lech Wałęsa został przywódcą strajkowym w Stoczni po podliczeniu głosów przez komisję skrutacyjną? Poza tym, znam przypadek posła, który otrzymał tylko trzysta głosów. O tysiąc sto mniej niż ja dostałem listów od telewidzów w sprawie przywrócenia „Psa, czyli kota" – programu, w którym ogłosiłem się rzecznikiem.

PLAYBOY: A kto Panu zdjął ten program?

TYM: Prezes Terlecki.

PLAYBOY: Co zdecydowało o tym, że przyłączył się Pan do ruchu działającego na rzecz referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej?

TYM: Wydaje mi się, że nie jest normalne, by ktoś decydował za innych o tym, co mają robić, jak myśleć i postępować, co jest ważne, a co nie. Robiono nam pranie mózgów przez tyle lat, a teraz znowu się to robi, tyle że innym proszkiem. Ale pranie pozostaje praniem. Nie jestem przeciwny ani religii, ani Kościołowi, ale jeśli traktuje się je instrumentalnie, to jest to obrzydliwe. W każdym razie moja wieś podpisała listę zwolenników referendum. Nawet starsi ludzie podpisali.

PLAYBOY: A co na to wasz proboszcz, nie zerwał z Panem stosunków?

TYM: Nie, stosunki mamy sympatyczne. Na wsi życie jest bardziej normalne.

PLAYBOY: Czy pamięta Pan coś z wykładów chemii, którą studiował Pan na politechnice?

TYM: Chyba pamiętam. Spróbujmy.

PLAYBOY: C_2H_5OH?

TYM: Też coś, o alkohol mnie pytacie?!

PLAYBOY: No właśnie, lubi Pan wypić?

TYM: Lubię.

PLAYBOY: A czy pędził Pan kiedyś sam?

TYM: Tak. W stanie wojennym, w Warszawie. Uważałem za wręcz nieprzyzwoite, że nie można się napić, więc pędziłem, z cukru. Zresztą chyba wszyscy wtedy pędzili.

PLAYBOY: Co Pan na co dzień robi w małej wsi na dalekiej Suwalszczyźnie?

TYM: Piszę. Skończyłem sztukę, teraz piszę scenariusz filmowy.

PLAYBOY: O czym i dla kogo?

TYM: Pierwsze pytanie, na które nie odpowiem. Tajemnica.

PLAYBOY: I ostatnie. Bo na to Pan chyba odpowie: co jest dla Pana najważniejsze w życiu?

TYM: Praca, to znaczy pisanie. Mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, gdy właśnie to robię.

GDZIE TO KUPIĆ

Kupowanie to przyjemność. A przyjemność nie może być zbyt trudno dostępna. PLAYBOY podaje Ci informacje, gdzie kupić rzeczy prezentowane w tym numerze.

STYL, STR. 18
Bielizna Felina: *Felina*, Łódź, ul. Sienkiewicza 85/87, po adresy sklepów dzwoń (42) 36-28-32.

WINDSURFING, STR. 68
Stroje O'Neill i Nike: *Intersport*, Warszawa, ul. Krucza 23/31, po adresy sklepów dzwoń (22) 29-56-25.

ZEGARKI, STR. 79
Jaeger-LeCoultre, **Patek Philippe**, **Longines**, **Corum**, **Blancpain**, **Audemars Piguet** – *La Boutique Suisse*, Warszawa, ul. Chmielna 9, tel. (22) 27-42-06; **Cartier** – *Legic*, Warszawa, ul. Wiejska 20 m 3, po adresy sklepów dzwoń (2) 625-52-34; **Rolex, zamówienia Niklaus Twerenbold** – *Firma Pieśkiewicz*, Warszawa, ul. Chmielna 9, tel. (22) 26-42-92.

Wyłączny dystrybutor w Polsce:
IBL International Brands (Poland) Ltd.
00-828 Warszawa ul. Jana Pawła II nr 11,
piętro XIII, pokój 16
tel. 20-28-21 w. 292, 291, fax 24-95-62

PLAYBOY and RABBIT HEAD DESIGN are marks of and used under license from Playboy Enterprises, Inc. © 1992

(ciąg dalszy ze str. 36)

„Kapitan Medina powiedział swoim ludziom, że mają zniszczyć w My Lai wszystko <<co się rusza, żyje i rośnie, nawet najmniejsze źdźbło trawy>>"

Mike był głęboko religijnym mormonem. Zdobył mistrzostwo szkoły w zapasach w swojej kategorii wagowej i uzyskał pełne stypendium do college'u. Podobnie jak ja dostał wezwanie, gdy liczebność jego klasy spadła poniżej minimum wymaganego do utrzymania odroczeń studenckich.

Mike miał około dwudziestu lat i był najbardziej nieskazitelnym moralnie człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie przeklinał, nie kłamał, nie oszukiwał, nie kradł, ani nie mówił o nikim źle. To zwykle wystarcza, żeby większości ludzi robiło się niedobrze na samą myśl o kimś takim. Z Mikiem też tak było, chociaż wcale nie należał do świętoszków. Był po prostu absolutnie niewinny. I był mormonem. W końcu zaczęło to wkurzać prawie wszystkich. Nienawidzono go za jego czystość – i za to, że próbował nawracać każdą napotkaną duszę na niezmącony biały optymizm Kościoła Świętych Dni Ostatnich.

Tak więc Mike mormon i ja, agnostyk, spędzaliśmy cały wolny od wart czas dyskutując szeptem o książce, która przedstawiała Chrystusa jako nie tak znowu religijnego politycznego rewolucjonistę, i o wpływie tej teorii na wiernych. Zupełnie sobie nie przypominam, co każdy z nas wtedy myślał o tym wszystkim. Pamiętam tylko, że przez pięć dni siedzieliśmy razem w zaroślach na zboczu jakiegoś wzgórza w Wietnamie, czytając tę książkę i od czasu do czasu cicho rozmawiając.

Zresztą jakie znaczenie miało to wszystko?

Nie miałem bladego pojęcia. Ale wiedziałem jedno: kiedy zabiorą nas z tego wzgórza, zapytam Mike'a o Pinkville. Był tam wtedy z Calleyem i resztą.

Śmigłowce przyleciały piątego dnia tuż przed zachodem słońca i zabrały nas do najbliższej bazy ogniowej – prymitywnego przyczółkowego obozu o nazwie LZ Ross, wciśniętego w wylot doliny.

Kiedy tam dotarliśmy, żołnierze z dwóch oddziałów piechoty, prosto z bitwy, brudni, spoceni z wysiłku i ze strachu, stali dookoła w małych grupkach, jedząc z tac kuchni polowej i rozmawiając ze znużeniem. Wojska Północnego Wietnamu okopały się u podnóża gór na południe od nas. Jeden oddział wpadł w zasadzkę. Pogadaliśmy z piechociarzami, przegryźliśmy coś w kuchni i postanowiliśmy uderzyć w kimono.

W środku nie było już miejsca, więc podeszliśmy z Mikiem do zewnętrznego pierścienia bunkrów, wybraliśmy taki, którego góra wyglądała na miękką, rozesłaliśmy nasze peleryny i podpinki – i położyliśmy się na nich.

Z oddali dolatywał zgiełk bitwy. Gdzieś bliżej bateria 155-tek pluła w noc pociskami artyleryjskimi. Ale na wierzchu bunkra było chłodno, czysto, względnie bezpiecznie i widziało się wszystkie gwiazdy.

Właśnie tam Mike opowiedział mi, co zrobili z Billym tamtego dnia w My Lai, zaraz po lunchu.

•

Kiedy zatrzymali się na posiłek przy fatalnym rowie, gdzie Calley zarządził rozstrzelanie dziesiątków cywilów, masakra w Pinkville dobiegała już końca.

Pożywianie się w tym miejscu mogło być trochę nieprzyjemne. Wszędzie leżały trupy. Z rowu dochodziły żałosne, momentami rozdzierające lamenty rannych i umierających. Wcześniej, gdzieś między dziewiątą i dziewiątą trzydzieści, po pierwszym uderzeniu Kompanii „Charlie" na wioskę, porucznik Calley kazał swym podwładnym zebrać pozostałych przy życiu wieśniaków i spędzić ich nad rów. Kiedy ludzi – mówi się, że było tam nie mniej niż dwieście osób, w większości kobiet, dzieci i starców – wtłoczono do rowu, Calley polecił otworzyć do nich ogień. Kilku żołnierzy odmówiło wykonania rozkazu, ale w zupełności wystarczyło tych, którzy nie odmówili.

Dwudziestu paru piechociarzom Calleya rozstrzelanie wieśniaków zajęło piętnaście minut. Jednak przy tak dużej liczbie stłoczonych razem ludzi trudno było o dokładność. Zanim jakąś godzinę później Mike i Billy przysiedli tam ze swymi racjami żywnościowymi, porucznik i jego cyngle ruszyli już dalej. Niedobitki w rowie zaczęły krzyczeć, ciała wielu drgały spazmatycznie, jak to czasem bywa w przypadku ciężko rannych. Musiał być to straszny dźwięk dla ucha, odgłos miotających się ciał, zawodzenie, cała ta agonia w porannym słońcu.

W pewnym momencie, po wieprzowinie i fasoli, ale przed brzoskwiniami, Mike i Billy sprawdzili swoje M-16, podeszli do rowu i zaczęli dobijać tych, którzy jeszcze żyli. Tylko we dwóch, idąc wolnym, równym krokiem wzdłuż dołu śmierci. Tam się jeden rusza. Paf! Tam następny. Paf! Ty weź tego. Paf! Przeszli brzegiem rowu tam i z powrotem.

Potem nie ruszał się już nikt.

Opowieść Mike'a zgadzała się z opowieścią Billy'ego w każdym szczególe, ale usłyszenie jej od Mike'a znaczyło dla mnie coś zupełnie innego.

Był moim najbliższym kolegą w Wietnamie. Zostaliśmy powołani tego samego dnia. Mieliśmy podobną przeszłość: obydwaj pochodziliśmy z rodzin robotniczych, byliśmy sportowcami i mieszkaliśmy na Zachodzie. Przylgnęliśmy do siebie już podczas szkolenia podstawowego w Fort Bliss w Teksasie i trzymaliśmy się razem przez całe zaawansowane szkolenie piechoty w Ford Ord, szkołę skoków w Fort Benning, aż po zaprawę do walki w dżungli w Schofield Barracks na Hawajach. Rozstaliśmy się tylko na cztery miesiące, które Mike spędził w plutonie porucznika Calleya w Kompanii „Charlie", a ja w Primo jako strzelec pokładowy. Kiedy pod koniec kwietnia 1968 roku przeniesiono mnie do Americal Division LRRP, Mike służył tam już od paru tygodni, opuściwszy Kompanię „Charlie" kilka dni po My Lai.

Gdy tak leżeliśmy pod gwiazdami w LZ Ross, po raz pierwszy pojawił się między nami dystans. Mike, Mike, chciałem zawołać, powiedz, że to nieprawda. Ale to była prawda. Tak, tak, tak, potwierdzał każdy szczegół. To wszystko prawda. Tak, mówił, właśnie tak zrobiliśmy, dokładnie to się wydarzyło. „Zachowaliśmy się jak naziści" – powiedział.

Leżeliśmy już na bunkrze prawie godzinę, twarzami do siebie, rozdzieleni paroma workami piasku. Byliśmy obydwaj zmęczeni. Mieliśmy zszarpane nerwy, za sobą pięć długich dni zwiadu, w czasie których nie sypialiśmy zbyt wiele. Kiedy Mike skończył opowiadać, zapadło długie milczenie.

„Nie wiem, stary – powiedział w końcu. – To była po prostu jatka". Przekręcił się na bok i po kilku minutach słyszałem jego spokojny, miarowy oddech. Usnął.

•

Drugi Szpital Wojskowy rozpierał się na czarnej granitowej skale górującej jak monstrualnych rozmiarów krab nad wybrzeżem morskim w Chu Lai. Identyfikował go ogromny czerwony krzyż namalowany na dachu. W dole leżało Morze Południowochińskie, niezbyt daleko, mniej niż dwieście stóp, ale spadek był niemal pionowy. U podnóża skały znajdowała się gładka półka, podczas odpływu szeroka na czterdzieści stóp – nęcący pomost do skoków do wody dla nieświadomych zagrożenia. Krążył tam zdradliwy prąd, porywający czasami nieostrożnych żołnierzy, którzy próbowali udowodnić, że dadzą mu radę.

Szpital dzielił swoje siodło skalne z Klubem Oficerskim Americal Division usytuowanym naprzeciwko, po drugiej stronie szerokiego i głębokiego wąwozu, który separował go od reszty bazy. Późnymi popołudniami na tarasie widać było członków klubu, rozpierających się w bambusowych fotelach i sączących drinki pod markizą z liści palmowych.

Podobno niektórzy oficerowie robili zakłady, ilu żołnierzom uda się wrócić do brzegu.

W tamtych czasach nikt nie przepadał za oficerami. Były wyjątki, ale większość z nas miała swoje osobiste listy tych, których najchętniej zobaczylibyśmy martwych. Lepiej niech giną oni, myśleliśmy, niż ci przypadkowi Wietnamczycy, którzy wpadają nam pod lufę. Komuś, kto nie był w Wietnamie, może być trudno to zrozumieć, ale to prawda. Zazwyczaj im

mniej ci zostało do końca służby, tym chętniej sporządzałeś taką listę – i tym bardziej się ona wydłużała.

Kiedy w ostatnich dniach 1968 roku odnalazłem Michaela Bernhardta, jego lista była bardzo długa. Zaczynała się od Calleya i szła w górę hierarchii, aż do generała-majora Samuela Kostera, dowódcy Americal Division.

Tłumaczyć to może fakt, że Bernie, jak wielu z nas, często zmieniał jednostki. Na koniec wylądował razem z Billym, Mikiem i Gruverem w Kompanii „Charlie", w plutonie Calleya, ale w przeciwieństwie do nich kategorycznie odmówił jakiegokolwiek udziału w masakrze w Pinkville. W nagrodę, z czego zdał sobie sprawę dopiero później, oficerowie Kompanii „Charlie" postanowili trzymać go w polu, dopóki nie zginie.

Od wielu miesięcy dochodziły do mnie pogłoski, że Bernie należał do tych, którzy w Pinkville odmówili wykonania rozkazu Calleya, i cały czas go szukałem. Trudno było go jednak odnaleźć, ponieważ stale był w polu. Wiedziałem już wtedy, że opowieść o masakrze jest prawdziwa. Problem polegał na tym, że trzeba było tego dowieść. Nie miałem wątpliwości, że wojsko będzie się starało ukręcić łeb jakiemukolwiek dochodzeniu. Czy ludzie, którzy opowiedzieli mi, jak było, opowiedzą to samo na oficjalnym przesłuchaniu? Potrzebowałem kogoś, kto nie da się zastraszyć i powie prawdę. Może Bernhardt był tym, kogo szukałem. Na dwa tygodnie przed moim odjazdem do domu odnalazłem Berniego w Drugim Szpitalu Wojskowym. Leżał w łóżku w wygniecionej szpitalnej piżamie, z odsłoniętą klatką piersiową i obydwiema nogami zabandażowanymi po uda, wracając do zdrowia po ciężkim przypadku owrzodzenia tropikalnego. Ma szczęście, że tu jest, powiedział, zwłaszcza że owrzodzenie nie było jego jedynym problemem.

Bernie jeszcze przed Pinkville był znanym rozrabiaczem w Kompanii „Charlie". Dwukrotnie napisał do swojego kongresmena, skarżąc się na poczynania oficerów. W obydwu wypadkach wiadomość o skardze – i o tym, kto ją wniósł – spłynęła w dół.

Potem, kilka dni po Pinkville, oficerowie zaczęli stale wysyłać Bernhardta na szpicę. Kiedy S-2 – wywiad wojskowy – ostrzegł dowódcę kompanii kapitana Ernesta Medinę przed zasadzką, Bernhardt musiał iść w oddziale najbardziej narażonym na wpadkę. Kiedy, zaledwie na cztery miesiące przed końcem służby, zaczął cierpieć na owrzodzenie tropikalne, oficerowie nie chcieli puścić go na leczenie.

Po pewnym czasie otwarte krwawiące wrzody, które pod wpływem wilgoci, brudu i bakterii, wyskakiwały na skórze niczym gigantyczne truskawki, zaczęły mu się piąć w górę nóg, utrudniając chodzenie. Jednak dowódca Kompanii „Charlie" nadal nie chciał odesłać go do szpitala. W końcu Bernie sam załatwił sprawę. Na ucieczkę wybrał porę wieczornego posiłku – moment, gdy śmigłowiec dostawczy grzał już silniki przed startem. Rzucił plecak i broń na ziemię i wskoczył do pustej komory kadłuba dokładnie w tej chwili, gdy maszyna jak ptak zawisa na krótko w powietrzu, a potem podrywa się nagle do góry, skręca i odlatuje z pospiesznym terkotem.

Kiedy dwadzieścia minut później Bernhardt wkuśtykał do szpitala 11 Brygady, lekarze byli zdumieni jego stanem. Powinien był zgłosić się na leczenie dawno temu, powiedzieli. Co się, do diabła, dzieje się tymi oficerami w Kompanii „Charlie"? Chcieli, żeby się wykończył?

•

Bernhardt wiedział, że w Pinkville szykuje się coś specjalnego. Kapitan Medina dał to wyraźnie do zrozumienia w przeddzień operacji. Oznajmił, że wioska, do której wejdą rano, jest bazą wypadową batalionu Vietcongu. Nie będzie tam ani jednego niewinnego cywila. Powiedział swoim ludziom, że mają zniszczyć wszystko „co się rusza, żyje i rośnie, nawet najmniejsze źdźbło trawy." Będzie to dla nich okazja, dodał, pomszczenia poległych towarzyszy.

Kiedy tamtego ranka śmigłowce zaczęły wysadzać Kompanię „Charlie" na skraju wioski, Bernhardt przyklęknął na grobli, udając, że ma kłopoty z butami. Marudził tam do momentu przybycia Mediny z drugą grupą. Gdy śmigłowiec Mediny wylądował, Bernhardt odczekał jeszcze trochę, a potem ruszył za dowódcą kompanii i jego świtą. Chodził za nimi krok w krok przez cały ranek.

Cokolwiek Medina miał w planach, Bernhardt chciał być tego świadkiem. To, co zobaczył, w zupełności go przekonało, że dowódca pławi się w krwi niemal dosłownie po szyję. Jak powiedział później śledczym, w pewnym momencie Medina zastrzelił młodą dziewczynę i odwróciwszy się do niego, „wyszczerzył zęby w głupim, cwaniackim uśmiechu."

Wieczorem, gdy Bernie kopał niszę, kapitan dopadł go, aby udzielić mu ostrzeżenia. Jeśli napisze do swojego kongresmena o tym, co widział, popełni wielki błąd. Zrozumiano?

„Tak" – odparł Bernhardt, zrozumiał kapitana doskonale.

I rzeczywiście, nie napisał do kongresmena o Pinkville. Postanowił jednak na własną rękę załatwić się z Mediną i innymi oficerami odpowiedzialnymi za masakrę, jeśli tylko wydostanie się z Wietnamu żywy.

„Mam pewien plan – powiedział mi po dłuższej rozmowie. – Zabiję ich wszystkich. Kiedy już wyjdę, dowiem się, gdzie ich szukać. Załatwię sobie naprawdę dobry karabin. Taki z teleskopem. Wytropię ich i pozabijam."

Chociaż byłem pewien, że nie mówi poważnie, poprosiłem, żeby się wstrzymał. Pozwól mi najpierw spróbować mojego planu, powiedziałem. Zarzucimy im na szyje pętlę ich własnego systemu. Wydobędziemy sprawę na jaw i staną przed sądem jako przestępcy wojenni.

Bernie był sceptyczny. „Jak?"– zapytał. Tego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że abym mógł rozkręcić oficjalne dochodzenie, potrzebuję kogoś, kto był w Pinkville, i na pewno powie prawdę.

Czy Bernie mnie poprze?

„Możesz na mnie liczyć – odrzekł. – Jeśli ja powiem prawdę, on również."

I kiedy w końcu przyszedł czas, powiedział prawdę, podobnie jak Mike i Billy i wielu innych.

•

Minęło dwadzieścia lat, nim spotkałem Hugh Thompsona i Harry'ego Stanleya, dwóch największych znanych bohaterów z My Lai. Była jesień 1988 i magazyn „People" poprosił mnie, abym ich odszukał i przeprowadził z nimi wywiady dla upamiętnienia rocznicy śledztwa z 1969 roku.

Harry'ego Stanleya znalazłem na tyłach olbrzymiego składu drzewa, na peryferiach Biloxi w stanie Missisipi, jakieś półtorej godziny jazdy na wschód od Nowego Orleanu. Zadzwoniłem przedtem do składu, pod jedyny numer Stanleya, jaki udało mi się zdobyć – ściśle rzecz biorąc, był to jedyny numer, jaki Stanley komukolwiek dał. Jak wielu innych weteranów wojny wietnamskiej, Harry Stanley nie miał ochoty dzielić się swoim życiem prywatnym z zewnętrznym światem.

Pracownik składu przeprowadził mnie przez labirynt wiat z drzewem, omijając kałuże i jakieś maszyny, na otwartą parcelę, gdzie siedmiu czy ośmiu okutanych w stare łachy Murzynów trudziło się na ostrym, zimnym wietrze, metodycznie przekładając deski ze sterty na stertę. Jeden z nich, krępy mężczyzna z chustką na szyi i bez przednich zębów, odwrócił się i spojrzał na nas. Harry Stanley. Powiedział coś do pozostałych i ruszył ku nam wolnym krokiem.

RADIO
WAWA 69.8 & 91 FM
CLASSIC ROCK
telefon dla słuchaczy: 31-20-02, fax. 31-20-06
telefon działu reklamy: 31-20-05, 635-88-00 fax. 637-24-51
00-095 Warszawa, Plac Bankowy 2, „Błękitny wieżowiec"

Podeszliśmy do rozrzuconej sterty drewna, usadowiliśmy się plecami do lodowatego wiatru i Harry zaczął opowiadać o tamtym poranku w My Lai, gdy wiatr był gorący, a cały świat oszalał.

Pluton Calleya, do którego należał Stanley, jak również Gruver, Billy i Mike, przyleciał pierwszą partią śmigłowców. Ustawili się w szyku i około siódmej trzydzieści ruszyli w stronę wioski. Kiedy się zbliżali, z chat na skraju nie padł ani jeden strzał.

„Wszyscy mieszkańcy mieli być rzekomo z Vietcongu lub mu pomagać", powiedział Stanley. Kapitan Medina poinformował ich, że wioska jest kwaterą główną 48 Batalionu Vietcongu – najbardziej zahartowanej w boju jednostki nieprzyjaciela w tej części Wietnamu. „Mówił, że mamy zmieść wioskę z powierzchni ziemi."

Kiedy jednak pluton dotarł na miejsce, „zobaczyliśmy tylko uciekających ludzi. Same kobiety, dzieci, starych mężczyzn. Nikt nie miał broni, ani nie strzelał do nas, nic z tych rzeczy. Było oczywiste, że nie jest tak, jak mówił Medina. Ale wyglądało na to, że nikogo to nie obchodzi. Nadal wszyscy robili to, co kazano im na początku."

Pierwszego człowieka, na którego natknął się pluton, starca z rzadką brodą ubranego na biało, zastrzelił jeden z kumpli Stanleya. Potem poderżnął mu gardło, cisnął ciało do studni, i wrzucił za nim granat. Wtedy żołnierze Kompanii „Charlie" zaczęli „strzelać do wszystkiego, co się rusza. Do uciekających ludzi. Do krów. Do wszystkiego." Stanley, który niósł karabin maszynowy M-60, szedł za innymi odmawiając strzelania, oszołomiony tym, co się wokół niego działo.

„Nie strzelałem, bo czekałem na jakiś opór – wspomina. – Oporu nie było, więc nie miałem powodu, żeby strzelać. To wszystko robiło na mnie wrażenie jakiegoś pieprzonego obłędu. Nie jestem mordercą."

Około dziewiątej ludzie Calleya dotarli na przeciwległy koniec wioski, pozostawiając za sobą szlak martwych ciał. Niebawem dołączyły do nich dwa pozostałe plutony. Wkrótce według Stanleya i wielu innych, którzy składali później oficjalne zeznania, Calley kazał wszystkim żołnierzom zebrać mieszkańców pozostałych przy życiu i spędzić ich nad rów. O dziwo, według Stanleya i reszty świadków, pierwsze uderzenie Kompanii „Charlie" przeżyło około dwustu wieśniaków. W ciągu następnych trzydziestu, może czterdziestu pięciu minut doprowadzono ich małymi grupkami do rowu.

„Potem – opowiada Stanley – Calley odwrócił się do mnie i polecił, żebym rozstawił karabin maszynowy i rozstrzelał tych ludzi. <<Nie mógę tego zrobić>> – odparłem. A on na to: <<Rozkazuję ci to zrobić>>. Na co ja: <<Nie może mi pan rozkazać tego zrobić.>>"

Calley powtórzył komendę, tym razem wykrzykując ją Stanleyowi w twarz i grożąc mu sądem wojennym, jeśli odmówi.

Stanley nie uląkł się pogróżki. „Powiedziałem mu, że jeśli według niego ujdzie mu to na sucho, niech robi to sobie sam." Rozwścieczony Calley odwrócił się na pięcie, wyrwał szeregowemu Paulowi Meadlo M-16, podszedł do Stanleya i przytknął mu lufę karabinka do brzucha. Stanley równie szybko wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę, odwiódł kurek i wepchnął Calleyowi pistolet w bebechy.

Kumple Stanleya stali i obserwowali tę scenę wybałuszonymi oczami. „Chyba myśleli, że oszalałem – powiedział mi. – Ale ja traktowałem zupełnie serio to, co mówiłem i całą tę sytuację. Myślałem sobie mniej więcej tak: Jestem w Wietnamie i zginę tu tak czy inaczej. Skoro więc chcesz mnie zastrzelić, równie dobrze możemy zastrzelić się nawzajem – rozumiesz, w czym rzecz? Jeśli chodzi o zrobienie tego, co chcesz, żebym zrobił, nie ma mowy, bo moim zdaniem to jest nie w porządku. Gdyby któryś z tych ludzi do nas strzelił czy coś, albo gdybyśmy zgarnęli snajpera, może widziałbym to zupełnie inaczej. Ale o ile mogłem się zorientować, sprawa nie wyglądała tak, jak miała wyglądać."

To był cały Wietnam. Prosty osąd Harry'ego Stanleya stanowi doskonałą metaforę tej wojny. Prawdę powiedziawszy, jego definicja jest być może jedyną, z którą zgodziliby się wszyscy weterani Wietnamu. Jakkolwiek by na to patrzeć, sprawa nie wyglądała tak, jak twierdzili ci z dowództwa i politycy.

Niestety, w My Lai – jak i gdzie indziej – takie przykłady prawości jak postępek Harry'ego Stanleya niewielki miały wpływ na końcowy rezultat. Jego odmowa wykonania rozkazu nie wywołała masowego oporu wśród pozostałych żołnierzy. Jednak kiedy Calley zrozumiał, że Stanley nie blefuje, spuścił z tonu. Zwróciwszy Meadlo jego M-16, porucznik bełkocząc ze złości rozkazał, aby każdy dowódca oddziału wybrał „po paru strzelców". Z dokumentów wynika, że pod wodzą Calleya, dwudziestu do trzydziestu żołnierzy zaczęło walić ogniem z broni ręcznej i maszynowej w rów, do którego wtłoczono pozostałych przy życiu wieśniaków.

•

Hugh Thompson, inny człowiek, który w My Lai zdołał odróżnić dobro od zła, jeszcze rok temu pilotował śmigłowce. Zamiast jednak latać jako myśliwy-zabójca na przybrzeżnych równinach południowo-środkowego Wietnamu, krążył śmigłowcem kompanii naftowej między Lafayette w Luizjanie i platformami wiertniczymi w Zatoce Meksykańskiej.

W 1968 roku był dwudziestopięcioletnim pilotem przy sztabie Americal Division w Chu Lai. 16 marca poleciał ze swym oddziałem skautów powietrznych do My Lai, aby zapewnić osłonę powietrzną operacji, którą uważał początkowo za „standardowy zrzut" kompanii piechoty. Jednak to, co Thompson zobaczył tamtego ranka, krążąc nad postępującą rzezią, wprawiło go, jak mi powiedział, w „zdumienie, szok i wściekłość."

Wiadomo, że Thompson wykonał kilka prób położenia kresu masakrze. W najbardziej spektakularnej posadził śmigłowiec między bunkrem pełnym wietnamskich kobiet i dzieci skulonych ze strachu a nacierającym szeregiem amerykańskich żołnierzy pod wodzą jakiegoś oficera. Poleciwszy swojemu strzelcowi wziąć Amerykanów na cel i otworzyć ogień, jeśli zaczną strzelać do ludzi w bunkrze, Thompson podbiegł do oficera, który mógł być porucznikiem Calleyem. „Możecie jakoś wyciągnąć tych cywilów z bunkra?"– zapytał go Thompson. „Tak – odparł tamten – ręcznym granatem." Oznajmiwszy gniewnie oficerowi, że sam się tym zajmie, Thompson biegiem wrócił do swojej maszyny i wezwał jeden ze śmigłowców szturmowych, aby przetransportował ludzi z bunkra w bezpieczne miejsce, które to zadanie wymagało dwóch kursów.

Czy jego strzelec rzeczywiście otworzyłby ogień do amerykańskich żołnierzy? „Nie wiem – powiedział Thompson – i bardzo się cieszę, że nie musiałem tego sprawdzać."

Jeszcze przed konfrontacją przy bunkrze Thompson i jego załoga spostrzegli wijącą się w trawie ranną młodą kobietę. Zaznaczywszy to miejsce żółtym granatem dymnym, Thompson wezwał przez radio pomoc z ziemi.

Parę chwil później zauważył, że do kobiety podchodzi kapitan Medina. Trącił ją butem, a potem cofnął się o krok i spokojnie posłał jej serię z M-16.

W którymś momencie tamtego ranka Thompson zobaczył skutki roboty porucznika Calleya w rowie, gdzie według jego oceny znajdowało się co najmniej dwustu martwych i rannych Wietnamczyków.

„W rowie było mnóstwo ciał – wspomina Thompson. – Dostrzegłem w pobliżu jakiegoś czarnego podoficera. Posadziłem maszynę i zawołałem do porucznika: <<Hej, w tym rowie są ranni. Możecie im pomóc?>> W odpowiedzi usłyszałem: <<Jedyny sposób, żeby im pomóc, to skrócić ich cierpienia.>> Ja na to: <<Daj spokój, stary. Ci ludzie są ranni. Potrzebują naszej pomocy.>> Myślałem, że żartował. Kiedy wystartowałem i zacząłem robić obrót, usłyszałem M-60. Szef mojej załogi zawołał: <<Boże! On strzela do rowu!>>"

Kiedy Thompsonowi udało się chwilę później wrócić nad rów, jeden z członków jego załogi wszedł między martwych i umierających.

„Wychodzi po paru minutach – wspomina Thompson. – Niesie maleńkie dziecko, całe zalane krwią. Ale nie widać żadnych ran. Żadnych otwartych ran, nic."

Thompson przewiózł niemowlę do najbliższego szpitala cywilnego.

Później tego samego dnia spotkał się z dowódcą plutonu, aby porozmawiać o porannych wydarzeniach. Mając poparcie innych pilotów ze swej jednostki, Thompson wystąpił drogą służbową z żądaniem wszczęcia oficjalnego dochodzenia. Niestety, swą skargę zaadresował do pułkownika Orana K. Hendersona.

Pilot nie słyszał więcej o masakrze aż do momentu, gdy jesienią 1969 roku był przesłuchiwany przez śledczych wojskowych. Jego zeznanie, razem z zeznaniem Michaela Bernhardta, stało się podstawą oskarżenia kapitana Mediny o zamordowanie młodej kobiety, obok której Thompson położył granat dymny.

W przeciwieństwie do Harry'ego Stanleya i kilku jemu podobnych, heroizm Hugh Thompsona zyskał w My Lai oficjalne uznanie. Kilka miesięcy po procesach udekorowano go odznaczeniem Distinguished Flying Cross za uratowanie kobiet i dzieci z bunkra. W wojskowej historii było to bezprecensowe wydarzenie: członek Armii Stanów Zjednoczonych został odznaczony za męstwo na polu walki, ponieważ stawił opór amerykańskim żołnierzom.

Dopiero w trakcie przesłuchania Thompson dowiedział się, że ze skargi, którą wniósł do pułkownika Hendersona, nic nie wynikło. Henderson – dowódca 11 Brygady Piechoty – zatuszował wydarzenia w My Lai, za co stanął potem przed sądem wojskowym.

Spędziliśmy z Hugh Thompsonem prawie dwa dni na rozmowach o My Lai i Wietnamie. Bez ogródek wyraził swój pogląd na wydarzenia w Pinkville – tę przerażającą, barbarzyńską rzeź, jak to określił. Nie chciał jednak uwierzyć, że podobne masakry miały miejsce jeszcze gdzie indziej w Wietnamie. „To nie jest w stylu Amerykanów i nie tak sprawy mają wyglądać – powiedział. – Tak postępowali naziści w czasie drugiej wojny światowej. My jesteśmy facetami w białych kapeluszach. Musimy mieć swój honor."

•

Nie bez powodu skarga wniesiona przez Hugh Thompsona do pułkownika Hendersona nie przyniosła rezultatu. Tragedia w My Lai nie wydarzyła się dlatego, że kapitan Medina, porucznik Calley i pozostali ludzie z Kompanii „Charlie" dostali obłędu. Henderson, Medina i Calley wykonywali rozkazy, wprowadzali w życie generalną politykę ustaloną na szczeblu dywizji. Ta masakra była jedną z wielu. Właśnie w ten sposób prowadziliśmy wojnę w Wietnamie.

Jak ujawniło później oficjalne dochodzenie, Thompson wcale nie musiał zawiadamiać Hendersona o rzezi, ponieważ pułkownik już o niej wiedział. Przez większą część ranka krążył nad wioską swoim własnym śmigłowcem i widział wszystko na własne oczy. Co więcej, nie tylko on. Generał Samuel Koster, dowódca Americal Division, również krążył tamtego ranka nad umierającą wioską, razem z kilkoma członkami swojego sztabu. I nie zrobili nic. Nikt – ani Koster, ani Henderson, ani żaden ze starszych oficerów – nie wydał ludziom na ziemi żadnego rozkazu, który położyłby kres mordowaniu cywilów.

Gdy tylko usłyszałem o My Lai, zrozumiałem, że krew na rękach moich kolegów spływa także na moje. Może była to melodramatyczna reakcja, ale tak właśnie czułem – jakbym został skalany czymś, z czego nigdy nie będę się mógł oczyścić, ale uznałem, że mam obowiązek zbadać, czy opowieść Gruvera jest prawdziwa, a jeśli tak, to ujawnić ją za wszelką cenę i niech się dzieje, co chce. Niestety, oprócz winnych ucierpieli na tym też Mike i Billy. Wreszcie w marcu 1969 roku, trzy miesiące po wyjściu z wojska, napisałem list do prezydenta, Kongresu i Naczelnego Dowództwa. W liście tym wyjaśniłem, co wiem o masakrze i skąd wziąłem te informacje. Miałem nadzieję, że Kongres podejmie energiczne i szczegółowe dochodzenie.

•

Niebawem powróciłem do Południowowschodniej Azji, tym razem jako świeżo upieczony dziennikarz. Byłem tam akurat na początku 1971 roku, relacjonując inwazję na Laos dla „Time'u", gdy porucznik Calley został skazany za rolę, którą odegrał w masakrze w My Lai. W ciągu roku od procesu Calleya stanęli przed sądem także kapitan Medina i pułkownik Henderson.

Obydwu uniewinniono.

Żaden z pozostałych żołnierzy zamieszanych w tę sprawę – oficerów i ich podwładnych – nie został uznany winnym.

Porucznik Calley był jedynym amerykańskim żołnierzem ukaranym za zbrodnie popełnione w My Lai. Dostał dożywocie i ciężkie roboty. Wnoszono apelację za apelacją, póki sąd nie złagodził kary do dziesięciu lat. Przed upływem czterech lat od pierwszego wyroku Calley – człowiek uznany przez sąd za masowego mordercę – znalazł się na wolności.

Hugh Thompson miał rację. Mieliśmy być facetami z honorem. Niemal wszyscy, którzy pojechali na tę wojnę, chcieli w to wierzyć. Może nawet marzyliśmy, że wrócimy do domu jako bohaterowie. Niektórym się to udało: Thompsonowi, Harry'emu Stanleyowi, Michaelowi Bernhardtowi. Zostali bohaterami, chociaż na pewno nie w taki sposób, w jaki by chcieli, czy jaki widzieli w marzeniach.

W Wietnamie takim, jakim pamiętają go niektórzy – na przykład Ollie North, Ronald Reagan i George Bush – Amerykanie byli herosami w okowach, ludźmi, którzy mogli byli wygrać tę wojnę, gdyby tylko dano im szansę i wolną rękę.

W Wietnamie, który ja znałem, mieliśmy jak najbardziej wolną rękę i korzystaliśmy z tego bez miłosierdzia. Według mnie bohaterowie znajdowali się niemal wyłącznie po przeciwnej stronie – a my ich zabijaliśmy. Tak więc mimo męstwa wielu z nas wydaje mi się, że tylko nieliczni Amerykanie wyszli z Wietnamu jako prawdziwi bohaterowie. Przeciwnie, tysiące weteranów tej wojny nękanych wspomnieniami tego, co widzieli i robili, nawet tych, którzy nie odnieśli żadnych obrażeń fizycznych, wróciło do domu okaleczonych duchowo.

Teraz, po dwudziestu pięciu latach, kiedy bębny wojenne znów zaczynają bić, myślę o moim przyjacielu Billym i innych podobnych do niego. Zastanawiam się ile tysięcy wciąż jeszcze obejmuje rękami kolana na ukrytych plażach swoich snów i powtarza jak refren te słowa: „Zabiliśmy ich wszystkich, stary. Zabiliśmy ich wszystkich."

W CAŁEJ POLSCE

program 3

UKF

POLSKIE RADIO PROGRAM III
00-950 WARSZAWA
UL. MYŚLIWIECKA 3/5/7
DZIAŁ REKLAMY
TEL. 628-17-27
628-54-11 w. 55-61
FAX 628-28-30

NUMER Z CYLINDREM

(ciąg dalszy ze str. 78)

„Artysta uśmiecha się speszony w stronę publiczności. Ciągnie rozpaczliwie za pulchny tyłeczek, ale reszta ciała stawia opór."

Z kapelusza wylewa się woda, spływa chłopakowi po włosach i przemacza go do suchej nitki.
Śmiech, brawa, dzikie wrzaski.
Upokorzony młodzieniec upuszcza kapelusz i odwraca się, żeby uciec ze sceny, lecz śliczna asystentka przydeptuje mu stopę. Chłopak potyka się i pada na twarz.
Śmiech itd. (jak poprzednio).
Poniżony prowincjusz spełza ze sceny. Magik śmieje się serdecznie wraz z widownią, wypycha za kulisy śliczną asystentkę, podnosi z podłogi kapelusz. Wyciera go rękawem, uderza weń dwa lub trzy razy i zamaszystym ruchem ponownie wkłada na głowę.
Pełne uznania brawa.
Magik staje za stołem. Dokładnie wyciera część blatu. Zdmuchuje pyłki kurzu. Sięga, żeby zdjąć cylinder, ale ten znów mocno siedzi na głowie. Sztukmistrz gwałtownie szamoce się z cylindrem.
Lekki śmiech.
Prosi ochotników. Ci sami dwaj siłacze wracają na scenę. Jeden z nich bez wahania chwyta kapelusz, drugi nogi sztukmistrza. Ciągną z całej siły, lecz bezskutecznie.
Śmiech i brawa.
Pierwszy z osiłków chwyta sztukmistrza pod brodę. Magik jakby usiłował protestować. Drugi opasuje sobie nogi magika wokół pasa. Z niesamowitą siłą każdy z mężczyzn ciągnie w swoją stronę, ich twarze z wysiłku nabiegają krwią, żyły na skroniach zaczynają pulsować. Magikowi język wychodzi na wierzch, jego ręce trzepocą bezradnie.
Śmiech i brawa.
Szyja iluzjonisty wyciąga się, lecz nie pęka. Ma teraz metr lub dwa długości. Dwaj osiłkowie ciągną dalej z uporem.
Śmiech i brawa.
Oczy magika wyskakują z orbit.
Śmiech i brawa.
Szyja w końcu pęka. Osiłkowie padają w przeciwne strony, trzymając zakrwawione szczątki. Rozbawiona widownia milknie, nastaje pełna oczekiwania cisza. Pierwszy z siłaczy podnosi się, ciska głowę z kapeluszem za kulisy i rusza z pomocą drugiemu. Razem rozsuwają zamek błyskawiczny na bezgłowym ciele. Wyłania się śliczna asystentka.
Śmiech, zdziwienie i entuzjastyczne brawa, gwizdy.
Śliczna asystentka ciska za kulisy zwiotczałe ciało magika. Potężnie zbudowani faceci spoglądają na nią zalotnie, wykonując równocześnie trochę obsceniczne gesty w stronę widowni.
Narastający śmiech i przyjazne okrzyki.
Śliczna asystentka zachęca jednego z osiłków, by wsunął rękę w jej obcisłe zielone szorty.
Dzikie gwizdy.
Siłacze ochoczo rzucają się w jej stronę, ale wpadają na siebie i przewracają się na ziemię. Śliczna asystentka puszcza oko do widowni.
Szydercze okrzyki.
Obaj mężczyźni spoglądają na siebie z wściekłością. Pierwszy pluje na drugiego. Ten go popycha. Pierwszy nie pozostaje mu dłużny i przewraca go na podłogę. Powalony zrywa się, przyskakuje do pierwszego i bije go w nos. Ten zatacza się, ociera krew i wali przeciwnika w brzuch.
Głośne pokrzykiwania.
Drugi osiłek chwieje się otumaniony i trzymając się za brzuch zwala się bezsilnie na podłogę. Pierwszy mężczyzna kopie go brutalnie w twarz.
Okrzyki i lekki śmiech.
Powalony podnosi się z wysiłkiem: ze zmasakrowanej twarzy bucha krew. Jego oponent popycha go z rozmachem na ścianę i wali kolanem w krocze. Mężczyzna zgina się wpół. Przeciwnik uderza go kantem dłoni nieco za uchem. Drugi osiłek pada martwy na scenę.
Nie milknące krzyki, brawa.
Pierwszy osiłek, speszony, kłania się publiczności. Masuje knykcie. Podchodzi do niego śliczna asystentka, otacza ramieniem w matczyny sposób, puszcza oko w stronę widowni.
Przeciągłe gwizdy, brawa.
Siłacz szczerzy zęby w uśmiechu i obłapia asystentkę w sposób zgoła nie matczyny, na co ona reaguje miną pełnego zaskoczenia.
Krzyki i śmiech, dzikie gwizdy.
Śliczna asystentka uwalnia się z objęć osiłka, odwraca się do niego tyłem i wypiąwszy pośladki pochyla się na wyprostowanych nogach, opierając ręce na kolanach. Osiłek szczerzy zęby w stronę widowni i klepie obciągnięty zielonymi szortami tyłeczek ślicznej asystentki.
Dzikie krzyki itd. (jak poprzednio).
Osiłek sięga w głąb obcisłych zielonych szortów ślicznej asystentki, przewraca oczami uśmiechając się lubieżnie. Dziewczyna krzywi się i lekko kręci zadkiem.
Dzikie krzyki itd. (jak poprzednio).
Byczkowaty gość wyciąga rękę z szortów ślicznej asystentki i wydobywa magika w czarnej pelerynie i czarnym cylindrze na głowie.
Burza braw zaskoczonej widowni.
Magik zdejmuje kapelusz i kłania się nisko.
Długie entuzjastyczne brawa, gromkie wiwaty.
Magik wyrzuca śliczną asystentkę i osiłka za kulisy. Przygląda się drugiemu osiłkowi leżącemu bez życia na scenie. Rozpina zamek błyskawiczny i z wnętrza ciała wyłania się czerwony jak burak i skonfundowany młodzieniec z prowincji, który chyłkiem wyczołguje się ze sceny.
Śmiech i krzyki, dalsze brawa.
Sztukmistrz ciska za kulisy sflaczałe ciało osiłka. Na scenę wraca śliczna asystentka, ubrana jak poprzednio w wysoki kapelusz z piórami, obcisły zielony stanik, zielone szorty, siatkowe pończochy, pantofelki na wysokich obcasach.
Brawa i gwizdy.
Śliczna asystentka wskazuje ręką na magika, który pokazuje widowni wnętrze cylindra. Uderza weń dwa, trzy razy – jest pusty. Umieszcza go na stole i nakazuje

Zapomniałeś coś zabrać, kochanie?

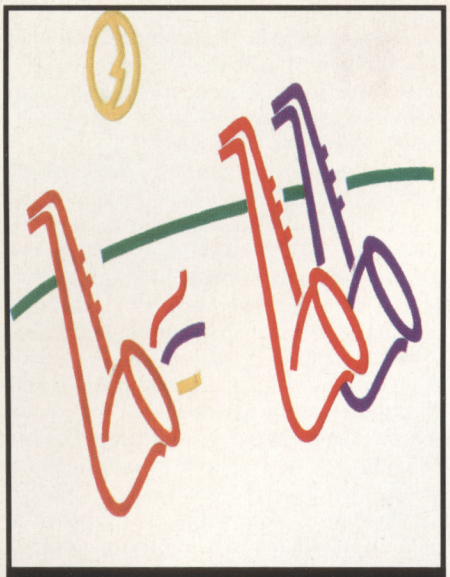

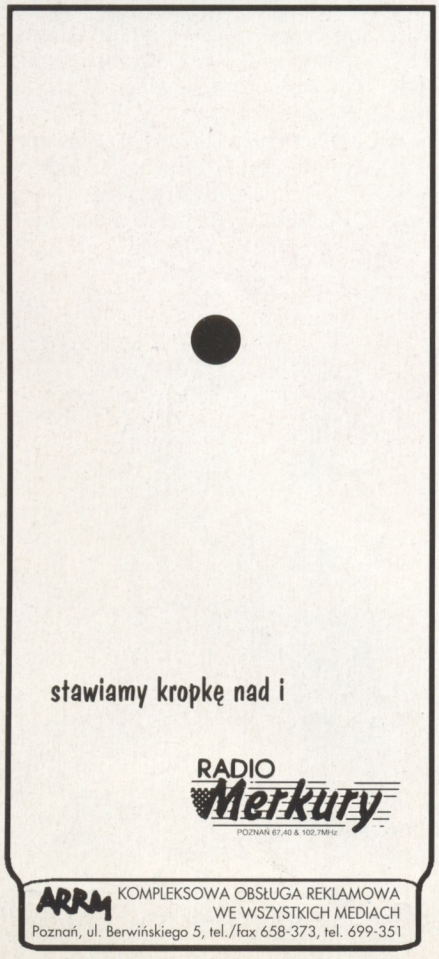

gestem ślicznej asystentce, żeby weszła do środka. Dziewczyna wykonuje polecenie.
Gorące brawa.
Gdy śliczna asystentka znika, magik rozkłada obie ręce nad kapeluszem, podciąga rękawy odsłaniając przeguby rąk i strzela palcami. Wkłada rękę do cylindra i wyjmuje jeden zielony pantofelek na wysokim obcasie.
Brawa.
Ciska bucik za kulisy. Ponownie strzela palcami nad kapeluszem. Wyciąga ze środka drugi pantofelek.
Brawa.
Ciska go za kulisy. Strzela palcami. Wyciąga długą siatkową pończochę.
Brawa i pojedyncze gwizdy.
Ciska pończochę za kulisy. Strzela palcami. Wyciąga kapelusz z piórami.
Narastające brawa i gwizdy, rytmiczne tupanie nogami.
Magik wyrzuca kapelusz za kulisy. Strzela palcami. Wkłada rękę do cylindra i przez chwilę w nim szpera.
Tu i tam śmiechy.
Wyciąga zielony stanik i wymachuje nim, prezentując go publiczności.
Entuzjastyczne brawa, krzyki, gwizdy, tupanie nogami.
Sztukmistrz rzuca stanik za kulisy. Strzela palcami, grzebie w cylindrze. Spogląda nieobecnym, rozmarzonym wzrokiem.
Wybuch śmiechu.
Wyciąga zielone szorty. Unosi je wysoko, prezentuje publiczności.
Potężny wybuch braw i okrzyków, gwizdy.
Ciska szorty za kulisy. Strzela palcami. Wkłada obie ręce do cylindra długo w nim szperając. Słychać odgłos klapsa. Wycofuje pospiesznie ręce; na jego twarzy maluje się wyraz zdziwienia i bólu. Zagląda do cylindra.
Śmiech.
Z kapelusza wyłania się głowa ślicznej asystentki; dziewczyna ma nadąsaną minę.
Śmiech i owacja.
Śliczna asystentka z trudem przeciska przez wylot cylindra jedną rękę, potem drugą. Napierając dłońmi na rondo wije się i skręca, aż wreszcie z kapelusza wyskakuje jedna naga pierś.
Brawa i dzikie gwizdy.
Pac! – druga pierś.
Jeszcze większe brawa i gwizdy.
Wijąc się asystentka przeciska się przez otwór do pasa. Stęka, zmaga się z cylindrem, lecz nie może oswobodzić bioder. Nieporadnie i niepewnie spogląda na magika. Ten próbuje jej pomóc, lecz najwyraźniej ugrzęzła na dobre.
Śmiech.
Magik chwyta śliczną asystentkę pod ramiona, zapiera się nogami o rondo cylindra. Naprężа wszystkie siły. Daremnie.
Śmiech.
Wpycha śliczną asystentkę z powrotem do kapelusza. Ponownie w nim grzebie. Słychać głośniego klapsa.
Narastający śmiech.
Magik z siłą oddaje klapsa.
Śmiech gwałtownie zamiera, rozlegają się pojedyncze gwizdy niezadowolenia.
Magik sięga w głąb cylindra i wyciąga gołą nogę. Sięga ponownie i wydobywa ramię. Ciągnie za rękę i nogę, lecz mimo wysiłków nie jest w stanie wydobyć reszty ciała.
Odgłosy niezadowolenia, trochę gwizdów.
Magik spogląda niepewnie na widownię, wpycha ramię i nogę z powrotem do cylindra. Poci się. Grzebie wewnątrz cylindra. Wydobywa tyłeczek ślicznej asystentki.
Gromkie brawa i dzikie gwizdy.
Artysta uśmiecha się speszony w stronę publiczności. Ciągnie rozpaczliwie za pulchny tyłeczek, ale reszta ciała stawia opór.
Oklaski słabną, wzmagają się gwizdy niezadowolenia.
Wciska tyłeczek w cylinder, ociera czoło jedwabną chustką.
Głośne, nieprzyjazne okrzyki niezadowolenia.
Chowa chustkę do kieszeni. Jego ruchy stają się coraz bardziej nerwowe. Chwyta cylinder, uderza nim, energicznie potrząsa. Ponownie umieszcza na stole rondem do góry. Przymyka oczy, tak jakby wymawiał jakieś zaklęcia, rozkłada ręce. Kilkakrotnie strzela palcami. Niepewnie wkłada rękę do środka. Szuka. Słychać głośnego klapsa. Zaskoczony i zły pospiesznie wycofuje rękę. Chwyta kapelusz. Rozwścieczony, zgrzytając zębami rzuca cylinder na podłogę i skacze na niego obiema nogami. Słychać trzask i makabryczny, przeszywający krzyk.
Wrzaski.
Przerażony magik podnosi cylinder i zagląda do środka. Blednie.
Głośne wrzaski i krzyki.
Magik ostrożnie stawia cylinder na podłodze i klęka przy nim zatrwożony i przepojony bezgranicznym smutkiem. Łka w milczeniu.
Płacz, lament i krzyki.
Pochyla się żałośnie nad zniszczonym kapeluszem, wstrząsany płaczem. Zza kulis niepewnie wyłania się przejęty młodzieniec z prowincji i osiłek numer jeden. Obaj bladzi i przerażeni. Zerkają lękliwie do wnętrza cylindra i cofają się ze zgrozą. Zakrywają rękami usta, odwracają się, wymiotują.
Płacz, krzyki, odgłosy wymiotów, oskarżenia o morderstwo.
Osiłek i młodzieniec związują sztukmistrza i wywlekają go ze sceny.
Płacz, odgłosy nudności.
Osiłek i młodzieniec wracają na scenę, ostrożnie podnosząc zmiażdżony kapelusz i trzęsąc się ze zdenerwowania wynoszą za kulisy, trzymając jak najdalej od siebie na wyprostowanych ramionach.
Przez moment płacz, odgłosy wymiotów i jęki przybierają na sile, potem słabną i wreszcie milkną zupełnie.
Na scenę wchodzi niepewnie samotny młodzieniec z prowincji, opiera o stół przodem do widowni tablicę, po czym chyłkiem wycofuje się.
PRZEDSTAWIENIE SKOŃCZONE
DYREKCJA Z ŻALEM ZAWIADAMIA,
ŻE ZWROTÓW ZA BILETY NIE BĘDZIE.

Przełożył **Jacek Szelegejd**

TROCHĘ MAGII W ZWYCZAJNYM ŚWIECIE

Nowość! Fuji Super Generation

FUJI FILM Polska, ul.Płowiecka 105/107, 04-501 Warszawa, tel./fax 15-42-86, tlx 825721

EURODENTAL®

PRYWATNE CENTRUM STOMATOLOGICZNE

OFERUJEMY

Implanty • Mosty i korony porcelanowe • Protezy natychmiastowe
Nowoczesną profilaktykę • Chirurgię • Leczenie zachowawcze
Leczenie paradontozy • Zabiegi w narkozie

NA ŻYCZENIE PACJENTÓW

Udział w konsyliach lekarzy z Europy Zachodniej

EURODENTAL FRANCE – Warszawa, ul. Tamka 18, tel. 26-25-31, 26-62-33
EURODENTAL USA – Warszawa, ul. Śniadeckich 14, tel. 625-78-00, 625-78-08.

DYŻURY NIEDZIELNE I ŚWIĄTECZNE

Poznajmy się bliżej

Ankieta dla czytelników polskiej edycji PLAYBOYA

Koperty z adresem zwrotnym wezmą udział w losowaniu nagród, którymi będą kosmetyki PLAYBOYA.

1. Kiedy po raz pierwszy zetknął się Pan/Pani z którąś z edycji PLAYBOYA? *Proszę określić rok* .....

2. Czy czytał/przeglądał Pan/Pani zagraniczne edycje PLAYBOYA?

❑ tak, regularnie ❑ nie
❑ tak, od czasu do czasu ❑ nie pamiętam
❑ tak, bardzo rzadko

3. Czy spotkał się Pan/Pani z reklamą polskiej edycji PLAYBOYA?

❑ tak ❑ radio ❑ prasa
❑ nie
❑ nie pamiętam

4. W jaki sposób trafia do Pana/Pani polskie wydanie PLAYBOYA? *Można zaznaczyć więcej niż jedną odpowiedź.*

	regularnie	sporadycznie	jednorazowo
kupuję	❑	❑	❑
pożyczam	❑	❑	❑
czytam u kogoś	❑	❑	❑
dostaję	❑	❑	❑

5. Kto oprócz Pana/Pani czyta ten egzemplarz? *Można zaznaczyć więcej niż jedną odpowiedź.*

❑ rodzina
❑ znajomi
❑ współpracownicy
❑ ktoś inny [kto?] .....
❑ nikt

Proszę podać liczbę tych osób:

kobiety .....
mężczyźni .....

6. W jakim stopniu ogłoszenia reklamowe w prasie przyciągają Pana/Pani uwagę?

❑ nie zwracam uwagi
❑ zwracam niewielką uwagę
❑ oglądam wybiórczo
❑ oglądam wszystkie
❑ oglądam interesując się konkretną ofertą
❑ kupuję reklamowany towar

7. Co sądzi Pan/ Pani na temat treści polskiego PLAYBOYA?

	ciekawe	średnio ciekawe	nieciekawe
felietony	❑	❑	❑
wywiady	❑	❑	❑
recenzje	❑	❑	❑
artykuły	❑	❑	❑
stałe rubryki	❑	❑	❑
porady	❑	❑	❑
opowiadania	❑	❑	❑
fotografie	❑	❑	❑
ilustracje	❑	❑	❑
reklamy	❑	❑	❑

8. Jakie inne czasopisma kupuje Pan/Pani najczęściej?

Proszę podać tytuły .....
.....

9. Jakim czytelnikiem PLAYBOYA jest Pan/Pani?

❑ tworzę archiwum, wracam do poprzednich numerów
❑ wyrzucam pismo po przeczytaniu
❑ inne możliwości [jakie?] .....

10. Jak na ogół spędza Pan/Pani wolny czas?

Można zaznaczyć trzy odpowiedzi.

	raz w tygodniu	2-3 razy w miesiącu	raz w miesiącu	raz w roku
kino	❑	❑	❑	❑
teatr	❑	❑	❑	❑
filharmonia, opera	❑	❑	❑	❑
koncerty, recitale	❑	❑	❑	❑
taniec	❑	❑	❑	❑
kawiarnie, restauracje	❑	❑	❑	❑
kasyno, hazard	❑	❑	❑	❑
prywatne spotkania	❑	❑	❑	❑
wycieczki, spacery	❑	❑	❑	❑
prace domowe, ogród	❑	❑	❑	❑
sport	❑	❑	❑	❑
książki, czasopisma	❑	❑	❑	❑
inne [jakie?]	❑	❑	❑	❑

.....

11. Jak często Pan/Pani podróżuje?

Podróże krajowe

	kilka razy w miesiącu	co miesiąc	kilka razy w roku	rzadziej
prywatnie	❑	❑	❑	❑
służbowo	❑	❑	❑	❑

Podróże zagraniczne

	kilka razy w miesiącu	co miesiąc	kilka razy w roku	rzadziej
prywatnie	❑	❑	❑	❑
służbowo	❑	❑	❑	❑

12. Jakim środkiem lokomocji podróżuje Pan/Pani najczęściej?

	samochód	pociąg	autokar	samolot
prywatnie	❑	❑	❑	❑
służbowo	❑	❑	❑	❑

Proszę o podanie nazwy linii lotniczych, z których Pan/Pani zwykle korzysta: .....

13. Na jakiego rodzaju zakupy prywatne przeznaczył Pan/Pani najwięcej pieniędzy w ciągu ostatniego roku?

Można zaznaczyć trzy odpowiedzi.

- ❑ kosmetyki
- ❑ odzież
- ❑ książki
- ❑ biżuteria, zegarki
- ❑ sprzęt fotograficzny, filmy
- ❑ wyposażenie wnętrz
- ❑ alkohol
- ❑ dzieła sztuki, antyki
- ❑ czasopisma
- ❑ akcesoria samochodowe
- ❑ sprzęt elektroniczny, audio-video

14. Jakie marki wybiera Pan/Pani przy zakupie następujących towarów?

Można podać kilka przykładów.

kosmetyki, perfumy .....
alkohole .....
papierosy .....
sprzęt sportowy .....
sprzęt elektroniczny .....
odzież .....
przybory do pisania .....
samochody .....
zegarki .....

15. Płeć ❑ kobieta ❑ mężczyzna

16. Wiek

- ❑ do 20 lat
- ❑ 21-30 lat
- ❑ 31-40 lat
- ❑ 41-50 lat
- ❑ 51-60 lat
- ❑ powyżej 60 lat

17. Stan cywilny

❑ panna ❑ kawaler ❑ wdowa ❑ wdowiec
❑ mężatka ❑ żonaty ❑ rozwiedziona ❑ rozwiedziony

18. Wykształcenie

- ❑ podstawowe
- ❑ średnie
- ❑ niepełne wyższe
- ❑ zawodowe
- ❑ pomaturalne
- ❑ wyższe

19. Wykonywany zawód i zajmowanie stanowisko

.....

20. Miejsce zamieszkania

- ❑ miasto powyżej 500 tys.
- ❑ miasto 250-500 tys.
- ❑ miasto 100-250 tys.
- ❑ miasto 50-100 tys.
- ❑ miasto do 50 tys.
- ❑ wieś

21. Pana/Pani gospodarstwo domowe

liczba osób

osoby dorosłe.....
dzieci.....

22. Średnia miesięczna wysokość dochodów przypadająca na jednego członka rodziny

- ❑ do 1 mln zł
- ❑ 1-3 mln zł
- ❑ 3-5 mln zł
- ❑ 5-10 mln zł
- ❑ 10-20 mln zł
- ❑ powyżej 20 mln zł

23. Miejsce zatrudnienia?

- ❑ sfera budżetowa
- ❑ przedsiębiorstwo państwowe
- ❑ przedsiębiorstwo prywatne
- ❑ gospodarstwo rolne
- ❑ wolny zawód
- ❑ inne [jakie?] .....

24. Mieszka Pan/Pani w lokalu?

❑ własnym ❑ wynajmowanym

- ❑ 1-2-pokojowym
- ❑ co najmniej 3 pokojowym
- ❑ domku jednorodzinnym
- ❑ willi
- ❑ w innym [jakim?] .....

25. Czy Pan/Pani posiada samochód?

❑ tak ❑ jeden więcej .....
marka .....

- ❑ tak, ale zamierzam zmienić w ciągu roku
- ❑ nie
- ❑ nie, ale zamierzam kupić w ciągu roku

26. Z jakiego rodzaju sprzętu korzysta Pan/Pani prywatnie?

	obecnie	zamierzam kupić w ciągu roku
komputer osobisty	❑	❑
kuchenka mikrofalowa	❑	❑
CB radio	❑	❑
telefon komórkowy	❑	❑
instalacja alarmowa w domu	❑	❑
TV sat lub telewizja kablowa	❑	❑
kamera video	❑	❑
aparat fotograficzny	❑	❑
telewizor kolorowy	❑	❑
sprzęt hi-fi	❑	❑
odtwarzacz kompaktowy	❑	❑

DZIĘKUJEMY ZA UDZIAŁ W ANKIECIE!

DAVE PICASSO

ZNASZ TEN KAWAŁ?

W Polsce, aby uśmiać się do łez z ludzkiej głupoty, opowiadaliśmy sobie dowcipy o milicjantach, wojsku oraz mieszkańcach Wąchocka. W USA, co już anonsowaliśmy, oszałamiającą karierę robią kpiny z mężczyzn. Inteligentni faceci wcale się nie obrażają o takie żarty w towarzystwie, przeciwnie, sami je radośnie tworzą. Oto próbki:

- Dlaczego dowcipy o głupocie kobiet są takie krótkie? *Aby mężczyźni mogli je zrozumieć.*
- Jak zmusić mężczyznę, aby robił przysiady? *Przywiązać mu do stóp pilota od telewizora.*
- Ilu mężczyzn potrzeba do naprawienia kranu w łazience? *Dwóch. Jeden otwiera książkę telefoniczną, drugi wykręca numer hydraulika.*
- Dlaczego NASA wysyła w kosmos kobiety? *Bo kiedy męska załoga wpadnie w panikę, na statku musi być ktoś, kto poprosi o instrukcje z Ziemi.*

U nas to się chyba nie przyjmie...

POZA KARTĄ

ARKADIA

Gdy w ciepły wieczór zasiada się przy stolikach wystawionych na rynku Starego Miasta w Warszawie i przy blasku świec ogląda kartę zamówień – nie ma wątpliwości, że to najlepsze miejsce, gdzie kobieta i mężczyzna mogą poznać się bliżej. Kolorowe parasolki z falbankami chronią przed żarem i światłem księżyca. Dodają niezbędnej intymności.

Kelner – bardzo dyskretny – długo się nie pojawia. Nastrój już nie tak romantyczny. Apetyt zamienia się w głód. W końcu na stoliku pojawiają się zamówione godzinę wcześniej drinki. Lekko zaspany kelner, na pytanie, czym różni się sałatka angielska od francuskiej odpowiada, że to wie tylko kucharz.

Odczuwamy lekki niepokój. Co tu dużo mówić, dreszcz przebiega nam po plecach. Zasiedliśmy przy stoliku o dwudziestej pierwszej, a tu już północ. Zrobiło się chłodno. Postanawiamy wejść do środka. Wnętrze restauracji przypomina dworcową garkuchnię. Kinkiety z domu rzemiosła rzucają ostre światło. Świece na niewielkich stolikach tylko zajmują miejsce.

Wino podaje się tylko na kieliszki, nie częściej niż raz na godzinę. Ledwie mężczyzna nabierze śmiałości – już trzeźwieje.

Długim korytarzem między stolikami od czasu do czasu przechadzają się nieprzytomne postaci. Zwykle odchodzą od bufetu, gdzie wesoło (w odróżnieniu od gości) bawią się bufetowe, kelnerzy i ich znajomi.

Im później, tym kelner robi się dyskretniejszy i już zupełnie nas nie widzi. Gorące dania otrzymujemy przed świtem.

Jeszcze kawa. Znów godzina czekania. Już wiemy, że cała noc stracona. Nic z tego nie będzie. Restauracja „Arkadia" zabiła nieśmiało zakwitające uczucie.

A tu jeszcze rachunek do zapłacenia. Dwieście czterdzieści tysięcy za butelkę Sophii (sześć razy drożej niż w sklepie). Na deser już nie wystarczy. Koniec poezji. Witaj prozo poranka.

(kl)

Nasza skala ocen:

- Poprawnie, ale bez wdzięku
- Z klasą, ale bez odlotu
- Tu można poczuć prawdziwy smak życia. Ekstra!
- Unikać jak ognia!

ZŁOTE RĄCZKI

Jesteś mężczyzną nowoczesnym. Potrafisz okazywać uczucia, świetnie dogadujesz się z dziećmi, skończyłeś renomowaną szkołę albo i studia, masz w małym palcu wszystkie nowinki techniczne. W porównaniu z tobą twój ojciec jest po prostu zacofany. Więc dlaczego masz aż tyle kompleksów? Odpowiedź brzmi: bo jesteś NIEKOMPETENTNY. Owszem, umiesz sfinalizować poważną transakcję, ale nawet za sto lat nie zbudujesz karmnika dla ptaków. A Twój tata zbuduje. Ale na tym nie kończą się różnice.

TATA	TY
Urządził sobie w garażu mini-warsztat.	Potrafisz znaleźć swój jedyny śrubokręt w czasie krótszym niż 30 minut
Sam wykonuje wszystkie naprawy w swoim samochodzie	Umiesz dolać benzyny z kanistra, jeśli ci się spieszy.
W czasie wakacji na jeziorach codziennie łowił ryby na kolację dla całej rodziny	Przeglądałeś jeden numer „Wędkarza Polskiego", ale zniechęciła cię terminologia fachowa.
Własnoręcznie zbudował na działce saunę.	Próbowałeś raz zamocować kinkiety w kuchni wbijając gwoździe w kafelki.
Umie zmontować rower z części.	Z trudem obsługujesz prosty express do kawy.
Nauczył syna pływać i grać w piłkę.	Jeszcze ani razu nie wygrałeś z dziećmi na komputerze.
Przyrządza pysznego karpia w galarecie według sekretnego przepisu.	Zawsze zacinasz się w palec przy obieraniu ogórka.
Szalał z radości kupując do domu pierwszy telewizor.	Nudzisz się wieczorami, bo oferta satelitarna wydaje ci się coraz mniej urozmaicona.
Do dziś śpiewa w chórze.	Nucisz w łazience, jeśli żony nie ma w domu.
Dobry w rękach.	Mocny w gębie.

NA GOLASA

Wśród moich znajomych zapanowała moda na Litwę. Zbierają się w grupy i – nie zważając na okropności przekraczania wschodniej granicy – jadą do litewskich kąpielisk nad Bałtykiem. Tanio i pięknie – pomrukują. A nade wszystko – swobodnie. Magnesem, który ich naprawdę przyciąga, są gołe plaże. Adamowo-Ewowe. Bez zakazów i obyczajowych korowodów. Bez kompleksów i hipokryzji. Bez rumieńców wstydu lub podglądackiego zaciekawienia.

A zatem Litwa! Tak jak niegdyś nieboszczka NRD ze słynnymi gołymi plażami na Rugii. Potem co prawda mieliśmy własne Chałupy, a nawet poświęcony im szlagier Zbigniewa Wodeckiego, ale zawsze wiązały się one z niezdrową reklamą, snobizmem i samozwańczymi krucjatami miejscowych aktywistek parafialnych (ze szczególnym uwzględnieniem tych, których rozbieranie i tak byłoby surowo wzbronione).

Były Międzyzdroje i wybory Miss Natura; były sejmiki naturystów i rodzinne rozgrywki siatkówki. Chociaż, bo ja wiem, czy to są atrakcje? Przecież najprzyjemniejsza jest nagość intymna. Wśród najbliższych, wśród kochanych, wśród pożądanych. Bo nagość to nie tylko ekologia, natura, zdrowie, odrzucenie kulturowych blokad i wstydów. To także przyjemność, uroda, zmysły i najwyższy akt podziwu dla piękna człowieka.

Piękne, nagie dziewczyny oglądamy co miesiąc w PLAYBOYU. W lipcu możemy być nago w podobnej, plenerowej scenerii ze swoimi dziewczynami. Najradośniej i najszczerzej.

Szkoda, że trzeba jechać aż na Litwę... a może niekoniecznie? Swoją drogą ciekawe, czy polscy playboye znaleźli takie miejsca? To przecież nie muszą być zaraz wielkie plaże dla kilkuset golasów. Czasem wystarczy cypelek, zatoczka, górka, łąka dla dwojga. Czasem wystarczy nie mieć nic i nigdzie nie jechać...

ZNAJOMY KRÓLIKA

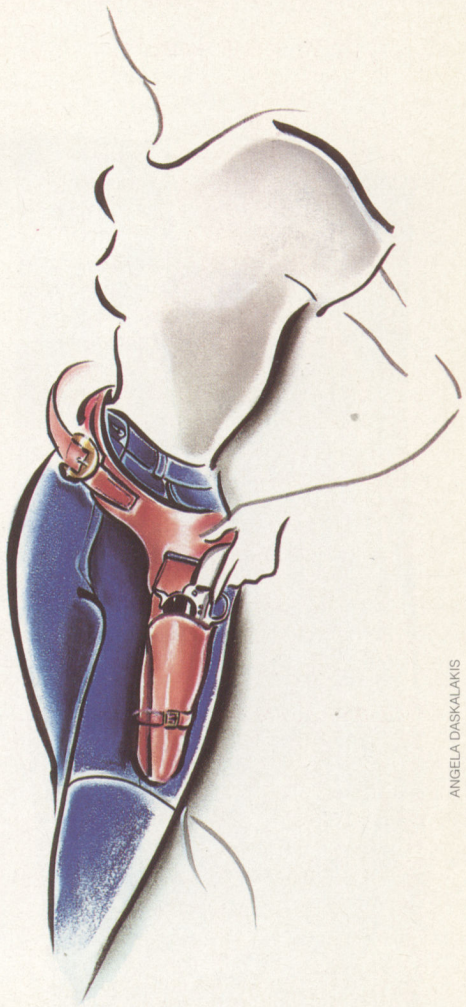

ANGELA DASKALAKIS

QUIZ

Czy mógłbyś zostać politykiem?

1. Twój wuj obchodzi dziewięćdziesiąte urodziny, uczestniczysz w przyjęciu na jego cześć. Jak się zachowujesz:
a. zalewasz się w milczeniu
b. wygłaszasz toast, podkreślając w nim wszystkie swoje zalety
c. przez pomyłkę wyciągasz kartkę z przygotowaną zawczasu mową pogrzebową

2. Masz udzielić wywiadu. Zgłasza się do ciebie dziennikarka z „Le Figaro" Anastazja. Co robisz:
a. oblewasz się wodą kolońską
b. zdejmujesz spodnie
c. mówisz, że nie masz nic do powiedzenia

3. Musisz coś zjeść na mieście. Wybierasz:
a. restaurację „Belweder"
b. bar Mc Donald's
c. kanapki, które masz ze sobą

4. Jesteś na nudnej konferencji. Co rysujesz:
a. krzyże
b. kółka
c. wąsy na gazetowych zdjęciach

5. Grasz w „Kole fortuny". Kogo pozdrowisz przy okazji prezentacji:
a. żonę i dzieci
b. przełożonego i kolegów z pracy
c. wszystkich Polaków

6. Mężczyznę najbardziej kompromituje Twoim zdaniem:
a. łysina
b. brak gotówki
c. kłopoty z potencją

7. Kobietę najbardziej kompromituje:
a. kochanek
b. otyłość
c. wysokie stanowisko

8. Twój koszmarny sen to:
a. spadanie z wysoka
b. PIT
c. matura z matematyki

9. Chcesz umówić się z nieznajomą kobietą. Co robisz:
a. prosisz przez sekretarkę, żeby do Ciebie zadzwoniła
b. wysyłasz jej fax z propozycją spotkania
c. dzwonisz i mówisz do słuchawki przez chusteczkę

10. Czy wiesz czym się różni:
a. ustawa od uchwały
b. zarządzenie od rozporządzenia
c. pan prezydent od pani premier

11. Który z wymienionych niżej tytułów podoba Ci się najbardziej:
a. ekscelencja
b. magister
c. docent

12. Przemawiasz do swoich wyborców. Co obiecasz by przekonać ich, żeby na Ciebie głosowali:
a. więcej szczęścia na tamtym świecie
b. więcej pieniędzy
c. więcej miłości i seksu

Jeżeli rozwiązałeś quiz, możesz zostać politykiem. Nadaje się każdy, bez względu na wiek, iloraz inteligencji, wykształcenie i pochodzenie społeczne. Jeżeli zebrałeś najwięcej odpowiedzi „a" oznacza to, że możesz działać w partii narodowo-chrześcijańskiej. Jeśli masz najwięcej odpowiedzi „b" – duchowo przynależysz do liberałów. Najwięcej odpowiedzi „c" oznacza, że Twoja opcja polityczna jest ciągle nieokreślona. Masz do wyboru sto dwadzieścia sześć partii. Z tekstu wykluczyliśmy wszystko co mogłoby sugerować dziecięcą chorobę lewicowości.

(kl)

KOBIETY DO BRONI!

Nie chodzi bynajmniej o masowy pobór płci pięknej do armii w związku z kolejną wojną, lecz o hałaśliwą kampanię reklamową zachęcającą Amerykanki, by w tych niebezpiecznych czasach nosiły przy sobie broń. Strach niechcący urazić głupim słowem dziewczynę zza oceanu... W powieściach Raymonda Chandlera miewały w torebce, obok puderniczki, strzelający drobiazg wykładany masą perłową. Dziś może to być luger albo magnum. Producenci zacierają ręce: już dwadzieścia procent zarejestrowanego w USA oręża należy do kobiet. Magazyn „Kobiety i Broń" podwoił ostatnio nakład. Nawet w nobliwych czasopismach dla gospodyń domowych coraz częściej z wzorami dzierganych swetrów sąsiadują reklamy solidnych „gnatów". Obce mody docierają do nas z opóźnieniem, ale na wszelki wypadek zacznijcie uważniej przeglądać „Twój Styl", ewentualnie „Przyjaciółkę".

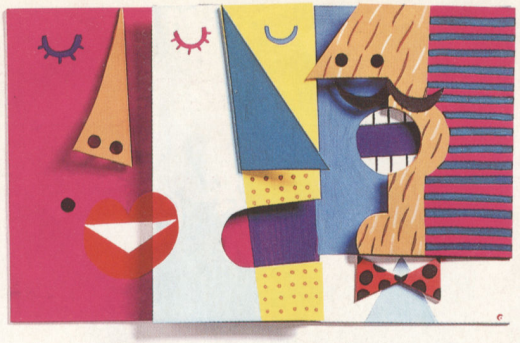
DAVID COVLES

U S T A

Z kręgów opozycji i koalicji

LESZEK MOCZULSKI: Twarda jest baba, jak na panienkę, wyjątkowo. (o premier Hannie Suchockiej)

HENRYK CZARNOCKI (senator pozbawiony immunitetu): Przepraszam funcjonariusza, że tak długo musiał wlec się uczepiony mojego malucha, aż go uwolnił jego przełożony.

JANUSZ KORWIN-MIKKE: W naszej kulturze panuje pewne tabu: o intymnej sferze życia się nie mówi, a jeśli mężczyźni o tym mówią, to ich opowieści traktuje się jak opowiadania rybaków. Dzięki temu ob. Kowalski, który spotyka się z kochanką raz na miesiąc, nie ma kompleksów, a ob. Nowak, który robi to siedem razy dziennie, też nie czuje się potworem.

Ze świata kultury i sztuki

DANIEL OLBRYCHSKI: Ja pisałem o moich miłościach. Gdybym pisał o kochankach, musiałbym wydać encyklopedyczną pozycję...! Książki telefonicznej nie zamierzałem pisać... (o swojej książce)

DAMA DO ANDRZEJA SZCZEPKOWSKIEGO: Panie Andrzeju, co pan robi, żeby mieć takie puszyste włosy, myje je pan jajami?

ANDRZEJ SZCZEPKOWSKI DO DAMY: Rękami, łaskawa pani.

Polityka jako retoryka

ADAM GLAPIŃSKI: RdR i PC walczą o wolną Polskę. Jeżeli jeden z nas zostanie zamknięty w więzieniu za tę walkę, to na jego miejsce pojawi się dziesięciu, a gdy ktoś zostanie pomówiony o zboczenia seksualne, to za niego pojawi się sto, a może nawet tysiąc osób.

JERZY URBAN: Nasze państwo jest jak stara baba – nikt już jej nie chce rozbierać.

RYSZARD BENDER: Jak zobaczyłem Niesiołowskiego z Geremkiem gruchających jak dwa gołąbki, to pomyślałem, że dobrze zrobiłem (o swoim wystąpieniu z ZChN).

WOJCIECH JARUZELSKI: Omnipotencja staje się impotencją.

HENRYK GORYSZEWSKI: Czasami mam odwagę nie zgodzić się nawet z własną żoną.

MARIAN KRZAKLEWSKI: Moje spotkania z prezydentem to nie jest realizacja uczuć. Wręcz przeciwnie, nie mieliśmy czasu się polubić.

Ze świata nauki

ŻYCIE WARSZAWY: Idealnymi mężczyznami są tylko psychopaci, a wzorcowe kobiety musiałyby wyginąć.

ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ: Nie należy nigdy upijać się na smutno, ani kochać dla zabicia zmartwień. W obu przypadkach mamy potem straszliwego kaca.

AUTORZY KSIĄŻKI „ZANIM WYBIERZESZ..." (zalecanej przez Ministerstwo Edukacji): Przy pigułce trzeba stale pamiętać o jej zażywaniu. Stosując globulki czy pianki trzeba przerywać pieszczoty, a przy prezerwatywie – kłopotliwe jest samo założenie, a dodatkowo nieestetyczne. (...) Stosowanie prezerwatywy to tak, jakby żona w trakcie stosunku miała czepek pływacki i gumowe rękawiczki.

Ze świata techniki

INSTRUKCJA Z KSIĄŻKI TELEFONICZNEJ W PRZEMYŚLU: Przy wybieraniu numeru należy uważać, aby palec doszedł do języczka oporowego, po czym należy wyjąć palec z otworu.

(ew)

CZAS NA PICIE

Amerykańska sztuka popijania smacznie przedstawiona jest w *The Art of Cocktail* czyli *Sztuce koktajlu*. Sto przepisów i piękne zdjęcia drinków w stosownym szkle. Wybór jest duży – od łagodnych receptur dla kobiet do zestawień prawdziwie śmiertelnych. Są i klasyki: manhattan, martini, a także grasshopper i zombie. Książkę napisał Philip Collins, wydało Chronicle Books z San Francisco (w dwóch wersjach – twardej i miękkiej). Zamówić można przez IPS, Warszawa, ul. Piękna 31/37, tel (22) 217255. Na zdrowie.

(as)

JAK STRACIĆ ZDROWIE?

Zdolny, dzielny i otwarty na świat mężczyzna w każdym wieku ma wiele okazji do tego, by w sposób zajmujący lub nawet pasjonujący stracić zdrowie.

Doskonałym sposobem jest pogoń za kobietami. Uwodziciel powinien jednak pamiętać o tym, że każdy typ kobiety wywołuje u starającego się inne rodzaje perturbacji zdrowotnych. Nie wdając się w szczegóły, możemy powiedzieć, że: blondynki, zwłaszcza platynowe, wywołują u mężczyzn oziębłość w stosunku do reszty pań. Wkrótce zaczynają one przesłaniać im cały świat, zdobywcy blondynek stają się ich niewolnikami. Z kolei bliższa znajomość ze śniadymi brunetkami odwrotnie – rodzi gwałtowny nadmiar zainteresowania całą płcią piękną. Uwodziciel brunetki jest na najlepszej drodze do tego, by zostać patologicznym kobieciarzem. Wreszcie rude, począwszy od marchewkowatych, przez miedziane aż do kasztanowych, wywołują u mężczyzn nostalgię za czasami dzieciństwa i szkoły, a także nadmierną wrażliwość na uroki natury. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, ale to fakt. Uwodziciel rudej może szybko popaść w melancholię, w stan nie kończących się rozmyślań o wschodach i zachodach słońca w Afryce, australijskich pustyniach i leśnych barwach jesieni.

Niezależnie od tego, jaką kobietę się uwodzi, należy pamiętać, że czynność ta naraża mężczyznę na nieuchronny kontakt z następującymi czynnikami chorobotwórczymi:

- bombą adrenalinową, która wybucha w jego organizmie za każdym razem, gdy uwodzenie nie przynosi żadnych rezultatów, a wszelkie propozycje kończą się zdecydowanym NIE!
- obgryzaniem paznokci, gdy na horyzoncie pojawia się interesujący rywal;
- popadnięciem w uzależnienie od niskoprocentowych i słodkich alkoholi (straszne!);
- osłabieniem trzustki, wywołanym przez nadmiar słodyczy w powtarzanych na okrągło komplementach;
- utratą pamięci, gdy wybranka jest zbyt dociekliwa i drobiazgowo wypytuje o przeszłość;
- nadciśnieniem tętniczym, gdy zdobycie kobiety następuje nieoczekiwanie szybko.

(pb)

ZA MIESIĄC

LETNIA SWOBODA

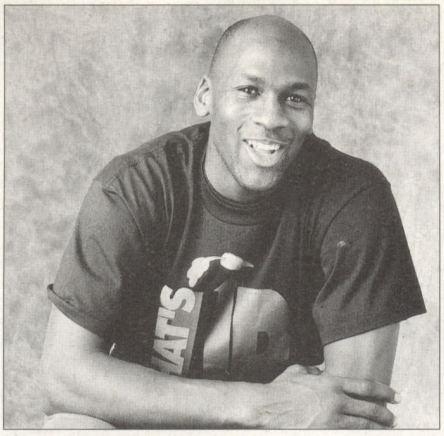

KRÓL KOSZYKARZY

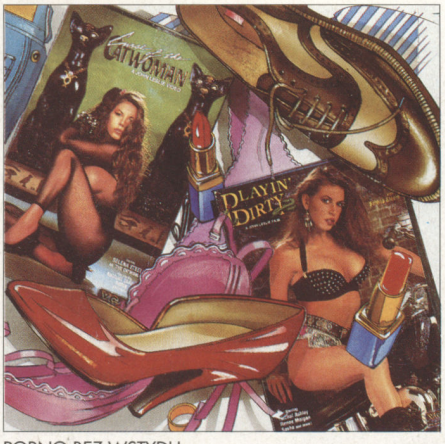

PORNO BEZ WSTYDU

CINDY IDZIE NA CAŁOŚĆ

W MAJOWYM NUMERZE PIĘKNA **CINDY CRAWFORD** ODPOWIADAŁA NA 20 PYTAŃ, W SIERPNIOWYM BĘDZIECIE MOGLI ZOBACZYĆ JĄ W EGZOTYCZNO-ROMANTYCZNYM PICTORIALU.

CHOCIAŻ TO TYLKO GRA, PROWADZĄCY JĄ PRZECIWNICY ZDAJĄ SIĘ SŁYSZEĆ SZCZĘK BRONI, WARKOT CZOŁGÓW, GROŹNY RYK MYŚLIWCÓW. DO PRZECZYTANIA ARTYKUŁU **ANDRZEJA NAGLAKA** O WOJENNYCH GRACH STRATEGICZNYCH ZACHĘCAMY KANDYDATÓW NA WSPÓŁCZESNYCH NAPOLEONÓW I CEZARÓW.

NIE MA NIC ZŁEGO W OGLĄDANIU FILMÓW PORNO. W ARTYKULE, „PRZYJEMNOŚĆ PATRZENIA" ZNAJDZIECIE WIELE PRZYKŁADÓW NA POPARCIE TEJ TEZY.

SIERPNIOWA PLAYMATE **CHERYL BACHMAN** KOCHA GORĄCE DNI I GORĄCE NOCE. JEST PIĘKNA I AMBITNA, A NAJCZĘŚCIEJ MARZY O ZDOBYCIU OSCARA.

NA 20 PYTAŃ ODPOWIE **JACEK WÓJCICKI**, AKTOR I PIOSENKARZ ZWIĄZANY Z „PIWNICĄ POD BARANAMI" I „KABARETEM OLGI LIPIŃSKIEJ".

BYŁY KRÓLICZEK Z KLUBU PLAYBOYA – ZWYRODNIAŁA MORDERCZYNI CZY CHODZĄCA NIEWINNOŚĆ? SPRAWA, KTÓRA PODZIELIŁA AMERYKĘ.

MÓWIĄ O NIM „SZARA EMINENCJA BELWEDERU". PLAYBOY PRZEDSTAWIA **ANDRZEJA OLECHOWSKIEGO**, BYŁEGO MINISTRA FINANSÓW, OBECNEGO DORADCĘ PREZYDENTA.

NA SESZELACH ROSNĄ PALMY UPRAWIAJĄCE MIŁOŚĆ. PODGLĄDAŁA JE PEWNEJ PIĘKNEJ, KSIĘŻYCOWEJ NOCY **LILIANNA WAWSZCZAK**.

NIE PRZEGAPCIE SIERPNIOWEGO WYWIADU. JEGO BOHATEREM BĘDZIE KRÓL KOSZYKARZY I BOŻYSZCZE KIBICÓW – **MICHAEL JORDAN**.

NIKOGO CHYBA NIE TRZEBA ZACHĘCAĆ DO CZYTANIA PROZY **WILLIAMA WHARTONA**. BOHATEREM FRAGMENTU, KTÓRY WYBRALIŚMY Z NIEZNANEJ U NAS POWIEŚCI „STADO", JEST LEW.

SŁONECZNA PLAŻA I CIEPŁE FALE PROWOKUJĄ WIĘKSZĄ SWOBODĘ. BOHATERKI NASZEGO PICTORIALU CZUJĄ SIĘ W TYM OTOCZENIU ZNAKOMICIE I WYGLĄDAJĄ NIEZWYKLE ATRAKCYJNIE.

NA MAZURSKIM ODLUDZIU W PERWERSYJNYM ZWIĄZKU ŻYJE DWÓCH MĘŻCZYZN I JEDNA KOBIETA . PRZECZYTAJCIE NAPISANE SPECJALNIE DLA PLAYBOYA OPOWIADANIE **ANDRZEJA STASIUKA**.

OKNA I DRZWI Z TWORZYWA SZTUCZNEGO

Nasze okna to doskonała jakość, solidność, nowoczesny wyglad i najnowsze rozwiązania techniczne.

ZAPEWNIAMY:
- montaż okien, rolet, witryn i drzwi
- wymianę starych okien na nowe
- montaż parapetów zewnętrznych i wewnętrznych

DODATKOWO OFERUJEMY:
- żaluzje przeciwsłoneczne montowane na skrzydłach okiennych
- siatki przeciwinsektowe
- wentylację szczelinową do oszklenia witryn
- szyby antywłamaniowe, termoizolacyjne, refleksyjne

Wyroby nasze spełniają najwyższe wymagania w zakresie:
- izolacji akustycznej i termicznej
- niezawodności działania poprzez zastosowanie okuć obwiedniowych firm niemieckich
- trwałość kolorów profili

5 lat gwarancji

Serwis gwarancyjny i pogwarancyjny

Nasze wyroby posiadają atest ITB i PZH

PRODUKCJA I MONTAŻ:
BLW 05-400 Otwock,
ul. Racławicka 8,
tel. (22) 79-37-63
(9.00-15.00),
fax (22) 15-58-80

NASZ KLIENT TO KLIENT ZADOWOLONY

BLW®

GOLDEN AMERICAN 25